Niewiarygodnie mocna rzecz!

PETER JAMES

TONY PARSONS

RZEŹNIK

DETEKTYW MAX WOLFE #2

KOMU ŻYCZYSZ ŚMIERCI?

O książce

Tony Parsons po raz kolejny udowadnia, że mężczyzna – nawet londyński detektyw, który na co dzień ma do czynienia z brutalnością i okrucieństwem – może mieć serce.

Cztery zamordowane osoby
Umierający seryjny morderca
Zaginione dziecko

Sylwestrowa noc. W domu na ekskluzywnym londyńskim osiedlu zostają zamordowani państwo Woodowie i dwójka ich nastoletnich dzieci. Najmłodsze – czteroletni chłopiec – znika. Bardziej jeszcze niż sama zbrodnia szokuje narzędzie użyte przez sprawcę: pistolet do uboju bydła.

ŚWIAT NIENAWIDZI PIĘKNYCH LUDZI,
KTÓRYM SIĘ W ŻYCIU WIEDZIE…

A Woodowie nie kryli się ze swoim szczęściem. Czy to możliwe, że w ten sposób ściągnęli na siebie zgubę? Detektyw Max Wolfe i jego koledzy z policji muszą odpowiedzieć na to pytanie, zidentyfikować mordercę i – przede wszystkim - dowiedzieć się, gdzie jest chłopiec, bo z każdym dniem szansa na znalezienie go żywego maleje.

Poszukiwania zaczynają od człowieka, który przed laty zabił cztery osoby, używając tego samego narzędzia zbrodni.

Od Rzeźnika…

TONY PARSONS

RZEŹNIK

Z angielskiego przełożył
JANUSZ OCHAB

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

TONY PARSONS
(ur. 1953 r.)

Pisarz i felietonista „Daily Mirror”, należy do najbardziej znanych brytyjskich dziennikarzy pokolenia punk rocka. Współpracował m.in. z „The Guardian”, „Elle”, „The Daily Telegraph”, „The Sunday Times”, „GQ” i „Marie Claire”. Przez sześć lat regularnie występował w programach telewizji BBC2, *The Late Show* i *Newsnight Review*, a także we własnych programach dokumentalnych. W 1999 r. opublikował pierwszą, entuzjastycznie przyjętą powieść **Mężczyzna i chłopiec**, która w Wielkiej Brytanii otrzymała prestiżowy tytuł Książki Roku 2000 i osiągnęła rekordową liczbę dwóch milionów sprzedanych egzemplarzy. Na jej podstawie powstał dwuczęściowy film telewizji BBC. Kolejne tytuły – **Za moje dziecko**, **Mężczyzna i żona**, **Kroniki rodzinne**, **Miłość to wszystko, czego potrzebujesz** i **Moja ulubiona żona** – również osiągnęły status bestsellerów.

W 2014 r. Parsons zadebiutował jako autor kryminałów powieścią **Krwawa wyliczanka**, która zapoczątkowała cykl z detektywem Maxem Wolfe’em.

Tego autora

SERIA KRYMINALNA
Z DETEKTYWEM MAXEM WOLFE'EM

Krwawa wyliczanka
Rzeźnik

Wkrótce

Klub wisielców

POWIEŚCI OBYCZAJOWE

Za moje dziecko
Kroniki rodzinne
Miłość to wszystko, czego potrzebujesz
Moja ulubiona żona
Druga szansa

Harry Silver

Mężczyzna i chłopiec
Mężczyzna i żona

Tytuł oryginału:
THE SLAUGHTER MAN

Copyright © Tony Parsons 2015
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Janusz Ochab 2017

Redakcja: Beata Kołodziejska

Zdjęcia na okładce: © Nik Kevil/Arcangel Images (*postać*), Harist Refian/Unsplash (*tło*)

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-7985-400-4

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.
(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, 88em

Spis treści

PROLOG
STYCZEŃ. Upiorne domy Londynu
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
LUTY. Notowani
17
18
19
20
21

22
23
24
25
26
MARZEC. Śmiertelne szczątki
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
OD AUTORA

Dla Yuriko

Zbrodnie rozbrzmiewają echem przez całe lata i życia. Rzadko morderstwo niszczy tylko jedno życie.

Joyce Carol Oates, *After Black Rock*

Większość Cyganów boi się zmarłych.

Raymond Buckland, *Buckland's Book of Gypsy Magic – Travellers' Stories, Spells & Healings*

PROLOG

Noc sylwestrowa

Chłopiec obudził się gwałtownie, wyrwany ze snu krzykiem ojca.

Gdzieś w ciemnościach, za drzwiami sypialni rodziców, ojciec krzyczał tak, jakby nagle cały jego świat legł w gruzach.

W tym krzyku było przerażenie, wściekłość i ból. Chłopiec, jeszcze na wpół śpiący, wyskoczył z łóżka i odrobinę uchylił drzwi swojego pokoju, by spojrzeć w głąb korytarza, na zamknięte drzwi sypialni, za którymi zapadła teraz głucha cisza.

– Tato?

Wpatrywał się w ciemność i wytężał słuch, słyszał jednak tylko własny nierówny oddech i pijackie głosy dobiegające z ulic miasta, świętującego śmierć kolejnego roku.

Za domem rozbrzmiał głęboki, niski dźwięk dzwonu wiszącego w ogrodzie, który zdawał się zwiastować koniec wszechrzeczy.

W tym samym momencie za drzwiami sypialni rozległ się krzyk matki.

Gdy wreszcie ucichła, ojciec zaczął przeraźliwie szlochać, jakby pękło mu serce.

Szok i przerażenie ścisnęły chłopca za gardło, odebrały mu dech.

Jego miły, spokojny ojciec, zawsze uśmiechnięty i skory do żartów, ojciec, który nigdy nie podnosił głosu, nie mówiąc już o ręce, płakał teraz tak, jakby odebrano mu wszystko, co kochał.

Potem chłopak usłyszał jakiś nieznany mu głos.

Natarczywy.

Nieludzki.

Pełen wściekłości.

– Nie będę więcej powtarzał – mówił. – Chcę, żebyś na to patrzył.

Później nastąpiła seria trudnych do nazwania dźwięków.

Głuche uderzenia przypominające rąbanie drewna. Łup… łup… łup… Bolesnym, rozdzierającym jękom płynącym z sypialni towarzyszyły pijackie wrzaski imprezowiczów z innego świata.

Jedne i drugie wydawały się nierealne.

Chłopiec oparł się o drzwi. Dyszał ciężko, a po jego twarzy płynęły strumienie łez.

Na parterze szczekał pies, i ten znajomy dźwięk, nieoczekiwany sygnał z dobrze znanego mu świata, pobudził chłopca do działania.

Wymknął się ze swojego pokoju. Serce waliło mu mocno, gdy na miękkich nogach, zlany potem, przechodził na drugą stronę korytarza, do sypialni siostry.

Kiedy wszedł do środka, dziewczyna siedziała na łóżku, ubrana na zabawę sylwestrową i blada jak ściana. Drżącą dłonią sięgnęła po telefon i nacisnęła po raz pierwszy numer dziewięć.

Oboje podnieśli wzrok, gdy zza ściany dobiegły odgłosy gwałtownej szamotaniny. Niezrozumiałe, niepojęte dźwięki. Zacięte, bezpardonowe zmagania, głuche postękiwania i jęki, głuchy huk ciała uderzającego o ściany i podłogę.

Odgłosy walki na śmierć i życie.

Chłopiec zobaczył, jak siostra po raz drugi wciska dziewiątkę.

Zamknął oczy, gdy zaczęło mu się kręcić w głowie.

Pomyślał, że to się zaraz skończy. Obudzi się, a koszmar zniknie. Jednak gdy otworzył oczy, wszystko stało się jeszcze bardziej rzeczywiste.

Siostra drżącą dłonią po raz trzeci i ostatni wybrała cyfrę dziewięć.

Pies szczekał jak opętany.

Potem na korytarzu rozległy się ciężkie kroki kogoś, kto wcale nie próbował kryć swojej obecności.

Szedł teraz po nich.

– Drzwi! – syknęła siostra, a on jednym szybkim ruchem sięgnął do zamka i przekręcił klucz.

Później odsunął się o krok, wpatrzony w zamknięte drzwi.

Ktoś do nich pukał.

Delikatnie, niemal figlarnie, stuknął palcem wskazującym.

Chłopiec spojrzał na siostrę.

Drzwi przylgnęły mocniej do futryny, jakby ktoś naparł na nie z zewnątrz ramieniem. Potem rozległ się pierwszy trzask, drewno pękało i skrzypiało pod potężnymi kopniakami napastnika.

– Pomoc w nagłych wypadkach, do jakich służb mam przekierować połączenie?

– Proszę – powiedziała dziewczyna. – Potrzebujemy pomocy.

Chłopiec dopadł okna i je otworzył. Do pokoju wdarła się fala mroźnego powietrza, a wraz z nią odgłosy zabawy, odległa muzyka, śmiechy i krzyki wypełniające ostatnie minuty starego roku.

Obejrzał się za siebie, gdy środkowa część drzwi pękła i wpadła do środka. W otworze majaczyła ciemna postać, sięgała do klucza, który został w zamku.

Nie przypominała człowieka.

Wyglądała jak kształt utkany z gęstej ciemności. Gdy postać weszła do pokoju, chłopiec poczuł jej zapach, odrażający odór potu, krwi i seksu, a także charakterystyczną przemysłową woń starych samochodów, zepsutych silników, oleju i smaru.

W pokoju rozbrzmiewał głos dochodzący z telefonu dziewczyny.

– Halo? Do kogo mam przekierować połączenie? Halo?

Chłopiec runął w dół, przez ułamek sekundy mknął przez lodowate powietrze, a potem uderzył ciężko o gruntowy podjazd i jęknął boleśnie.

Podniósł wzrok na okno na pierwszym piętrze.

Siostra siedziała okrakiem na parapecie, z jedną nogą na zewnątrz, a drugą wciąż w pokoju.

Napastnik musiał złapać ją za szyję, bo próbowała łapczywie chwytać powietrze, dusiła się. Tak, teraz chłopiec widział to wyraźnie, grube palce okręcały się na łańcuszku i ściskały go, podobnie jak ściska się obrożę groźnego psa.

Mroczny oprawca próbował ją zadusić.

Potem łańcuszek prawdopodobnie pękł, bo dziewczyna zsunęła się z parapetu i opadała bokiem na dół przez sekundę, która wydawała się całą wiecznością. Chłopiec odsunął się o krok, gdy siostra uderzyła głucho o ziemię.

Pomógł jej się podnieść i przejść na ulicę. Utykała ciężko, bo coś jej się stało w kolano.

Mieszkali na zamkniętym osiedlu, w najwyższej części miasta, w jednym z sześciu dużych domów ukrytych za bramą z kutego żelaza i wysokim ceglanym murem, niemal niewidocznie zwieńczonym drutem kolczastym.

U ich stóp rozciągał się cały Londyn.

Mogli się tutaj czuć jak na szczycie świata.

Chłopiec zostawił siostrę na środku ulicy, gdzie rozcierała zakrwawione kolana, i pobiegł do najbliższego domu po drugiej stronie jezdni. Naciskał na guzik dzwonka, wzywał pomocy i krzyczał o morderstwie.

Ale okna domu były ciemne.

Wtedy zobaczył, że większość innych domów w tej ekskluzywnej dzielnicy również jest pogrążona w ciemnościach. Tylko w ostatnim,

na samym końcu ulicy, paliło się światło, a z wnętrza dobiegały ludzkie głosy. Chłopiec natychmiast tam pobiegł i zapukał do drzwi.

Jednak muzyka była zbyt głośna, a imprezowicze przygotowywali się już do północy.

Wsłuchał się uważniej w gwar podpitych głosów mówiących różnymi językami.

Polski. Tagalski. Hiszpański. Włoski. Pendżabski. I łamana angielszczyzna.

Właściciele wyjechali, a służba urządziła sobie przyjęcie.

I nikt go nie słyszał.

Potem podeszła do niego siostra. Wciąż mocno utykała, opierając cały ciężar ciała na jednej nodze.

Oboje spojrzeli w górę, gdy na niebie eksplodowały fajerwerki. Ludzie w oddali wznosili radosne okrzyki, nagle znacznie bardziej pijani i rozradowani. Potem spojrzeli z powrotem na swój dom.

Gdzieś w głębi budynku rozległ się płacz małego dziecka.

Chłopiec zaklął.

– Nie możemy go zostawić – powiedziała siostra. – Czujesz?

W powietrzu unosił się zapach spalenizny i prochu strzelniczego.

– To fajerwerki – stwierdził chłopiec.

Siostra pokręciła głową.

– Podpalił nasz dom.

Teraz i on to zobaczył.

Z okna na parterze wypłynęła smuga gęstego czarnego dymu.

– Idź – powiedziała dziewczyna. – Sprowadź pomoc. Ja zajmę się małym.

Otarł twarz i przełknął ciężko ślinę, gdy siostra ruszyła nierównym krokiem w stronę płonącego domu. Dym był coraz gęstszy, głosy rozbawionych ludzi przybrały na sile, a chłopiec odkrył nagle, że nie może się ruszać.

– DZIESIĘĆ!

Siostra odwróciła się na moment i spojrzała na niego, jej twarz lśniła blado w blasku księżyca.

– DZIEWIĘĆ!

Obserwował z daleka, jak wchodzi na podjazd i znika za rogiem domu. W tym momencie zrozumiał, że nie zobaczy jej już więcej.

– OSIEM!

Zadrżał z zimna i strachu. I spróbował zebrać myśli.

– SIEDEM!

Wciąż słyszał odgłosy zabawy dobiegające z domu wypełnionego światłem i śmiechem, teraz wydawały się jednak bardzo odległe, oddzielone od wszystkiego, co rozumiał, od wszystkiego, co miało jakikolwiek sens.

– SZEŚĆ!

Krzyknął przeraźliwie, ogarnięty paniką i frustracją.

– PIĘĆ!

Nikt go nie słyszał. Nikt się nim nie interesował. Był zupełnie sam.

– CZTERY!

Z najwyższego wzgórza Londynu widział barwne rozbłyski eksplodujące nad miastem. Widok był piękny, jakby jakiś nieostrożny bóg rozsypał przypadkiem na niebie zawartość szkatułki z klejnotami.

Pomyślał, że może zrobić coś innego. Wyjdzie za tę żelazną bramę, która miała ich chronić przed nikczemnikami i biedakami, zbiegnie w dół wzgórza i znajdzie pomoc. To właśnie zrobi. I ten koszmar wreszcie się skończy.

– TRZY!

Pies znów szczekał, dym był coraz gęstszy. Chłopiec nie widział siostry. Losy rodziny zależały teraz od niego.

– DWA!

Ruszył biegiem w stronę bramy.

– JEDEN!

Gdy nastała pierwsza sekunda nowego roku, a niebo eksplodowało kolorami, w chłopca wjechał od tyłu samochód, uderzając go z impetem w nogi.

– SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU!

Samochód jechał bardzo szybko, chłopiec poleciał najpierw na maskę, a potem spadł na ziemię. Tylne koła auta przetoczyły się po jego nogach, zamieniając je w krwawą miazgę zdruzgotanych kości i ciała.

Gdzieś w pobliżu ludzie wznosili radosne okrzyki.

Chłopiec leżał na brzuchu i patrzył na nocne niebo, które teraz było jaśniejsze niż za dnia, skrzyło się feerią barw, żółtości, czerwienie, zieleń i biel eksplodowały pośród gwiazd, a potem opadały ku ziemi. Przyjemnie było tak leżeć i patrzeć na niebo, ale w końcu ból przedarł się do jego świadomości, ból tak straszliwy, że przyprawiał go o wymioty. Zrozumiał, co stało się z jego nogami, choć nie pomagało mu to znosić straszliwych katuszy.

Patrzył na fajerwerki rozpalające niebo nad miastem, ale nie widział ich, nie był teraz w stanie myśleć o niczym oprócz bólu. Zwymiotował gęstą krwią, w momencie gdy pochyliła się nad nim jakaś ciemna postać.

– Proszę – wyszeptał chłopiec. – Pomóż mi.

Ciemna postać podniosła go z ziemi.

Silnymi rękami. Delikatnie.

Chłopiec nie wiedział, czy tak właśnie należało zrobić. Nie wiedział, czy powinno się go ruszać. Może lepiej byłoby go zostawić w tej pozycji. Ale przepełniała go wdzięczność.

Dopóki nie poczuł tego samego odrażającego zapachu potu i starego smaru, woni człowieka i maszyn.

Dopóki nie zobaczył, że dłonie, które podniosły go z ziemi, oblepione są krwią jego rodziny.

Niebo nad Londynem zamieniło się w jedną wielką paletę barw.

Kiedy jednak człowiek o zakrwawionych rękach niósł go w stronę domu, chłopiec z ochotą poddał się ciemności. Nie widział, jak fajerwerki eksplodują światłem, a potem gasną, ustępując czerni nieba.

STYCZEŃ

Upiorne domy Londynu

1

Pierwszy dzień nowego roku był słoneczny i mroźny. W błogą ciszę wdarł się nagle huk wystrzału z pobliskiego bloku mieszkalnego.

Rzuciłem się na ziemię za najbliższym samochodem. Drobiny żwiru wbijały się boleśnie w skórę moich dłoni, twarz okryła się warstewką potu, który nie miał nic wspólnego z pogodą.

Każdy strzał jest owocem gniewu. Ten był pełen żądzy mordu. Rozdarł bezchmurne niebo i wypełnił mnie zwierzęcym strachem. Przez dłuższą chwilę leżałem bez ruchu, próbując odzyskać oddech. Potem podniosłem się z kolan i przywarłem mocno plecami do niebiesko-żółtego uzbrojonego radiowozu typu ARV. Serce waliło mi jak młot, ale mogłem już normalnie oddychać.

Rozejrzałem się dokoła. Policjanci z jednostki specjalnej SCO19 stali już na pozycjach, wpatrywali się w okna bloku spod czarnych hełmów PASGT, w dłoniach okrytych czarnymi rękawicami trzymali karabinki szturmowe Heckler & Koch. Tu i ówdzie stało kilku zwykłych umundurowanych policjantów i kilku detektywów w cywilu, takich jak ja. Wszyscy chowali się za ARV-ami i zielono-żółtymi szybkimi radiowozami typu RRV, wszyscy też trzymali w dłoniach służbowe glocki kalibru 9 milimetrów.

Kobieta stojąca kilka kroków dalej zaklęła głośno. Była drobna, miała blond włosy i dobiegała czterdziestki. Młoda, ale już nie dzieciak. Komisarz Pat Whitestone. Moja szefowa. Włożyła dziś sweter z reniferem. Prezent bożonarodzeniowy. Nikt z własnej woli nie

ubiera się tak do pracy. Pomyślałem, że to pewnie od jej syna. Taki dziecięcy żart. Podsunęła okulary na nosie.

– Ranny policjant! – krzyknęła. – Postrzał w brzuch!

Wyjrzałem zza samochodu i zobaczyłem umundurowaną policjantkę leżącą na plecach na środku ulicy. Trzymała się za brzuch i wzywała pomocy. Krzyczała prosto w błękitne, bezchmurne niebo.

– Boże, proszę… Jezu, proszę…

Ile czasu minęło, odkąd została postrzelona? Trzydzieści sekund? To bardzo długo jak na ranę postrzałową w brzuch. To całe życie.

Nie bez powodu rany postrzałowe w tym miejscu są znacznie groźniejsze niż rany kłute. Ostrze uszkadza tylko niewielki, ograniczony obszar, a kula wędruje po jamie brzusznej, niszcząc wszystko, co napotka na swej drodze. Jeśli nóż nie trafi w tętnicę lub jelita, jeśli dość szybko znajdziesz się pod opieką chirurga oraz anestezjologa i jeśli unikniesz zakażenia – choć większość złoczyńców nie jest na tyle zapobiegliwa, by sterylizować nóż przed zadaniem ciosu – masz spore szanse na przeżycie.

Jednak skutki postrzału w brzuch są katastrofalne. W ciągu tej jednej fatalnej mikrosekundy kule mogą zniszczyć liczne organy. Jelita, wątrobę, śledzionę i – co najgorsze – tętnicę główną, od której odchodzą wszystkie inne arterie. Jeśli tętnica zostanie rozerwana, szybko wykrwawisz się na śmierć.

Musisz mieć pecha, by umrzeć od rany kłutej w brzuch. Zwykle trafiasz do szpitala, a potem wracasz do rodziny. Trafiony w brzuch kulą, prawdopodobnie już nigdy nie zobaczysz swoich najbliższych, bez względu na to, czy zazwyczaj dopisuje ci szczęście.

Pchnięty nożem w brzuch wzywasz pomocy.

Postrzelony w brzuch wzywasz Boga.

Usłyszałem kolejne stłumione przekleństwo, a w następnej sekundzie Whitestone wyskoczyła zza radiowozu i ruszyła w stronę

rannej policjantki. Biegła zgięta niemal wpół, w swetrze z reniferem, przytrzymując spadające okulary na nosie.

Wziąłem głęboki oddech i pobiegłem jej śladem, pochylając nisko głowę, przekonany, że lada moment może paść drugi strzał.

Przykucnęliśmy obok rannej, Whitestone przyłożyła dłonie do brzucha policjantki i uciskała mocno, próbując zatamować krwawienie.

Usiłowałem przypomnieć sobie pięć najważniejszych elementów przy udzielaniu pomocy w przypadku rany postrzałowej. Sprawdzić drogi oddechowe, oddychanie, krążenie, sprawność ruchową – czy ranny nie został trafiony w kręgosłup lub szyję – poszukać rany wylotowej i upewnić się, że nie ma innych obrażeń.

– Zostań z nami, kochanie – mówiła Whitestone łagodnym, czułym tonem, niczym matka do dziecka. Wciąż naciskała mocno na ranę, jej dłonie były już pokryte krwią.

Policjantka była bardzo młoda. Pewnie jak wielu jej rówieśników przyszła do policji z głową nabitą ideałami, by zmieniać świat na lepsze.

Miała bladą jak ściana twarz i szeroko otwarte zszokowane oczy. Zauważyłem, że nosi na palcu serdecznym wąską obrączkę.

Umarła, wypuszczając głośno powietrze, z jej ust wypłynęła ostatnia bańka krwi. Widziałem, że oczy Whitestone są pełne łez, a usta zaciskają się w grymasie wściekłości.

Spojrzeliśmy w górę, na balkon.

Stał tam mężczyzna.

Mężczyzna, który w pierwszy dzień nowego roku nagle postanowił zabić całą swoją rodzinę. Taką informację przekazano na 999. Tak wyglądał jego plan. Takie właśnie rzeczy słyszał przez ścianę jego sąsiad, nim sam zebrał swoją rodzinę i uciekł.

Mężczyzna na balkonie trzymał w ręce karabin, a właściwie jakiś czarny sztucer z celownikiem optycznym wyposażonym w laser. Zielony promień przypominał barwą miecz świetlny Luke'a Skywalkera. Wyglądał jak zabawka. Ale nie był zabawką. Widziałem, jak zielona plamka przesuwa się po ziemi – po trawniku przed blokiem, po asfaltowej drodze – i zatrzymuje przy nas.

Nie ruszaliśmy się. Wszystko znieruchomiało. Zielona plamka zatrzymała się na mnie, potem na Whitestone. Jakby nie mogła się zdecydować, które z nas woli.

– Już po niej, Pat – powiedziałem.

– Wiem – odparła Whitestone.

Spojrzała za siebie, na radiowozy z błyszczącymi napisami, na niebiesko-żółte ARV-y i zielono-żółte RRV-y. Między samochodami lśniły metalicznie glocki, karabinki Heckler & Koch, hełmy i spocone, pełne napięcia twarze.

Whitestone coś do nich krzyczała. Zielona plamka lasera krążyła przez moment po reniferze na jej swetrze i zatrzymała się tam na dobre.

– Ściągnijcie go! – rozkazała.

Później usłyszałem ich głosy.

– Mam go na muszce! – krzyknął ktoś.

Ale nikt nie strzelił.

Pomyślałem o całym tym biurokratycznym zawracaniu głowy, z jakim wiąże się każde użycie broni. Automatyczne zawieszenie w czynnościach służbowych, potem analiza każdego strzału, niekończące się pytania i podejrzenia. Perspektywa aresztu i bezrobocia. Nic dziwnego, że bali się strzelać.

Ale to nie dlatego wstrzymywali ogień.

Kiedy ponownie podniosłem wzrok na balkon, mężczyzna nie był już sam. Towarzyszyła mu kobieta. Miała na głowie chustę, choć z tej

odległości nie byłem w stanie określić, czy to tylko ozdoba czy część stroju zgodnego z wymogami religii.

Wyzywał ją. Obrzucał ją wszelkimi wyzwiskami, jakimi tego rodzaju mężczyźni nazywają kobiety. Potem odepchnął ją do tyłu i podniósł coś z podłogi. Trzymał to za kark. Potrząsał tym.

Dziecko, najwyżej dwuletnie. Widziałem pucołowatą buzię, jaką zwykle mają maluchy w tym wieku. Dzieciak wił się jak torturowane zwierzę, gdy mężczyzna wystawił go za balustradę balkonu.

Na czwartym piętrze.

Na dole tylko beton.

Mężczyzna coś krzyczał. Kobieta szlochała u jego boku. Nawet na nią nie spojrzawszy, uderzył ją kolbą sztucera. Poleciała do tyłu.

Nagle dziecko runęło w dół.

Kobieta krzyknęła.

– Strzelać! – wrzasnął ktoś.

Tuż za mną rozległ się głośny huk, a z szyi mężczyzny stojącego na balkonie natychmiast trysnęła krew. Nie upadł. Cofnął się o krok i uderzył w przeszklone drzwi, wpadając wraz z nimi do wnętrza mieszkania. Gdy zniknął mi z oczu, pomyślałem, jak bardzo wszyscy jesteśmy delikatni, jak łatwo nas zniszczyć, jak niewiele dzieli nas od śmierci.

Poderwałem się do biegu, moje buty ślizgały się na oblodzonej trawie, z ust wyrywało się wołanie do Boga, ręce sięgały po spadające dziecko.

Ale dzieliła nas zbyt duża odległość, miałem za mało czasu, a dziecko spadało jak kamień.

2

W mięsnej hali targowej Smithfield panowała cisza.

Przeszedłem pod wielkim łukiem targowiska, drżąc w chłodzie wczesnej śmierci noworocznego dnia. Minąłem szereg starych budek telefonicznych i tablicę znaczącą miejsce, gdzie zabito Williama Wallace'a. Nie minęła jeszcze czwarta po południu, a słońce już się chowało za kopułą katedry Świętego Pawła.

Wzdłuż przeciwległej pierzei placu ciągnął się rząd sklepów. Wszystkie były zamknięte, ale w mieszkaniu nad jednym z nich grała muzyka. Dźwięki fletów, skrzypiec i bębnów przeplatały się ze sobą w szalonym tempie. Piosenka opowiadała o dziewczynie, Sally MacLennane. Irlandzka muzyka. Radosna. Pomyślałem, że to pewnie The Pogues. Nad sklepem widniał nieco już wyblakły, wymalowany farbą napis:

MURPHY & SYN
Domowe i przemysłowe instalacje hydrauliczne i ciepłownicze
Solidnie i rzetelnie

Przeszedłem za sklep, potem wszedłem po schodach na poziom mieszkań. Kilku lokatorów wyrzuciło już choinki, ale u Murphych wciąż świętowano. Dopiero po dłuższej chwili usłyszeli dzwonek u drzwi, zagłuszany śpiewem Shane'a MacGowana oraz krzykami dorosłych i dzieci.

Otworzyła moja pięcioletnia córka Scout. Zdyszana, zaczerwieniona i szczęśliwa. Towarzyszyła jej mała rudowłosa

dziewczynka, Shavon, może o rok młodsza, jej braciszek, Damon, oraz pies, rdzaworudy cavalier king charles spaniel, zasapany i zadowolony – nasz pies, Stan, za którym chował się nieśmiało nieznany mi młody czarny kundelek na krzywych nogach.

– Nie musimy jeszcze iść, prawda? – spytała Scout na powitanie.

– A kto to? – odpowiedziałem pytaniem, spoglądając na kundelka.

– To jest Biscuit – wyjaśniła Shavon.

– Zje pan krokieta z mięsem – oznajmiła pani Murphy, wychodząc zza drzwi.

Scout pobiegła za swoją przyjaciółką, chłopczyk i dwa psy deptały im po piętach. Pani Murphy wprowadziła mnie do mieszkania, gdzie zostałem radośnie przywitany przez jej męża, Dużego Mikeya – szczupłego, eleganckiego mężczyznę o siwych włosach i starannie przystrzyżonych wąsach, który wcale nie był szczególnie duży – oraz ich syna, Małego Mikeya, czarnowłosego olbrzyma koło trzydziestki, który pod żadnym względem nie mógł nazwać siebie małym. Żona Małego Mikeya, Siobhan, trzymała na rękach niemowlaka w niebieskim ubranku. Najmniejszego Mikeya.

Choinka migotała i skrzyła się lampkami. Kirsty MacColl i Shane MacGowan opowiadali swoją bajkę o Nowym Jorku. Dostałem krokiety i piwo. Przez moment wpatrywałem się w butelkę piwa tak, jakbym nigdy dotąd nie widział czegoś podobnego.

– Za późno na kawę – wyjaśniła pani Murphy. – Nie mógłby pan zasnąć.

Skinąłem głową i wymamrotałem słowa podziękowania za opiekę nad Scout, ale oni odpowiedzieli jednym głosem, że to żaden problem, że jest wspaniała i że dzieciaki mają się przynajmniej z kim bawić. Byli najmilszymi ludźmi, jakich kiedykolwiek spotkałem.

Przypuszczam, że w gruncie rzeczy byli małą rodziną. Jakby na przekór wszystkim katolickim stereotypom Mały Mikey był

jedynakiem. Jednak trzy pokolenia Mikeyów i tak wydawały się potężnym klanem w porównaniu ze mną, Scout i Stanem.

Prowadzili własną firmę hydrauliczną i widziałem, że nawet dziś tak naprawdę nie mają wolnego. Duży Mikey zerkał na swojego iPada, próbując wcisnąć gdzieś w plan dnia wizytę u kobiety z Barnet, w której mieszkaniu pękła rura, podczas gdy Mały Mikey rozmawiał z mężczyzną z Camden, któremu zepsuł się bojler. A gdy nagle zawibrował mój telefon, zrozumiałem, że i mój dzień pracy nie dobiegł jeszcze końca.

Spojrzałem na wiadomość. Było źle. Mały mięsień obok lewego oka zaczął mi miarowo pulsować. Przykryłem go dłonią, by tamci tego nie zobaczyli.

Duży Mikey i Mały Mikey patrzyli na mnie ze współczuciem.

– Święta – powiedziała pani Murphy. – Dużo pracy.

. . .

Duży dom stał na ogrodzonym osiedlu w Highgate.

„Ogród”, głosił napis na bramie.

Był to najwyżej położony punkt Londynu, na północ, z dala od centrum miasta i jego wyziewów. Stałem przed elektronicznie sterowaną bramą, z legitymacją w dłoni, i wciągałem w płuca czyste, słodkie, niemal alpejskie powietrze.

Umundurowany policjant kazał mi się wpisać na listę. Brama powoli się otwierała. Od strony domu szła do mnie posterunkowa Edie Wren w butach na wysokim obcasie. Jej rude włosy były wysoko upięte, wyglądała tak, jakby właśnie wybierała się na randkę, gdy ją tu wezwano.

Ponownie ogarnąłem spojrzeniem zamknięte osiedle.

– Te wszystkie domy stoją puste?

Ostatnimi laty, kiedy w Londynie zamieszkało więcej miliarderów niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie, wiele domów kupowano tylko po to, by nabierały wartości, a nikt w nich na co dzień nie mieszkał.

Bogaci zawsze mieli jakieś ciekawsze miejsca do odwiedzenia.

– Niektóre tak, ale ten akurat nie – odparła Wren. – To cała rodzina, Max. – Zawahała się na moment, jakby sama nie mogła w to uwierzyć. – Rodzice. Dwoje nastoletnich dzieci. Fachowa robota. Wygląda na egzekucję.

Brama zamknęła się za nami.

W skład osiedla wchodziło sześć dużych domów. Nasza taśma otaczała jeden z nich, obok ekipa dochodzeniowo-śledcza, czyli technicy kryminalistyki, wkładała białe kombinezony, a umundurowani policjanci przytupywali w miejscu, by się rozgrzać. Robiło się coraz ciemniej, w półmroku migotały niebieskie światła radiowozów.

Za wysokim murem osiedla widać było ciemną zieleń lasu ciągnącą się ku niewidocznemu horyzontowi. Kiedy jednak wytężyłem wzrok, dostrzegłem między drzewami i krzewami wielkie krzyże, kamienne anioły i sylwety zaniedbanych grobowców. Był to stary cmentarz, zagarnięty z powrotem przez naturę.

Cmentarz Highgate.

Umundurowani policjanci pukali do drzwi innych domów, gdzie w oknach migotały lampki choinek. Na środku drogi, zablokowanej przez nasze radiowozy, stał ochroniarz, z którym rozmawiał młody czarnoskóry detektyw, podkomisarz Curtis Gane. Kiedy mnie dostrzegł, skinął na powitanie głową i położył dłoń na ramieniu ochroniarza. Mężczyzna wyglądał na zszokowanego. Był bosy.

– Wezwał nas ten strażnik – wyjaśniła Wren. – Robił obchód, zauważył, że drzwi frontowe są otwarte, i wszedł do środka.

– A potem przeszedł przez cały dom – dodałem.

– Nic na to nie poradzimy. – Westchnęła. – Ekipa zna rozmiar jego butów, bez trudu wyeliminują te ślady. – Wskazała na sterowaną elektronicznie bramę. – Mówi, że nikt nie może tu wejść bez jego wiedzy.

– Zatem weszli od tyłu – odparłem. – Po drugiej stronie muru jest cmentarz Highgate West.

– Tam pochowano Karola Marksa, tak?

– Marksa pochowano na Highgate East. To po drugiej stronie Swain's Lane, tamta część jest otwarta i dostępna dla wszystkich. Tutaj jest Highgate West, na co dzień zamknięty. Otwierają go tylko na czas pogrzebów albo dla wycieczek.

Wren spojrzała z powątpiewaniem na cmentarz ukryty w lesie. W przedwieczornym mroku widać było jedynie pochylone głowy betonowych aniołów.

– Więc nadal grzebie się tu ludzi?

Skinąłem głową.

– Ja wszedłbym właśnie tędy – powiedziałem, zakładając lateksowe rękawiczki.

Przy taśmie pokazaliśmy legitymacje, ponownie wpisałem się na listę. Dotarliśmy do Highgate w błyskawicznym tempie, więc ekipa dochodzeniowo-śledcza nie zdążyła jeszcze wejść do środka. Wszyscy byli już gotowi do pracy, ubrani w zabawne białe kombinezony i niebieskie rękawiczki, musieli jednak poczekać, aż oficer prowadzący śledztwo obejrzy miejsce zbrodni, a fotograf wszystko udokumentuje – utrwali wygląd wnętrza domu w takim stanie, w jakim je znaleźliśmy, nietkniętym i przerażającym. Bo później, kiedy już tam wejdziemy, wszystko się zmieni.

W pobliżu raz po raz skrzeczały policyjne krótkofalówki, z dala dochodziło wycie syren kolejnych radiowozów jadących na miejsce

zbrodni. Ale wszyscy musieli poczekać, aż komisarz Pat Whitestone jako pierwsza obejrzy wnętrze domu.

Tuż przed drzwiami frontowymi, których pilnowało dwóch umundurowanych policjantów, Wren przystanęła raptownie.

– Spójrz – powiedziała.

W krzakach, wciśnięta głęboko między gałęzie, tkwiła długa tyka. Była wykonana z bambusa, miała jakieś trzy metry długości, a do jednego z końców przymocowano kawałek lśniącego metalu w kształcie litery S. Hak rzeźniczy. Całość przypominała prymitywną wędkę. Tak też nazywaliśmy popularną metodę włamywania się do domów.

– Na wędkę – stwierdziła głośno Wren. – Pewnie tak się tu dostał. – Odwróciła się i przywołała jednego z techników. – Można to zabrać i zapakować?

Napastnik zapewne wsunął tyczkę przez otwór na listy i hakiem przyciągnął klucze porzucone niedbale przy drzwiach.

– Wszyscy myślą, że są bezpieczni. – Westchnąłem, kręcąc głową.

Wnętrze domu wypełniał duszący zapach benzyny.

Długi biały korytarz oświetlony białymi lampkami punktowymi prowadził do masywnego dwupoziomowego atrium, rozległego dziedzińca zamkniętego z drugiej strony szklaną ścianą. Ktoś próbował podpalić dom. Dwaj strażacy oglądali uważnie czarną plamę spalenizny i sadzy pokrywającą w całości jedną ze ścian oraz połowę podłogi w kuchni i jadalni. Stał tutaj duży stół dla dwunastu osób. Za szklaną ścianą kryła się ciemność.

Komisarz Whitestone stała nad półnagim ciałem. Były to zwłoki kilkunastoletniego chłopca z otworem po kuli na środku czoła. Oczy dzieciaka były szeroko otwarte, nogi rozrzucone pod dziwnym kątem.

– Max – powiedziała cicho Whitestone, zdejmując okulary i przecierając oczy. To był ciężki dzień, który zostawił na jej twarzy

wyraz napięcia i zdenerwowania. Mówiła jednak ze spokojem właściwym prawdziwej profesjonalistce, gotowej do pracy. – Jak myślisz, co to było? – spytała. – Dziewięć milimetrów?

Chłopiec wyglądał tak, jakby strzelono do niego z bardzo małej odległości.

– Prawdopodobnie. – Podłoga wykonana była z polerowanego drewna, byłem pewien, że zobaczę na niej lśniącą łuskę. – Nie widzę tu żadnych łusek – powiedziałem.

– Bo ich nie ma – odparła Whitestone.

Przez chwilę milczeliśmy oboje, przejęci tą samą myślą. Fakt, że morderca zadał sobie trud i pozbierał łuski, był imponujący.

– Co mu się stało w nogi? – spytał Gane. – Wygląda to tak, jakby ktoś potraktował go wielkim młotem.

– Albo przejechał samochodem – dorzuciła Edie Wren, przyglądając się uważniej chłopcu. – Myślę, że był już na zewnątrz. Ma na rękach drobiny żwiru.

W rogu stał kosz dla dużego psa. Z boku widniał haftowany napis: NAZYWAM SIĘ BUDDY.

– Co się stało z psem? – spytałem.

– Z psem? – wściekł się nagle Gane. – Martwisz się o psa? Mamy tu rzeźnię w stylu Charlesa Mansona, a ty martwisz się psem?

Nie potrafiłem mu tego wyjaśnić. Pies również był członkiem tej rodziny.

– Hej, ktoś już sprawdzał, co ze złotą rybką? – zawołał Gane. – A jak tam chomik? Sprawdź mu tętno, Wolfe, dobrze? Nie zapomnijcie też o papużce.

– Wystarczy – rzuciła krótko Whitestone, uciszając go. – Chodźmy na górę obejrzeć resztę domu.

Wielka szklana ściana zapłonęła nagle światłem.

Ekipa dochodzeniowa zapaliła swoje lampy łukowe na tyłach domu.

Na zewnątrz był skalny ogródek, drobne kamyki ułożone wokół głazów – coś jak jeziorko ze żwiru. Ogród w stylu japońskim. Na środku znajdował się świątynny dzwon pokryty zieloną patyną lat. Przy mocniejszych podmuchach wiatru poruszał się i dzwonił cicho.

Przez chwilę trwałem w bezruchu, zachwycony tym nieoczekiwanym pięknem. W rogu ogrodu leżał pies, golden retriever. Wyglądał tak, jakby spał, wiedziałem jednak, że to nie sen.

Kiedy się odwróciłem, Whitestone, Gane i Wren weszli już na górę.

Ruszyłem ich śladem. Zobaczyłem, że ściany klatki schodowej obwieszone są zdjęciami. Wysmakowanymi czarno-białymi fotografiami w wąskich czarnych ramkach. Były to zdjęcia rodziny, która mieszkała w tym pięknym domu.

Wkrótce zrozumiałem, że byli idealną, kochającą się rodziną.

Miałem wrażenie, że mógłbym opowiedzieć ich historię tylko na podstawie tych fotografii. Matka i ojciec wyglądali tak, jakby pobrali się młodo i przez całe życie byli zdrowi, wysportowani i szczęśliwi.

Mężczyzna był wysoki, atletycznie zbudowany, na jego twarzy malował się wyraz łagodnego rozbawienia. Wyglądał na około czterdzieści pięć lat. Kobieta, jakieś dziesięć lat młodsza, była olśniewająco piękna, wydawała mi się też dziwnie znajoma. Przypominała Grace Kelly – miała tego samego typu urodę, nieziemską i zachwycającą.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić, by mogli mieć jakiekolwiek problemy. Byli zdrowi, mieli pieniądze i siebie nawzajem. Mieli też dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Wchodząc na schody, mogłem obserwować, jak oboje dorastali.

To były ładne, wysportowane dzieciaki. Jedno ze zdjęć przedstawiało dziewczynkę na boisku hokejowym, z pomarańczowym

ochraniaczem w zębach. Z powagą wpatrywała się w aparat. Chłopiec, jej brat, stał pośrodku drużyny futbolowej i z radością podnosił puchar. Jakoś nie potrafiłem połączyć tego uśmiechniętego chłopaka z ciałem leżącym na dole.

Na zdjęciach w górnej części schodów chłopiec i dziewczynka mieli już po kilkanaście lat, właściwie nie byli już dziećmi. Dopiero teraz zrozumiałem, że chłopak był nieco starszy od siostry, ale niewiele, może o rok. Było tam też zdjęcie całej rodziny pod choinką. I kolejne w restauracji przy plaży. Na fotografiach z późniejszego okresu pojawiał się również golden retriever, który wyglądał tak, jakby nieustannie się cieszył, że trafił do tak wspaniałej rodziny. Ten sam pies, który teraz leżał w japońskim ogrodzie. Na ostatnim zdjęciu kobieta o urodzie Grace Kelly tuliła dziecko.

Chłopca. Może czteroletniego. Domyślałem się, że jest nieplanowanym dzieckiem. Ich życie było już kompletne. Ściana na fotografie wypełniona. Prawdopodobne nie przypuszczali, że będą mieli jeszcze więcej dzieci. Potem pojawił się chłopiec i przypieczętował ich szczęście. Tak, wyglądał na jakieś cztery lata.

Rok młodszy od Scout, pomyślałem.

Potem z góry zszedł fotograf.

Dotknąłem jego ramienia.

– Jesteście pewni, że nikt nie przeżył? – spytałem.

– Lekarz jeszcze nie przyjechał, więc oficjalnie nie stwierdzono zgonu. Ale obszedłem już cały dom. Wszędzie tylko trupy. Przykro mi.

Coś ścisnęło mnie za gardło, przełknąłem ciężko ślinę, próbując zapanować nad emocjami.

Cała rodzina.

Gane miał rację. Rzeźnia w stylu Charlesa Mansona.

Na korytarzu na piętrze leżało jeszcze jedno ciało. Dziewczyna, ubrana na sylwestrowe przyjęcie, ułożona na boku. Nie widziałem

rany postrzałowej, ale jej szyję oplatało coś, co wyglądało jak krwawy naszyjnik. Usłyszałem głosy dochodzące z drugiego końca korytarza, z głównej sypialni. Ruszyłem w tę stronę, przygotowując się w duchu na kolejny makabryczny widok.

Kobieta o urodzie Grace Kelly leżała na łóżku, woal jasnych włosów zakrywał jej twarz. Poduszka, na której leżała, była czerwona od krwi, nie widziałem jednak rany wlotowej. Zdaje się, że podobnie jak jej córka, została zabita strzałem w tył głowy.

– Wygląda na to, że przyszli po ojca – powiedziała Whitestone.

Nagie ciało mężczyzny było oparte o toaletkę. Oddano do niego dwa strzały z małej odległości, w oboje oczu. Teraz patrzył na nas pustymi oczodołami. Wziąłem głęboki oddech i zmusiłem się do spojrzenia w te zakrwawione, zmaltretowane otwory. Na białej toaletce widniał krąg rozbryzganego mózgu i krwi.

– Na to wygląda – odpowiedział po chwili Gane. – Przyszli po ojca, a potem postanowili załatwić całą rodzinę. Kobietę. Dziewczynkę. Chłopca. Wykonano na nich egzekucję. Ale w przypadku ojca to była sprawa osobista.

Wszyscy czworo staliśmy nieruchomo niczym grupa żałobników.

– A co z tym małym chłopcem? – spytałem w końcu.

Cisza zrobiła się tak gęsta, że można by ją kroić nożem.

– Z jakim małym chłopcem? – odpowiedziała Whitestone.

. . .

Specjalistyczna jednostka poszukiwawcza pojawiła się na miejscu po piętnastu minutach.

Zespół jest częścią SO20, Dowództwa Ochrony i Walki z Terroryzmem. Zbierają dowody po atakach terrorystycznych

i przygotowują teren przed wizytami państwowymi lub ważnymi uroczystościami. Współpracują również z wydziałem zabójstw.

Czekając na ich przyjazd, przetrząsnęliśmy każdy zakątek domu, szukając małego martwego ciała. Potem do akcji wkroczyli specjaliści z jednostki poszukiwawczej.

Podnosili dywany, zrywali deski z podłóg, wybijali dziury w ścianach. Zaglądali na strych, do koszy na śmieci i do studzienek kanalizacyjnych. Sprawdzali kuchenkę, mikrofalówkę i pralkę. A kiedy już zrobili to wszystko i niczego nie znaleźli, przeszli do ogrodu i szukali pod kamieniami. Potem przenieśli się na drugą stronę muru, na cmentarz Highgate.

Słońce wzeszło dopiero przed ósmą. W tym czasie policjanci z jednostki poszukiwawczej wciąż badali na klęczkach każdy centymetr cmentarza Highgate. Kilka godzin wcześniej komisarz Whitestone wszczęła alarm związany z zaginięciem dziecka.

Jednak nawet gdy słońce stało już wysoko na niebie, nasi ludzie wciąż przeszukiwali cmentarz, sięgali w gęstwinę bluszczu, oświetlali latarkami wnętrze zakurzonych krypt, zaglądali za posągi aniołów o pustych twarzach.

3

Zaginiony chłopiec uśmiechał się do nas nieśmiało ze ściany pokoju operacyjnego numer dwa.

Zaginione dzieci zawsze uśmiechają się na zdjęciach. Właśnie to jest najbardziej rozdzierające, te dziecięce uśmiechy radości uchwycone podczas wakacji na plaży albo na urodzinowym przyjęciu, gdy nikomu nawet się nie śni, co się wydarzy w niedalekiej przyszłości.

– Wszyscy wiecie, jak to działa – powiedziała komisarz Whitestone. – Znajdziemy go szybko…

Nie musiała kończyć, bo wszyscy i tak znali resztę na pamięć.

Albo nigdy go nie znajdziemy.

Wbijano nam do głów tę okrutną prawdę od czasów szkolenia. Wszystkie statystyki mówiły, że albo znajdzie się dziecko szybko, albo prawdopodobnie nie uda się odnaleźć go żywego. Jeśli nie odnajdziemy chłopca w ciągu doby – najpóźniej w ciągu tygodnia – nie znajdziemy go w ogóle albo natrafimy co najwyżej na jego ciało ukryte w walizce, porzucone na dnie rzeki lub zakopane w płytkim grobie. Zwykle gdy dziecko nie wraca do rodziny w ciągu tygodnia, nie można liczyć na szczęśliwe zakończenie.

Przyjechaliśmy na Savile Row 27 prosto z domu na wzgórzu, gdzie spędziliśmy całą noc.

Uśmiechnięty chłopiec miał już teraz imię i nazwisko.

Bradley Wood.

Bradley miał cztery lata i krzywy, zawadiacki uśmiech. W środku nocy lekarz oficjalnie stwierdził zgon jego rodziców i rodzeństwa. Patrząc na uśmiechniętą twarz Bradleya Wooda, rozmyślałem o tym, jak odnajdzie się w świecie pozbawionym rodziny… jeśli zdołamy go ocalić.

Zrobiłem sobie kolejne potrójne espresso i odsunąłem od siebie tę myśl.

Najpierw musimy go znaleźć.

W małej, dziecięcej rączce trzymał swoją ulubioną zabawkę – dwudziestocentymetrową plastikową figurkę mężczyzny w białej koszuli, czarnej kamizelce i butach z cholewami. Przyjrzałem mu się bliżej i rozpoznałem Hana Solo, zawadiackiego dowódcę Sokoła Millennium.

– Co wiemy o ofiarach? – spytała komisarz Whitestone, zdejmując okulary i przecierając je wymiętą serwetką z Caffè Nero. Wyglądała na wykończoną. Wszyscy byliśmy wykończeni. Nasz zespół śledczy spędził całą noc na miejscu zbrodni, przyjechał o świcie na Savile Row 27 – do komisariatu głównego na West Endzie – i przez kilka godzin zajmował się identyfikacją ofiar. Teraz było wczesne popołudnie, a blade zimowe słońce pochylało się już nad budynkami Mayfair.

– To rodzina Woodów – powiedziałem, naciskając klawisz na swoim laptopie. – Ofiary.

Na ścianie pokoju wisiał wielki telewizor, a na jego ekranie ukazało się jedno z rodzinnych zdjęć, które widziałem na klatce schodowej w domu Woodów.

Uśmiechali się do nas. Piękna para. Dwoje nastoletnich dzieci. Bogaci, wysportowani, atrakcyjni. Tulili się do siebie w jakimś ośrodku narciarskim, roześmiani i radośni, trzymając pośrodku małego Bradleya.

– Ojciec, Brad, był agentem sportowym. Matka, Mary, zajmowała się prowadzeniem domu. Chłopiec, Marlon, miał piętnaście lat, dziewczynka, Piper, czternaście. Oboje chodzili do prywatnych szkół w Hampstead. No i jest jeszcze mały Bradley.

Whitestone pokręciła głową.

– Dlaczego mam wrażenie, że ich znam? – mruknęła.

– Rozpoznajesz matkę – wyjaśniłem. – Mary Wood nazywała się kiedyś Mary Gatling i przez krótki czas była bardzo sławna.

Zaskoczona Whitestone zamrugała.

– Ta Mary Gatling? Z olimpiady zimowej w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku?

Skinąłem głową.

– W Lillehammer w Norwegii. Nazywali ją Lodową Dziewicą.

– Mary Wood była Lodową Dziewicą? – zdumiała się ponownie komisarz. – Dziewczyną, która powiedziała, że nie będzie uprawiać seksu, dopóki nie wyjdzie za mąż?

– To właśnie ona. Reprezentowała Wielką Brytanię w narciarstwie zjazdowym. Nie zdobyła medalu, ale trafiła na pierwsze strony gazet. Oświadczyła publicznie, że nie odda się nikomu, dopóki nie wyjdzie za mąż. Miała wtedy swoje pięć minut sławy.

– Na igrzyskach w Lillehammer poznała też swojego męża, prawda?

– Tak. Brada Wooda. Amerykanina. Z zamożnej rodziny z Chicago. Startował w biathlonie. Otarł się o medal. Poznał Mary w wiosce olimpijskiej.

– Więc to jest Lodowa Dziewica – mówiła Whitestone, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Mary Gatling. Nic się nie postarzała, prawda?

– Gatling? – odezwała się Edie Wren. – Jak Gatling Homes? Ci deweloperzy?

– Zgadza się – potwierdziłem. – Mary była najstarszą córką Victora Gatlinga. Bardzo bogata rodzina. Jej ojciec zaczynał w latach sześćdziesiątych, pracował dla właścicieli mieszkań na wynajem w slumsach. Potem kupił kawalerkę w Tottenham, wyremontował ją i sprzedał z zyskiem. I wtedy ruszył z biznesem na dobre. Jego firma prosperuje na rynku nieruchomości od dwudziestu lat. Sam Victor Gatling ma teraz pewnie co najmniej siedemdziesiątkę. Wiele nowych inwestycji w najlepszych dzielnicach Londynu to właśnie dzieło Gatling Homes: Kensington, Chelsea, Mayfair, Hampstead, Knightsbridge. Mówi się, że Victor Gatling zbił dwie fortuny: budując domy dla biednych imigrantów w dwudziestym wieku i budując domy dla bogatych imigrantów w dwudziestym pierwszym. Nazywają go człowiekiem, który zbudował Londyn. Odkąd przeszedł częściowo na emeryturę, firmę prowadzi jego syn, Nils.

– A mąż Mary jest agentem sportowym od dwudziestu lat? – spytała Whitestone.

– Nie, nie tak długo – odparłem. – Po ślubie z Mary Brad pracował przez kilka lat dla teścia. Widocznie nic z tego nie wyszło.

Zza okna dobiegły nas jakieś krzyki i trąbienie, wszyscy odwróciliśmy się w tę stronę. Cztery piętra niżej, na ulicy, panowało ogromne zamieszanie. Savile Row to wąska, ciasna uliczka, królestwo krawców i zagorzałych fanów Beatlesów szukających miejsca ostatniego występu zespołu. Teraz cały odcinek od skrzyżowania z Conduit Street na północy do Burlington Gardens na południu był wypełniony przedstawicielami mediów z całego świata. Tłum paparazzich, wielkie wozy transmisyjne z antenami satelitarnymi, armia dziennikarzy – wszyscy czekali przed wejściem do budynku numer 27 przy Savile Row.

– Szefowo, znów dzwoniła ta babka z działu kontaktów z mediami – powiedziała Wren.

– Tak?

– Chce wiedzieć, kiedy spotka się pani z dziennikarzami – wyjaśniła Wren. – Jutro rano zdjęcie małego Bradleya będzie na pierwszych stronach wszystkich gazet. Dziś wieczorem będzie we wszystkich dziennikach telewizyjnych. Już teraz jest w internecie. A tam na dole nic się nie zmienia.

– Powiedz jej, że spotkam się z mediami, kiedy najbliżsi ofiar zidentyfikują ciała – odparła zniecierpliwiona Whitestone.

Wren zawahała się na moment.

– Dzwonili też z biura komendanta głównego.

– Czego chcieli?

– Też pytali, kiedy wyjdzie pani do dziennikarzy.

Whitestone skinęła posępnie głową.

– Możesz im powiedzieć dokładnie to samo: Nie będę rozmawiała z dziennikarzami, dopóki najbliżsi ofiar nie zidentyfikują ciał.

– Właśnie to robią – wyjaśniła Wren. – Najbliższa krewna Mary Wood przyjechała już do Iain West.

W Centrum Medycyny Sądowej Iaina Westa, nazwanym tak na cześć legendarnego patologa policyjnego, mieściło się prosektorium.

– Kto tam jest?

– Siostra Mary Wood, w towarzystwie funkcjonariuszki odpowiedzialnej za kontakty z rodzinami ofiar.

Whitestone skinęła głową i odwróciła się do wielkiej ściennej mapy Londynu.

– Jak idą poszukiwania, Curtis?

– Problem polega na tym, że miejsce zbrodni i tym samym obszar poszukiwań to najbardziej zielona część Londynu – tłumaczył podkomisarz Curtis Gane. – Mnóstwo drzew, krzewów, zarośniętych rowów. Cmentarz Highgate. Park Waterlow. Las Highgate. Wrzosowisko Hampstead. Kilka pól golfowych. Jak igła w stogu siana.

– No i sporo wody – dodała Whitestone. – Stawy w Highgate i Hampstead. Trzy zbiorniki wodne w odległości około dwudziestu minut jazdy samochodem?

– Tak, szefowo – potwierdził Gane. – Brent na zachodzie. Manor House i Tottenham Hale na wschodzie. Wezwaliśmy nurków, już tam jadą. To trudne zadanie, ale grupy poszukiwawcze mają wszystko, co trzeba, nie tylko zwykłe psy tropiące, ale i psy szkolone do wyszukiwania zwłok.

Przez chwilę patrzyliśmy w milczeniu na zdjęcie rodziny Woodów.

– To nie ma sensu, prawda? – Whitestone westchnęła. – Szaleni mordercy nie wdzierają się na strzeżone posesje otoczone drutem kolczastym. A płatni zabójcy nie porywają dzieci. – Umilkła na moment, zastanawiając się nad tym, próbując zrozumieć. – Kto zabija czworo ludzi, a potem kradnie ich dziecko? Dlaczego w ogóle ktoś kradnie dziecko?

– Okup – odparł Gane. – To by miało sens. Porwanie dla okupu. To bardzo bogaci ludzie.

– Albo nielegalny handel – dorzuciła Wren. – Porwanie z zamiarem wykorzystania seksualnego, nielegalnej adopcji albo sprzedaży organów.

– I morderstwa – dokończyłem.

– Sprowadźcie tu doktora Joego – poleciła Whitestone. – Musimy przygotować profil psychologiczny szajbusa, który potrafi zabić rodzinę, a potem porwać ich dziecko.

Wren sięgnęła po telefon i wybrała numer doktora Joego Stephena, psychologa sądowego, który na co dzień pracował w King’s College w Londynie.

– Żadnej broni? – spytała Whitestone.

Gane pokręcił głową.

– Na razie nie.

– Odciski palców? Chociaż częściowe?

– Dostaliśmy już raport od ekipy – wtrąciłem. – Cały dom został profesjonalnie wyczyszczony z odcisków. Ale to pasuje do faktu, że nie znaleźliśmy łusek. Skoro pozbierał łuski, to pewnie pamiętał o zatarciu śladów.

– Myślisz, że to był jeden człowiek? – zdziwiła się Wren. – Zabicie całej rodziny to nie byle co. Dlaczego uważasz, że…

Na ulicy rozległ się potężny ryk.

Podszedłem do okna.

– Ktoś rozmawia z prasą – powiedziałem.

Whitestone zmarszczyła brwi i poprawiła okulary.

– Co?!

Wychyliliśmy się przez okno, ale widzieliśmy jedynie zbity tłum dziennikarzy. Włączyliśmy więc telewizję i oglądaliśmy relację.

Pod starą niebieską latarnią, na schodach prowadzących do drzwi budynku, stali mężczyzna i kobieta. Kobieta była nieco młodszą wersją Mary Wood, miała taką samą chłodną urodę blondynki. Niczym dziewczyna z filmów Hitchcocka. Mężczyzna był starszy, miał rzednące jasne włosy. Obok stały funkcjonariuszka odpowiedzialna za kontakty z rodzinami ofiar i rzeczniczka prasowa, dwie młode kobiety w kostiumach, obie ze zbolałymi minami.

– Panie i panowie, proszę o uwagę – przemówiła rzeczniczka prasowa. – Czy mogliby się państwo tak nie pchać? Bardzo proszę! Towarzyszą mi pan Nils Gatling i pani Charlotte Gatling, brat i siostra zmarłej Mary Gatling-Wood.

Dziennikarze, niepomni próśb rzeczniczki, parli do przodu. Umundurowani policjanci z trudem powstrzymywali ich od wejścia na schody komisariatu głównego na West Endzie.

Whitestone zaklęła głośno.

– Tylko nie mówcie mi, że oni naprawdę chcą wygłosić jakieś oświadczenie – powiedziała.

– A nie przyda nam się pomoc społeczeństwa? – spytała Wren.

– Nie chcemy ich pomocy – burknął Gane.

– Owszem, liczymy na pomoc społeczeństwa – tłumaczyła Whitestone. – Ale może być tej pomocy za dużo, Edie, a czasem może się okazać zupełnie niewłaściwa.

– Nie chcemy, żeby po lesie Highgate przewalały się tłumy ochotników szukających ciała – dodał Gane. – I nie chcemy, żeby dzwonił do nas każdy, kto zobaczy jasnowłosego czterolatka. Nie chcemy zadawać się z wariatami i nadgorliwcami. Nie chcemy, żeby banda maniaków o ptasich móżdżkach ciągle wchodziła nam w drogę. Bo to nam wcale nie pomaga, a tylko utrudnia wykonywanie roboty.

– Teraz i tak już tego nie powstrzymamy. – Whitestone westchnęła.

Głos zabrał roztrzęsiony i zrozpaczony Nils Gatling.

– Moja siostra i ja widzieliśmy właśnie ciała naszej ukochanej siostry i jej wspaniałej rodziny – zaczął, czemu towarzyszyła prawdziwa eksplozja świateł lamp błyskowych. W jego stronę pochylił się las mikrofonów. – Wciąż trudno nam uwierzyć, że naprawdę doszło do tej tragedii – kontynuował. – Rodzina naszej siostry została zniszczona, a nasze serca pękają z bólu. Moja rodzina i ja oczywiście będziemy współpracować z policją na wszelkie możliwe sposoby, by postawić przed sądem tych, którzy to zrobili. Jesteśmy teraz myślami przy najmłodszym dziecku naszej siostry… – przerwał na moment i podniósł wzrok – Bradleyu.

– Proszę – przemówiła jego siostra, głosem cichym i łagodnym jak podczas modlitwy. Kamera natychmiast odwróciła się w jej stronę. – Proszę, nie krzywdźcie mojego siostrzeńca.

Nie płakała. Jednak jej rozpacz była tak oczywista i przejmująca, że mimowolnie wstrzymałem oddech.

– Bradley to cudowny chłopczyk, który nigdy nikomu nie zrobił nic złego – mówiła dalej. – Nie skrzywdźcie go. Proszę, proszę. Odprowadźcie go do domu, do jedynej rodziny, która mu została. Oddajcie nam Bradleya.

Kamera nie odwracała się od niej.

Kamera ją kochała.

– Tak będą jutro wyglądały nagłówki – powiedział Gane. – „Oddajcie nam Bradleya".

– Wygląda jak nowsza wersja tej… jak się nazywa ta aktorka? – zastanawiała się Wren. – O, już wiem. Michelle Pfeiffer.

Kamera wciąż nie mogła się oderwać od tego hipnotyzującego połączenia urody i smutku.

Nils Gatling dorzucił jeszcze kilka słów, potem odezwała się rzeczniczka prasowa, wygłaszając jakieś banały o poszanowaniu prywatności.

Mimo to kamera nadal pokazywała Charlotte Gatling.

Kamery innych telewizji również nie miały jej dość, podobnie jak fotoreporterzy, którzy za wszelką cenę chcieli uwiecznić twarz kobiety w tym właśnie miejscu, pod niebieską latarnią przy Savile Row 27, w zimny styczniowy dzień.

Uświadomiłem sobie nagle, że i ja nie mogę oderwać od niej wzroku.

Usłyszałem westchnienie Whitestone.

– Będziemy potrzebowali większej sali – powiedziała.

. . .

Obudziłem się nagle w środku nocy.

Zegarek przy moim łóżku wskazywał czwartą dziesięć nad ranem.

Za wcześnie, żeby wstawać. Za późno, żeby kłaść się z powrotem spać.

Co mnie zbudziło?

Przeszedłem szybko do pokoju Scout, ale smacznie spała. Jej szkolne ubrania wisiały na staromodnym drewnianym wieszaku, gdzie zostawiła je pani Murphy.

Patrzyłem przez chwilę na twarz śpiącej córeczki, nie mogąc się nadziwić, że przyczyniłem się w pewnym stopniu do narodzin najpiękniejszego dziecka na świecie. Wiem, że każdy rodzic tak myśli. Mój przypadek był o tyle inny, że moja córeczka rzeczywiście była najpiękniejszym dzieckiem na świecie.

Ruszyłem na palcach do kuchni, gdzie w ciemnościach pochrapywał Stan, rzężąc i poświstując przez spłaszczony nos niczym astmatyczny starzec. Zrobiłem sobie kawę i spojrzałem na telefon. Piętnaście minut temu Edie Wren przysłała mi wiadomość:

Wiem, dlaczego umarli.

Wybrałem jej numer, podszedłem do okna i spojrzałem w dół, na jaskrawe światła hali mięsnej Smithfield.

Czwarta rano, a ludzie pracowali już pełną parą. Podniosło mnie to trochę na duchu, nie czułem się już jak wariat, który wstaje w środku nocy nie wiadomo po co. Wren odebrała natychmiast. Wyczułem, że w ogóle nie spała.

– Są bardzo mocno obecni w internecie – powiedziała. – Woodowie. Spróbuj ich wygooglować, Max. – Włączałem już swojego macbooka air. – W niecałe pół sekundy wyskakuje siedem milionów wyników.

– Dlatego, że startowali w Lillehammer – zaoponowałem. – I dlatego, że była wtedy Lodową Dziewicą. Teraz nie możesz być sławny tylko przez piętnaście minut. Wszystko zostaje w sieci na zawsze.

– Nie chodzi jedynie o to – odparła Wren. – O zimową olimpiadę i Mary Lodową Dziewicę. Chodzi o współczesność. Oni zamieszczali filmy w internecie. Wiesz, szczęśliwa rodzina: Tutaj bawimy się w Val d'Isère. Tutaj obchodzimy urodziny. Tu pływamy jachtem w pobliżu Barbadosu. Och, a tutaj wyglądamy wprost bajecznie.

Google wyświetlał tyle wyników związanych z rodziną Woodów, że nie wiedziałem, od czego zacząć.

– Co masz konkretnie na myśli? – spytałem. – Dzielenie się szczęściem czy popisywanie?

– A jest jakaś różnica?

Zdążyłem już uruchomić YouTube'a i oglądałem film ze Świąt Wielkanocnych rodziny Woodów w norweskiej miejscowości Geilo. Wyglądali jak rodzina w reklamie czegoś, czego – jak ci się wydaje – ogromnie potrzebujesz. Kiedy przewinąłem stronę, znalazłem w komentarzach pod ich uśmiechniętymi twarzami tyle złości, obelg i pogardy, że wzdrygnąłem się z obrzydzenia. Ich szczęście doprowadzało anonimową widownię do wściekłości.

– Chcę wyłączyć te komentarze, Edie – powiedziałem. – Czuję się, jakbym pływał w szambie.

– Nie możesz ich wyłączyć, Max. Nigdy nie możesz ich wyłączyć.

– Zatem jak brzmi twoja teoria?

– To nie jest teoria – odparła. – Miałam ochotę powiedzieć o tym już na spotkaniu, ale zabrakło mi odwagi. Bo to brzmi trochę głupio.

– Wal śmiało.

– Spójrz na te komentarze, Max. Spójrz na to plugastwo. Zobacz, jak bardzo świat nienawidzi pięknych ludzi, ludzi bogatych i szczęśliwych, którzy mają pieniądze i miłość. Nie rozumiesz tego, Max? Ktoś zabił Woodów, bo byli szczęśliwi.

4

Wstaliśmy wcześnie, żeby zobaczyć konie królowej.

Było jeszcze ciemno, gdy wraz ze Scout i Stanem zajęliśmy miejsca na rogu Charterhouse Street i Farringdon Road. Jak zwykle rozmawialiśmy głównie o naszym psie.

– Stan nie ma takiego wesołego pyszczka jak inne psy, prawda? – spytała Scout.

Wiedziałem, co ma na myśli. Stan był wspaniałym zwierzakiem, ale nie przypominał tych uśmiechniętych, radosnych psów z roziskrzonymi oczami i wywieszonym językiem, które można zobaczyć w telewizyjnych reklamach psiej karmy. Stan nigdy nie miał szelmowskiej miny, lecz smutny grymas typowy dla wszystkich spanieli. Jednak jego ogon, który nieustannie poruszał się na boki niczym wycieraczka samochodowa, mówił jednoznacznie, że Stan cieszy się z naszego wspólnego porannego wyjścia. Jego rdzaworuda sierść wyglądała jak najdelikatniejszy jedwab, a ślepia wpatrywały się w Scout tak, jakby stanowiła centrum wszechświata.

– Tak, ale w środku się śmieje – odparłem. – O, już idą.

Drogą nadchodziły powoli dwadzieścia cztery konie, wszystkie czarne jak smoła. Nad ich rozgrzanymi ciałami unosiły się w mroźnym powietrzu kłęby pary. Konny Oddział Kawalerii Królewskiej wracał z porannego pojenia w ramach ćwiczeń dla koni, które tego dnia nie pełniły straży przed królewską siedzibą. Uważałem, że w pewnym sensie wygląda to bardziej imponująco niż oficjalna parada – żadnych złoceń, mieczy i pióropuszy, tylko konie

i żołnierze w zielonych polarach, ale ten widok wypełniał cały dzień magią.

Stan pociągnął mocniej za smycz, chcąc dołączyć do tego korowodu. Gdy Scout go przytrzymała, spojrzał na nią swymi wielkimi ślepiami, jakby chciał powiedzieć: „Hej, daj spokój…”.

Kiedy konie już przeszły, kierując się w stronę Victoria Embankment, w drodze powrotnej do koszar straży konnej, poszliśmy na śniadanie do Smiths of Smithfield.

Stan merdał ogonem na widok znajomych twarzy. Nasz pies bardzo lubił ludzi. Kiedy dziesięć tysięcy lat temu pierwsze dzikie psy zbliżały się niepewnie do ludzkich ognisk, dając w ten sposób początek największemu w przyrodzie przymierzu dwóch gatunków, opartemu na wymianie jedzenia i schronienia za psią miłość i ochronę, przodkowie Stana bez wątpienia byli na samym początku kolejki, lizali ludziom dłonie, machali ogonami i przewracali ślepiami.

Przez masywne okna widzieliśmy rzeźników ze Smithfield kończących nocną zmianę.

– Znaleźli już Bradleya? – spytała Scout.

– Co?

– Czy znaleźli już Bradleya? Czy wrócił już do domu?

– Skąd wiesz o Bradleyu, aniołku?

– Widziałam go w wiadomościach. Mówiła o nim ta pani.

– Aniołku, wiesz, że nie powinnaś oglądać wiadomości. – Była to jedna z zasad wprowadzonych przez jej matkę, a staraliśmy się trzymać wszystkich starych zasad. – W wiadomościach pokazują rzeczy nieodpowiednie dla dzieci w twoim wieku.

– Wiem. Oglądałam program dla dzieci, a potem zaczęły się wiadomości. Pani Murphy szybko przełączyła na program o gotowaniu. Ale w wiadomościach mówili najpierw o Bradleyu. I byłam ciekawa, czy już go znaleźli…

– Jeszcze nie. Ale znajdziemy go. Znajdziemy i sprowadzimy do domu.

– Skąd wiesz?

– Bo to moja praca.

Poczułem wibrowanie telefonu. Dzwoniła Whitestone.

– Potrzebujemy cię w Iain West – powiedziała. – Mamy pewien problem z ciałami.

. . .

– To nie są rany postrzałowe – oznajmiła Elsa Olsen, patolog sądowy. – Otwory, które widzieliście w ciałach ofiar i które, co całkiem zrozumiałe, wzięliście za rany wlotowe, to okrągłe uszkodzenia ciała. Okrągłe uszkodzenia czaszki w przypadku trzech ofiar i okrągłe uszkodzenia obu oczodołów w przypadku czwartej ofiary. Mamy tu do czynienia z morderstwem, ale przyczyną śmierci nie były rany postrzałowe, lecz urazy spowodowane jakimś narzędziem.

Wren czekała na naszą małą rodzinę przed wejściem do prosektorium przy Horseferry Road i natychmiast zabrała Scout oraz Stana na Savile Row 27, by tam bawić się z nimi i dokazywać. Scout lubiła Wren. A Stan oczywiście lubił wszystkich.

Teraz stałem wraz z komisarz Whitestone i z podkomisarzem Gane’em w prosektorium, ubrany podobnie jak oni w elegancki niebieski kombinezon i siatkę podtrzymującą włosy. Podobnie jak oni drżałem lekko w pomieszczeniu, w którym temperatura zawsze utrzymywała się odrobinę powyżej zera.

Rodzina Woodów leżała w rzędzie na stołach ze stali nierdzewnej.

Elsa Olsen przechadzała się między nimi powoli, relacjonując nam jednocześnie, czego dowiedziała się podczas sekcji. Widać było

miejsca, w których otworzyła zwłoki, a potem je zszyła. Na każdym z ciał znajdowały się nacięcia w kształcie litery Y, zaczynające się od ramion. Elsa przecięła żebra nożycami – jak większość patologów preferowała zwykłe nożyce ogrodnicze – by zbadać organy wewnętrzne. Na wierzchołkach głów ofiar widniały czerwone kółka znaczące miejsca, gdzie Elsa rozcięła i otworzyła czaszki, posługując się wibrującą piłą Stryker.

Whitestone wskazała głową na rany widoczne na ciele chłopca i mężczyzny. Rany wlotowe, które znaleźliśmy z tyłu głowy matki i córki, były teraz zakryte, widzieliśmy jednak pojedynczą ranę na czole chłopca i czarne otwory w miejscu, gdzie znajdowały się oczy jego ojca.

– Ale tu są kręgi postrzałowe – zauważyła komisarz.

Kręgi postrzałowe to czarne ślady, które pozostają na skórze ofiary, jeśli strzał został oddany z małej odległości. I rzeczywiście wokół rany na głowie chłopca i wokół oczodołów mężczyzny widać było czarną oparzelinę.

– Owszem – przyznała Elsa – ale tych śladów nie zostawiła broń palna, Pat. To było narzędzie. Narzędzie na tyle silne, że mogło wybić dziurę w czaszce i wepchnąć kawałek kości do mózgu. Ci ludzie nie zostali zastrzeleni. Zostali ubici.

Teraz już rozumiałem, dlaczego nie znaleźliśmy w domu łusek. Nie chodziło wcale o to, że zabójca był szczególnie skrupulatny – po prostu nie używał broni palnej.

Elsa Olsen była wysoką, niebieskooką Norweżką i jak wielu Skandynawów mówiła po angielsku lepiej niż rodowici Anglicy.

– Widziałaś już raport toksykologiczny? – spytała.

Whitestone pokręciła głową.

– Jeszcze do nas nie dotarł.

– Dowiesz się z niego, że w organizmach wszystkich czterech członków rodziny znajdują się ślady flunitrazepamu, czyli inaczej rohypnolu, substancji używanej w pigułce gwałtu – powiedziała Elsa. – Znalazłam je w ich układach trawiennych. Jak wiesz, rohypnol nie ma smaku ani zapachu, dlatego nie wyczuliście go na miejscu zbrodni.

– Więc tak ich obezwładniono – mruknęła Whitestone. – Rohypnolem.

– Wszyscy zostali zamordowani – mówiła dalej Elsa. – Biały mężczyzna, czterdzieści pięć lat, Brad Wood. Biała kobieta, trzydzieści pięć lat, Mary Wood. Biały mężczyzna, piętnaście lat, Marlon Wood. Biała kobieta, czternaście lat, Piper Wood. Kiedy znaleziono ciała, wystąpiło już stężenie pośmiertne. Jak wiecie, proces stężenia pośmiertnego zaczyna się jakieś dwie godziny po śmierci, potem ciało staje się coraz sztywniejsze. Odwołując się do zasady trzech dwunastek, dwanaście godzin na zesztywnienie, dwanaście godzin w stanie zesztywnienia i dwanaście godzin na ponowne rozluźnienie ciała – mogę stwierdzić z dużą dozą prawdopodobieństwa, że Woodowie zmarli osiemnaście godzin przed tym, jak zostali znalezieni.

– W wieczór sylwestrowy – powiedziała Whitestone.

– Dlaczego nie byli na jakiejś zabawie, poza domem? – spytał Gane.

Whitestone poprawiła okulary.

– Może bawili się we własnym gronie.

Teraz leżeli wszyscy obok siebie na czterech stołach ze stali nierdzewnej.

– Chłopiec, Marlon Wood, ma liczne otarcia i zasinienia na całym ciele – dodała Elsa.

Whitestone podniosła na nią wzrok.

– Więc te ślady na ciele Marlona to nie plamy opadowe?

Jak wszystkie zwłoki, które przez jakiś czas leżały w jednej pozycji, ciała członków rodziny Woodów wyglądały tak, jakby były okropnie posiniaczone. Kiedy serce przestaje bić, krew opada ku najniżej położonym częściom ciała i krzepnie. Pojawiają się wtedy plamy, które wyglądają jak siniaki. Woodowie mieli właśnie takie plamy, jednak przy bliższych oględzinach można było zauważyć, że na ciele chłopca sińce są szczególnie rozległe.

– Marlon ma połamane kości udowe – mówiła Elsa. – Jak wiecie, są to najmocniejsze kości. Trzeba naprawdę dużej siły, żeby je złamać. Właściwie w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przypadków do złamania dochodzi w ten sam sposób.

– Samochód. – Skinąłem głową. – Ktoś go przejechał, a potem zaniósł albo zaciągnął do domu.

– Ale to nie samochód go zabił – odparła Elsa. – Pozwólcie, że pokażę wam jego mózg. Specjalnie zostawiłam otwartą czaszkę.

Elsa delikatnie usunęła czubek głowy Marlona. Potem ostrożnie odwinęła fragment skóry z przedniej części czaszki, kładąc ją na twarzy chłopca, odwinęła również skórny płat z tylnej części. Twarz dzieciaka stała się teraz krwawą maską.

Wziąłem głęboki oddech, a potem wypuściłem głośno powietrze, które zawisło obłoczkiem pary tuż przed moją twarzą. Wszyscy zebraliśmy się u szczytu stołu, by dobrze widzieć to, co chciała nam pokazać Elsa.

– Mogę wyjąć jego mózg, wystarczy przeciąć połączenia z rdzeniem kręgowym i nerwami czaszkowymi – tłumaczyła patolog. – Ale i tak chyba wszystko jest wystarczająco dobrze widoczne.

Odciągnęła cienką warstwę czegoś, co wyglądało jak skóra kurczaka poznaczona krwawymi liniami. Zobaczyliśmy szeroki kanał wydrążony głęboko we wnętrzu mózgu i wypełniony krwią tak ciemną, że wydawała się czarna.

– Marlon umarł w wyniku krwawienia zewnątrzoponowego; został zraniony w przednią część głowy, o czym świadczą rozległe uszkodzenia czaszki i mózgu. W trzech przypadkach przyczyną śmierci było poważne uszkodzenie głowy prowadzące do krwawienia zewnątrzoponowego. Inaczej ma się sprawa z ojcem. Umarł na atak serca. Przypuszczam, że doznał go wtedy, gdy stracił pierwsze oko.

– Jakieś urazy świadczące o próbach obrony? – spytała Whitestone.

– Piper walczyła o życie – odparła Elsa. – Reszta nie stawiała oporu.

– Miała połamane paznokcie?

Połamane paznokcie mogły świadczyć o tym, że dziewczyna podrapała zabójcę, a na jej palcach zachowały się ślady jego skóry, a może nawet krwi.

– Nie, tylko złamany kciuk. – Elsa spojrzała na ciało Piper Wood. – Ale walczyła jak lwica. Była naprawdę niezwykle dzielną dziewczyną.

– Ślady napaści seksualnej?

– Piper miała w pochwie nieaktywną spermę, co wskazywałoby na to, że dobrowolnie uprawiała seks na kilka dni przed śmiercią – odparła Elsa. – Ale znalazłam również ślady napaści seksualnej. Przed morderstwem doszło jeszcze do gwałtu.

– Piper została zgwałcona? – dopytywała Whitestone.

Elsa pokręciła głową.

– Nie. Chodzi o jej matkę, Mary. Znalazłam aktywną spermę w ustach, pochwie i odbycie. Jak wiecie, sperma zachowuje się w martwym ciele dłużej niż w żywym. Kiedy ustaje akcja serca, ciało przestaje wytwarzać substancje chemiczne niszczące spermę. W zwłokach ślady nasienia mogą się zachować nawet przez dwa tygodnie.

– Może ojciec dostał ataku serca, kiedy musiał na to patrzeć – zasugerowałem.

– Być może – zgodziła się ze mną Elsa.

– Czy rodzina wie? – spytałem.

– Poinformowałam o tym siostrę Mary, Charlotte Gatling, kiedy przyszła identyfikować ciała – odparła patolog. – Prosiła, żebym nie upubliczniała tej informacji. Zgodziłam się.

– Jak to? – zdziwiła się Whitestone. – Informacja o gwałcie na pewno zostanie ujawniona w sądzie, a nawet wcześniej, w postępowaniu sądowym. Jeśli rzecz została potwierdzona badaniami, musi zostać ujawniona.

– Oczywiście. – Elsa skinęła głową. – Charlotte Gatling zdaje sobie z tego sprawę. Prosiła jednak, by na razie o tym nie mówić. Jej ojciec nie czuje się dobrze. Brat był bardzo oddany Mary. Charlotte uważa, że i bez ujawniania tej informacji rodzina wystarczająco cierpi.

– Jasne – zgodziła się Whitestone. – Nie ma problemu. A co z tym narzędziem, Elso, czym ich właściwie zabito? O czym mówimy? To jakiś młotek? Metalowy szpikulec? – Pokręciła głową. – Bo mam wrażenie, że już to kiedyś widziałam.

– Ja też – odparła Elsa. – Ale nie w tym kraju. I nie w tej pracy.

Zaczęła przyszywać czubek czaszki Marlona do reszty głowy. Używała tak zwanej igły Hagedorna i szpagatu, a szeroki ścieg przypominał szycie, jakie można zobaczyć na piłce do bejsbolu. Wbrew pozorom nie było to jakieś wyjątkowo brudne zajęcie – serce nie pompuje już krwi, więc zmarli nie krwawią.

Krwawią tylko żywi.

– Kiedy byłam dzieckiem, wychowywałam się na farmie w Norwegii – mówiła Elsa. – Pewnego roku wiosną mieliśmy okropne powodzie, a latem suszę. Brakowało paszy dla bydła. Wszyscy rolnicy, łącznie z moim ojcem, wybijali całe stada na mięso. Przed zabiciem zwierzęcia ojciec ogłuszał je metalowym bolcem, który wstrzeliwał mu do mózgu. To wtedy widziałam takie rany. – Wskazała na rodzinę

Woodów. – Właśnie tak to wygląda, gdy przygotowuje się bydło do uboju.

5

– Kto zabija ludzi pistoletem do uboju bydła? – powiedziała cicho Edie Wren, kiedy wróciliśmy do komisariatu głównego na West Endzie. – Szaleni mordercy, wszyscy, co do jednego, przychodzą na miejsce zbrodni uzbrojeni jak Rambo.

Przenieśliśmy się ze śledztwem w głąb korytarza, do pokoju operacyjnego numer jeden, ale cały nasz czteroosobowy zespół tłoczył się w rogu pomieszczenia, bo na środku siedziała Scout i rysowała coś zawzięcie, czekając, aż odbierze ją pani Murphy. Był z nią też oczywiście Stan, który drzemał smacznie pod stołem.

– To nie był szaleniec – odpowiedziała równie cicho Whitestone. – Po pierwsze, mordował tylko w jednym miejscu. Szalony zabójca chodziłby po okolicy i strzelał do sąsiadów, dopóki nie zostałby otoczony i nie strzelił sobie w łeb. Poza tym szaleni zabójcy lubią łatwe cele, centra handlowe i kina. – Zerknęła na Scout i dodała jeszcze ciszej: – Szaleńcy uwielbiają szkoły. Nie atakują ogrodzonych i strzeżonych osiedli. I masz rację, Edie, nie zabijają pistoletem do uboju bydła. Przychodzą uzbrojeni po zęby, mają więcej broni, niż zdołają użyć. To było starannie zaplanowane zabójstwo, być może na zlecenie.

– Ale to też nie pasuje – powiedziałem. – Mimo tego, co morderca zrobił z oczami ojca. – Wyszedłem z prosektorium przekonany, że morderca – lub mordercy – przyszedł po Brada Wooda. – Pistolet do uboju bydła wyklucza zawodowca, a nawet amatora, który chce

uchodzić za zawodowca. Profesjonalista zabiłby Bradleya albo zostawił go w domu, ale na pewno nie zabrałby dzieciaka ze sobą.

– Płatny zabójca, członek gangu, wariat; żaden nie zabijałby pistoletem do uboju bydła – zauważył Gane. – Dlaczego w ogóle ktoś miałby to robić?

– Zdarzają się takie przypadki – odparła Whitestone. – Raz na dziesięć lat jakiś rolnik wpada nagle w szał i sięga po pierwszą lepszą rzecz, którą może zrobić innym krzywdę. Wybiera zazwyczaj pistolet do uboju. Ale na pewno nie porywa dzieci… – Pokręciła głową, jakby nie mogła odnaleźć wspomnienia, którego szukała. – Zwykle tacy ludzie działają w afekcie, a nie z premedytacją. Tak, takie historie się zdarzają. Ale nie w centrum Londynu. Tutaj nigdy o tym nie słyszano. Gdzie jest doktor Joe?

Wciąż czekaliśmy na naszego ulubionego psychologa sądowego, który mógłby nam wytłumaczyć, jakiego typu psychopata dopuścił się takiej rzezi.

– Doktor Joe jest w Stanach na urlopie – odpowiedziała Wren. – Wróci wcześniej specjalnie dla nas.

– Edie? – rozbrzmiał dziecięcy głosik.

Wszyscy odwróciliśmy się do Scout.

– Tak, kochanie? – spytała Wren.

– Popatrz, Edie, co narysowałam – powiedziała moja córka.

Wren podeszła do dziewczynki.

– No proszę, to ty, twój tata i twój pies, Stan, tak? A to są konie królowej?

– Zgadza się – potwierdziła Scout. – Wszystkie są czarne, widzisz?

Whitestone odwróciła się do nas.

– Chcę, żeby Edie zajęła się na razie tym zaginionym chłopcem – powiedziała. – Bradleym. Cały czas dostajemy różne sygnały.

– Ile? – spytałem.

– Kiedy ostatnio sprawdzałam, było ich ponad dwieście. Potrzebujemy więcej ludzi, trzeba oddzielić ważne informacje od bzdur i głupich żartów. – Skinęła głową na mnie. – A twój przyjaciel ze sto jeden pomoże nam znaleźć precedensy.

– Jasne.

Miała na myśli sierżanta Johna Caine'a z sali 101 w Nowym Scotland Yardzie – tam właśnie mieściło się Czarne Muzeum, wyjątkowe archiwum najgłośniejszych zbrodni ostatnich stu lat. Oficjalnie nie nazywało się już Czarnym Muzeum, lecz Muzeum Zbrodni, by przypadkiem nie urazić uczuć jakiejś mniejszości etnicznej. I właściwie nie było to wcale muzeum – czasy, gdy Arthur Conan Doyle miał klucze do tej sali, dawno już minęły. Teraz Czarne Muzeum wykorzystywano jako ośrodek szkoleniowy, który miał uświadomić młodym policjantom, że każdy dzień w pracy może być ich ostatnim dniem na tym świecie. Przede wszystkim jednak Czarne Muzeum było pomnikiem zła.

– Curtis, wrzuć ten sposób działania do HOLMES-a – poleciła Whitestone Gane'owi. HOLMES, a właściwie nowy, ulepszony HOLMES2, był systemem wyszukiwania Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. – Sprawdź, kogo skazano za zabójstwo dokonane pistoletem do uboju bydła. Żywych, zmarłych, wszystkich. Wydaje mi się, że co najmniej dwóch odsiaduje teraz wyroki. Chłopcy ze wsi, którzy przeżyli zawód miłosny albo nie dostali premii na święta. – Zamyśliła się na moment, jakby w końcu dotarła do właściwego wspomnienia. – Teraz sobie przypominam. To było chyba ze trzydzieści lat temu.

– Ktoś zabił rodzinę pistoletem do uboju? – spytałem.

– Ojca i trzech dorosłych synów. Była tam też dziewczyna i jej matka, ale ich nie tknął. – Pokręciła głową; to była naprawdę stara sprawa. – Zabójca już chyba nie żyje.

Whitestone spojrzała na Scout i Edie – pogrążone w wesołej rozmowie, nie zwracały zupełnie uwagi na to, co dzieje się dokoła. Mimo to komisarz dodała jeszcze ciszej:

– Rzeźnik.

. . .

Umówiłem się z panią Murphy pod starą niebieską latarnią, przed wejściem do głównego, ale gdy tylko wyszliśmy ze Scout z windy, zrozumiałem, że musimy zmienić plany.

Wydawało się, że tłum dziennikarzy jeszcze zgęstniał. Wozy transmisyjne zajmowały teraz całą długość Savile Row. Mundurowi robili, co mogli, by utrzymać wszystkich na chodnikach i zachować przejezdność wąskiej uliczki, ale reporterzy nieustannie wychodzili na środek jezdni, by wystąpić przed kamerą na tle niebieskiej latarni przy Savile Row 27. Mówili z przejęciem do mikrofonów w kilkunastu językach.

– Okropny tłum, prawda? – zauważyła Scout.

– Tak, aniołku.

Było przejmująco zimno. Zapiąłem dwa najwyższe guziki kurtki Scout, naciągnąłem jej mocniej czapkę na głowę i wziąłem ją na ręce. Potem powiodłem wzrokiem po tłumie, wypatrując starszej pani w kapeluszu i płaszczu, które mogłyby przypaść do gustu królowej.

– Jest tam – powiedziała Scout.

Pani Murphy ustawiła się rozsądnie tuż za tłumem dziennikarzy, obok czekającej na nią czarnej taksówki z włączonym silnikiem. Na nasz widok zaczęła machać i uśmiechać się. Przywołałem do siebie młodego policjanta w mundurze.

– Widzisz tę panią w zielonym płaszczu i kapeluszu?

– Tak jest.

– Możesz ją tutaj przyprowadzić?

Młody funkcjonariusz skinął głową i wyszedł na ulicę, przyzywając gestem panią Murphy i taksówkę. Nagle tłum zafalował. Z Conduit Street wjechały w Savile Row dwa policyjne motocykle bmw z włączonymi kogutami. Za nimi dwa kolejne. Fotoreporterzy ruszyli biegiem w tę stronę. Potem pojawił się samochód, czarne bmw serii 7 z przyciemnianymi szybami, które powoli przeciskało się obok paparazzich. Kolumnę zamykały dwa motocykle. Wszyscy policjanci na motocyklach krzyczeli w stronę dziennikarzy, by się odsunęli. Dwaj pierwsi zatrzymali się tuż przed czarną taksówką pani Murphy. Zobaczyłem w oknie jej zmartwioną twarz i ruszyłem w dół schodów, wciąż niosąc na rękach Scout, która mocno się do mnie tuliła.

Z czarnego bmw wysiadła moja szefowa, komendant Policji Metropolitalnej Elizabeth Swire. Obdarzyła dziennikarzy lodowatym spojrzeniem, a potem uśmiechnęła się do Scout.

– Witaj, młoda damo – powiedziała. – Pomagasz dziś tacie w pracy?

– Nie – odparła Scout. – Mam dopiero pięć lat.

– Słusznie. – Swire skinęła głową i odwróciła się do swojego samochodu. Wysiadł z niego Nils Gatling. Przystanął na moment i zapiął marynarkę, ignorując pytania, którymi zasypywali go dziennikarze. Był starannie ogolony, ale jego oczy wyglądały tak, jakby nie spał co najmniej od wczoraj.

– Porozmawiam z nimi później – zwrócił się do Swire.

W tym momencie z samochodu wysiadła również jego siostra, a tłum reporterów ruszył gwałtownie do przodu, wykrzykując jej imię. Nigdy nie widziałem kobiety o twarzy równie pięknej, równie bliskiej ideału. Teraz jednak twarz ta była naznaczona bólem i szokiem, co dawało hipnotyzujący efekt.

– Scout! – zawołała pani Murphy z tylnego siedzenia taksówki. – Chodź do mnie, kochanie.

Przykucnąłem, by bezpiecznie wsadzić córeczkę do auta. Kiedy się wyprostowałem, Charlotte Gatling wpatrywała się we mnie z ogromnym przejęciem.

Jakby nigdy dotąd nie widziała ojca niosącego córkę na rękach.

6

– Pistolet do uboju bydła – mruknął sierżant John Caine. – Zwany też aparatem ubojowym albo radykałem. Używa się ich przede wszystkim do ogłuszania bydła przed właściwym ubojem. Mowa tu przede wszystkim o uboju krów, ale pistolet jest równie skuteczny w przypadku kóz, owiec, koni i oczywiście ludzi. – Pociągnął łyk herbaty z kubka z napisem: NAJLEPSZY TATA NA ŚWIECIE. – Widziałeś film *To nie jest kraj dla starych ludzi*?

– Tommy Lee Jones grał tam gliniarza – odparłem. – Był naprawdę dobry.

– A Javier Bardem jeszcze lepszy – dodał John. – Grał tego bandytę z pistoletem do uboju bydła, pamiętasz? Anton Chigurh. Miał kiepski dzień. Pamiętasz ten jego pistolet?

– Użył go do wybicia zamka w drzwiach i zabił nim jednego człowieka, ale poza tym używał głównie śrutówki. Pistolet do uboju był połączony z butlą wypełnioną dwutlenkiem węgla. Przypominała butlę tlenową.

– Teraz takie pistolety wyglądają zupełnie inaczej – wyjaśnił John. – To, co miał Anton Chigurh, można nazwać fordem T pistoletów ogłuszających. Nie wiem, co sobie myśleli twórcy filmu. Współczesne aparaty przypominają raczej wiertarki ręczne.

– Masz tu może coś takiego? Chętnie bym to obejrzał.

– Owszem, w Czarnym Muzeum mamy bardzo różne rzeczy – odparł z uśmiechem John. – Dobrze o tym wiesz, Max. Nastawić wodę na herbatę?

– Nie, spieszę się.

Sięgnął po klucz i otworzył drzwi Czarnego Muzeum. Wszedłem za nim do wiktoriańskiego salonu wypełnionego różnego rodzaju bronią i narzędziami zbrodni.

Czarne Muzeum w Scotland Yardzie wygląda jak targowisko dla psychopatów. Wszędzie broń, i to w większości taka, z której zabito lub zraniono policjantów albo cywilów. Nie widziałem jednak tego, na czym mi zależało.

– Na samym końcu – powiedział John. – Mam tylko jedną sztukę.

Zaprowadził mnie do odległego zakątka muzeum, w którym nigdy dotąd nie byłem.

Pistolet do uboju leżał na małym stoliku karcianym. John Caine miał rację. Wyglądał jak wiertarka ręczna albo jak pistolet do wbijania gwoździ. Był porysowany i nieco zardzewiały, jakby miał za sobą wiele lat ciężkiej pracy. Nad pistoletem wisiał pożółkły artykuł z gazety oprawiony w ramkę.

– To on. – Skinąłem głową. – Rzeźnik.

UBÓJ RYTUALNY NA FARMIE W ESSEX
Rzeźnik w morderczym szale zabija ojca i trzech synów

Wczoraj skazano na dożywocie mężczyznę, który pistoletem do uboju bydła zabił ojca i jego trzech dorosłych synów.

Siedemnastoletni Peter Nawkins był zaręczony z jedyną córką Iana Burnsa z Hawksmoor Farm w hrabstwie Essex. Kiedy dziewczyna zerwała zaręczyny, Nawkins wdarł się do gospodarstwa Burnsów i zabił ojca rodziny oraz jego trzech synów, dwudziestotrzyletniego Iana juniora, dwudziestoletniego Martina oraz siedemnastoletniego Donalda, po czym podpalił dom. Czterdziestoośmioletnia Doris Burns oraz jej szesnastoletnia córka Carolyn również przebywały wtedy na farmie, zdołały jednak uciec przed zabójcą, którego prasa nazwała Rzeźnikiem.

Tekst był dłuższy, ale moją uwagę przykuły dwa zdjęcia zamieszczone pod artykułem. Jedno ukazywało mężczyznę, który

wyglądał jak przerośnięty chłopiec prowadzony przez umundurowanego policjanta. Gładka, dziecięca niemal twarz młodzieńca była całkowicie pozbawiona wyrazu, jakby o niczym nie myślał. Jednocześnie był niezwykle przystojny, choć jego uroda zdawała się pochodzić z całkiem innej epoki. Kręcone czarne włosy wiły się nad rzymskim profilem przypominającym wizerunki ze starożytnych monet. Wrażenia tego nie psuł nawet skrzywiony nos, zniekształcony przez naturę lub ręką człowieka.

Na drugiej fotografii widniała roześmiana rodzina zgromadzona wokół choinki. Obok śniadego, muskularnego ojca stali trzej synowie, podobni do niego jak dwie krople wody, natomiast żona i córka były szczupłe i miały jasną karnację.

– Dlaczego oni nadają im te przezwiska? – zirytował się nagle John. – Rzeźnik! Jakby był kimś godnym podziwu, bohaterem! Komu przyszło do głowy, że ci dranie są kimś wyjątkowym? Ten, o ile dobrze pamiętam, był analfabetą.

Wciąż przyglądałem się wycinkowi z gazety.

– Nawkins dostał dożywocie, z zastrzeżeniem, że o warunkowe zwolnienie może się ubiegać nie wcześniej niż po dwudziestu latach – powiedziałem. – To wszystko? Chyba trochę mało jak na poczwórne morderstwo.

– Pamiętaj o okolicznościach łagodzących – odparł Caine. – Współczynnik inteligencji Nawkinsa był mniejszy niż rozmiar jego buta, za co trudno go chyba winić. Nigdy nie chodził do szkoły, pewnie dlatego, że był Cyganem. Miał siedemnaście lat, i to niedawno skończone. Gdyby był pełnoletni, na pewno potraktowaliby go znacznie ostrzej. I nie przyniósł ze sobą broni. To nie było zabójstwo z premedytacją, a przynajmniej tak twierdził jego papuga i przekonał o tym sędziego. Był młodym głupkiem, który nie skrzywdziłby muchy. Dopóki nie zabił czterech ludzi.

– Więc Nawkins był Cyganem…

– Z dziada pradziada.

– Skazany w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku, po dwudziestu latach mógł się ubiegać o zwolnienie warunkowe. Wyszedł na wolność? Żyje jeszcze?

– Nie mam pojęcia. Będziesz musiał pogrzebać w HOLMES-ie. Nie myślisz chyba, że to on zabił tych ludzi w Highgate?

Wzruszyłem ramionami.

– Ten sam sposób działania.

– Ale Nawkins nie porwał dziecka, prawda?

– Zgadza się.

– I zabijał z powodów osobistych. Burns nie chciał, żeby jego jedyna córka spotykała się z Cyganem. Kazał jej zerwać zaręczyny. Oczywiście Nawkins był mordercą i kanalią, to jasne, ale miał konkretny motyw.

– Na razie szukamy tylko tropów. Wiem, że zdarzają się morderstwa przy użyciu pistoletu do uboju bydła, ale nie na tyle często, żebyśmy mogli pominąć kogoś takiego jak Nawkins. Czy to jest właśnie jego broń?

John skinął głową i sięgnął po pistolet.

– To bezprzewodowy pistolet do uboju na gaz. Jeden pojemnik gazowy wystarcza na tysiąc strzałów, więc to bardzo wydajna broń. Używana głównie do ogłuszania bydła przed ubojem.

Podał mi pistolet. Wziąłem go do ręki z mieszanymi uczuciami. Sam nie wiedziałem, czy traktować to jako broń, czy jako narzędzie.

– Jak to działa?

– Prosty mechanizm. Spiczasty bolec wbija się w czaszkę pchany sprężonym powietrzem. Niszczy mózg zwierzęcia, ale nie zatrzymuje akcji serca. To jest starszy, brutalniejszy typ, z bolcem, który wbija się w mózg. W nowych modelach używa się bolca o tępym zakończeniu

w kształcie grzyba, który wywołuje wstrząśnienie mózgu, a nie niszczy bezpośrednio tkanki. Mniej efektywny, ale drobiny substancji szarej z mózgu nie dostają się do krwioobiegu, jak w przypadku tego starego modelu, co znacznie zmniejsza ryzyko zarażenia chorobą wściekłych krów. Czego użyto w Highgate?

– Nie mam pojęcia. Ale wyglądało to paskudnie. Jak się tego używa?

– Żadna filozofia, właściwie łatwiej chyba w przypadku ludzi niż krów. Żeby pistolet zadziałał, musi dotykać powierzchni ciała. Nie można go uruchomić bez bezpośredniego kontaktu. Zatem jeśli chcesz ogłuszyć krowę albo ukatrupić tatusia swojej dziewczyny, musisz przycisnąć pistolet do głowy, inaczej nie wystrzeli. Żeby bolec uderzył z odpowiednią siłą i natychmiast pozbawił ofiarę przytomności, trzeba go trzymać pod kątem czterdziestu pięciu stopni, ale tę zasadę stosuje się do świń i krów. Przypuszczam, że w przypadku ludzi taka precyzja nie jest konieczna.

– Dlaczego ktoś miałby zabijać przy użyciu takiego pistoletu? Nie łatwiej zadźgać delikwenta nożem? Albo zastrzelić?

John wzruszył ramionami.

– Cóż, amatorzy z zasady zabijają tym, co wpadnie im w ręce.

Spojrzałem na twarz Petera Nawkinsa. W 1980 roku miał siedemnaście lat. Teraz był mężczyzną w średnim wieku, jeśli jeszcze żył, oczywiście. Nim trafił do więzienia, był postawnym, przystojnym facetem. Zastanawiałem się, jak wyglądał po dwudziestu latach spędzonych w ciężkim więzieniu.

Cofnąłem się o krok, wciąż trzymając w ręce pistolet do uboju i próbując przekonać samego siebie, że można takim narzędziem wymordować całą rodzinę. Dopiero teraz rozejrzałem się uważniej po nieznanym mi dotąd zakątku Czarnego Muzeum. Wyglądało na to, że oprócz eksponatów związanych z Rzeźnikiem znajdowały się tu

głównie materiały z czasów powstania muzeum, które założono w 1875 roku.

Na ścianie wisiała kolekcja pożółkłych ze starości zdjęć policyjnych z czasów wiktoriańskich. Przedstawiały przestępców en face i z profilu, jak w czasach współczesnych, tyle że profile były tutaj jedynie odbiciami w lustrze, sfotografowanymi w tym samym czasie co twarze widziane z przodu. Zatrzymani pozowali z rękami skrzyżowanymi na piersiach i z minami, które przybierali zapewne wszyscy przestępcy na przestrzeni wieków. Byli zrezygnowani. Albo wyzywający. Niektórzy starali się wyglądać na rozbawionych. Inni na groźnych. Wielu nosiło kajdanki, a ich ciała pokryte były sińcami, jakie powstają zwykle, gdy zatrzymany stawia opór. Na wystawie znalazło się też sporo zdjęć kobiet, wszystkie jednak wydawały się równie zimne i harde jak mężczyźni.

Z wyjątkiem jednej.

Była młoda, pospolita i jako jedyna pośród wszystkich tych przestępców wyglądała na wystraszoną i zapłakaną.

– Maisy Dawes – przeczytałem. – Jakiego przestępstwa dopuściła się Maisy Dawes?

– Żadnego – odparł John. – Była zmyłką.

– Zmyłką?

– Fałszywym tropem, który miał wprowadzić policję w błąd. Niczego nieświadomym wabikiem. Biednym frajerem, który odciąga uwagę śledczych od prawdziwych winowajców. Maisy Dawes była niewinną młodą kobietą, którą przestępcy wykorzystali, by naprowadzić policjantów na fałszywy trop. Widzisz datę na zdjęciu?

– Tysiąc osiemset siedemdziesiąty piąty. W tym roku otworzono muzeum.

– A Maisy była wtedy pokojówką w Belgravii. Czyściła toalety w rezydencji jakiegoś jaśniepaństwa przy Eaton Square. Pewnej nocy

ktoś ich okradł. Ci wiktoriańscy włamywacze nazywali siebie londyńską szkołą tańca. Obrabiali domy w czasie kolacji, bo wtedy wszyscy byli zajęci posiłkiem i przebywali na parterze i na pierwszym piętrze. Zakradali się na wyższe poziomy, tańczyli tam… jak sami to nazywali… i wynosili z domu kosztowności. Jednak często przed wyjściem zostawiali pamiątkę pod materacem jakiejś sierotki, w tym przypadku Maisy Dawes.

– Tak więc kiedy detektywi przeszukali posiadłość, znaleźli klejnot pod materacem Maisy. I przestali ścigać prawdziwych sprawców.

– Otóż to. A Maisy Dawes trafiła do ciężkiego więzienia. Dziesięć lat za kradzież świecidełka. W końcu wyszła na wolność, została prostytutką i zmarła na ospę w jakimś rynsztoku na East Endzie.

– Skąd tyle o niej wiesz?

– Dlatego, że w końcu znaleziono prawdziwych złodziei, a Maisy stała się sławna, choć dopiero po śmierci. I dlatego, że Maisy Dawes mnie fascynuje, młody człowieku. W tej świątyni ludzkiego okrucieństwa historia Maisy zajmuje szczególne miejsce.

Rozejrzałem się raz jeszcze po sali. Pistolet do uboju, który wciąż trzymałem w ręce, zrobił się nagle dziwnie ciężki.

– Myślisz, że teraz też idziemy za taką zmyłką? – spytałem. – Że ktoś może wrabiać Rzeźnika?

– Nie mam pojęcia, synu. – John Caine westchnął. – Ale zostawiłem tu Maisy Dawes, żeby chłopcy i dziewczyny z Hendon zrozumieli, że nie warto zawsze ufać pierwszemu wrażeniu.

Wziął ode mnie pistolet i odłożył na miejsce, układając go starannie w identycznej pozycji jak poprzednio.

– A wracając do twojego pytania: Maisy Dawes nie zrobiła niczego złego – powiedział. – Właśnie na tym polegał jej dramat. Została skazana i umarła w nędzy, choć była niewinna.

7

„To naprawdę nic wielkiego”, mówiła Mary Gatling w 1994 roku jako piękna dwudziestoletnia kobieta, ubrana w dres reprezentacji Wielkiej Brytanii i lekko zarumieniona z zakłopotania, a może także za sprawą wysiłku fizycznego i górskiego powietrza. Potem uśmiechnęła się nieśmiało do dziennikarzy zebranych na konferencji prasowej, którzy zamierzali zrobić z jej dziewictwa największą sensację na świecie.

Kamera pokazała na moment reporterów ubranych odpowiednio do zimowych norweskich warunków. Na twarzach wielu z nich widać było uśmieszki wyrażające… co? Niedowierzanie? Cynizm? Zazdrość? Pomyślałem, że pewnie można się tam doszukać wszystkich tych emocji. Patrzyłem jeszcze przez chwilę na skonsternowaną dziewczynę, która próbowała się ukryć przed lasem mikrofonów i mimowolnie zasłaniała twarz gęstymi blond włosami. Potem wcisnąłem pauzę, wstałem i przeciągnąłem się.

Było już po północy, a ja od dwóch godzin oglądałem te filmiki na YouTubie. Nadal nie dowiedziałem się niczego nowego.

Zza okna dobiegał przytłumiony ryk, który hala mięsna Smithfield wydaje się z siebie nocą. Stan poprawił się w koszyku i spojrzał na mnie zaspanymi ślepiami, sprawdzając na wszelki wypadek, czy nie zamierzam dać mu czegoś do jedzenia. Gdy poszedłem do pokoju Scout, ułożył się z powrotem i natychmiast zasnął. Moja córeczka spała spokojnie, ale całkiem zrzuciła z siebie kołdrę. Okryłem ją i wymknąłem się cicho. Wiedziałem, że również powinienem się

położyć, czułem jednak, że nie dostrzegam czegoś, co jest tuż poza moim zasięgiem.

Wróciłem do głównego pomieszczenia naszego loftu i spojrzałem ponownie na twarz Mary. Wyglądała jak członek rodziny z warstwy uprzywilejowanej, jeden z tych dzieciaków, które dorastają na stokach narciarskich.

Znowu włączyłem odtwarzanie.

Mary siedziała przed plakatem z napisem: LILLEHAMMER ’94, obok którego widniały białe linie na niebieskim tle. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że owe linie mają przedstawiać zorzę polarną. Towarzyszył jej mężczyzna w średnim wieku, zapewne trener, również ubrany w dres reprezentacji Wielkiej Brytanii. Zakrywał dłonią mikrofon i szeptał coś do Mary. Skinęła głową, zebrała się na odwagę i przemówiła:

– Posłuchajcie, kiedy udzielałam wywiadu dla „Ski Monthly”, myślałam, że rozmawiamy o moich minimalnych szansach na medal. Pod koniec rozmowy dziennikarz spytał mnie, czy mam chłopaka, a ja odparłam szczerze, że nie mam i nie chcę mieć, dopóki nie poznam… kogoś wyjątkowego.

– Miłości swojego życia, Mary?! – zawołała jakaś kobieta głosem podszytym kpiną.

Mary spojrzała na nią chłodno, odsłaniając zęby w skąpym uśmiechu. Widziałem, jak wzbiera w niej sportowa złość.

– Miłości swojego życia? Czemu nie? Chyba na to zasługuję, prawda? A teraz, cóż… cała ta historia…

Na ekranie pojawiła się prezenterka CNN.

– Być może jednak Mary Gatling, Lodowa Dziewica z Lillehammer, znalazła miłość swojego życia w norweskich śniegach.

Pokazano krótki film ze spektakularną wywrotką Mary na narciarskim stoku, a potem obraz z wioski olimpijskiej, gdzie

kontuzjowaną narciarkę pchał na wózku inwalidzkim uśmiechnięty młody mężczyzna – choć Brad Wood nie był aż tak młody jak ona. Miał dziesięć lat więcej i na tyle też wyglądał. Prezenterka mówiła z ledwie skrywanym podnieceniem:

– Kiedy Mary wycofała się z zawodów po groźnym upadku, znalazła pocieszenie w ramionach amerykańskiego biatlonisty Brada Wooda, który w swojej konkurencji znalazł się tuż poza strefą medalową, ale miał może więcej szczęścia w miłości.

Następny materiał filmowy pokazywał ceremonię zamknięcia igrzysk. Wszędzie roiło się od sportowców. Burmistrz Lillehammer przekazał flagę olimpijską burmistrzowi Nagano. Mary nie siedziała już na wózku, ale chodziła o lasce, podtrzymywana z drugiej strony muskularną ręką Brada.

– Wygląda na to, że Lodowa Dziewica w końcu znalazła swojego księcia z bajki.

Film kończył się zbliżeniem na twarze Mary i Brada oglądających fajerwerki podczas ceremonii zamknięcia i objętych wpół. Wtulali się w siebie jak dzieci przy ognisku. Film miał ponad milion wyświetleń. Podobnych pozycji było więcej, o wiele więcej: *Mary Gatling na olimpiadzie w 1994 roku, Mary Gatling 1994, Mary Gatling Lodowa Dziewica, Mary Gatling Brad Wood 1994, Lodowa Dziewica XVII Olimpiada Zimowa.*

Ja jednak wpatrywałem się uparcie w ostatnie, nieruchome ujęcie widoczne na monitorze. Brad Wood trzymał swe wielkie dłonie na brzuchu Mary, jak gdyby chciał ją ochronić. Mieli ten szczególny wyraz twarzy ludzi, którzy nie mogą uwierzyć, że szczęśliwy los zetknął ich ze sobą.

Może była to kwestia grubych ubrań, które mieli wtedy na sobie, ale mógłbym przysiąc, że Lodowa Dziewica wyglądała tak, jakby była już w ciąży.

. . .

Nad Ogrodem wisiała poranna mgła.

Po drugiej stronie osiedla dwóch umundurowanych policjantów stało po obu stronach taśmy otaczającej dom Woodów. Nasi ludzie pukali do drzwi pozostałych pięciu domów. Widziałem, jak jedne z nich otwiera filipińska służąca, z którą już wcześniej rozmawialiśmy.

Edie Wren zaklęła pod nosem.

– Te przesłuchania to kompletny niewypał – stwierdziła. – Same gosposie i kucharze, którzy na sylwestra i tak mieli wolne.

– To dobra pora, żeby kogoś zabić – odparłem.

– Sześć domów, a właściciele pięciu z nich wyjeżdżają na sylwestra? To nie ma sensu.

– Są bogaci. – Westchnąłem. – Bardzo bogaci. A bardzo bogaci zawsze mają jakieś ciekawsze miejsca do odwiedzenia. Tylko biedni zostają w domu.

Wyglądało jednak na to, że czas urlopów dobiegł końca. Brama Ogrodu była otwarta, wciąż wjeżdżały przez nią coraz to nowe auta. Czyściciel basenów. Białe furgonetki. Gosposie dojeżdżające do pracy i sprzątaczki nadchodzące od przystanku po drugiej stronie Waterlow Park.

– Ochroniarz się zarzekał, że na sylwestra brama była zamknięta – powiedziałem.

– Dlaczego miałby kłamać? – spytała Wren.

– Z tego samego powodu, z którego zawsze kłamią – odparłem. – Bo się bał. Może przysnął. Może wybrał się na chwilę do rodziny. Ale jeśli brama rzeczywiście cały czas była zamknięta, to morderca musiał przejść przez mur.

– Teraz jest tu całkiem spory ruch – zauważyła Wren. – Pokojówki. Sprzątaczki. Ogrodnicy. Budowlańcy.

– Bogacze mają duże potrzeby.

– Przygotowujemy listę wszystkich, którzy mieli dostęp do Ogrodu w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Trudno nam będzie jednak znaleźć dorywczych pracowników, którzy lubią dostawać gotówkę do ręki.

– Wszyscy mają wtedy mniej papierkowej roboty – mruknąłem, po czym ruszyliśmy w stronę trzyipółmetrowego muru otaczającego osiedle. Za murem ciągnął się cmentarz i las, który niknął dalej we mgle. Ekipy poszukiwawcze zakończyły już pracę, między drzewami widać było jedynie niewyraźne sylwetki kamiennych aniołów.

– Jeśli nawet morderca, zakładając, że był tylko jeden, wszedł tutaj przez mur, to raczej na pewno tędy nie wyszedł – powiedziałem. – Nie z czteroletnim dzieckiem.

– Chyba że dziecko nie żyło – zauważyła Wren.

– Po co zabierałby je ze sobą, gdyby nie żyło?

Na teren Ogrodu wjechał duży lexus. Na przednich fotelach siedzieli mocno opaleni mężczyzna i kobieta koło pięćdziesiątki. Z tyłu rozsiadła się nastoletnia dziewczyna, która zasłoniła twarz włosami i słuchała muzyki z iPoda. Kierowca odsunął szybę.

– Miles Compton – przedstawił się opalony mężczyzna. – Mieszkamy obok Woodów. Usłyszeliśmy wiadomości, kiedy wylatywaliśmy już z Saint Lucia. – Odwrócił wzrok i spojrzał z przerażeniem na taśmę otaczającą miejsce zbrodni. – To prawda?

– Niestety, tak, proszę pana – odpowiedziała Wren.

Kobieta siedząca obok niego zakryła usta dłonią.

Mężczyzna skinął posępnie głową.

– Zawsze wiedziałem, że kiedyś przeciągnie strunę – powiedział.

– Kto? – spytałem.

– Chłopak. Marlon Wood. Arogancki gówniarz. – Westchnął i pokręcił z żalem głową. – Ale cholernie szkoda całej reszty. Cholernie szkoda.

To powiedziawszy, odjechał do sąsiedniego domu.

– Już idę – oznajmiła Wren, ruszając w tamtą stronę.

Tymczasem ja podszedłem do muru i ruszyłem wzdłuż niego, zamierzając obejść w ten sposób cały Ogród. Na tyłach domu sąsiadującego z posiadłością Comptonów robotnicy rozbierali właśnie rusztowania.

– Przestańcie! – zawołałem.

Przez chwilę patrzyli na mnie ze zdumieniem, a potem wrócili do pracy.

– Zatrzymać! – krzyknąłem. Moja polszczyzna okazała się na tyle dobra, że rzeczywiście znieruchomieli. – Policja – dodałem. – Pozwólcie, że coś sprawdzę panowie. Cienkuje.

Podczas gdy robotnicy naradzali się między sobą po polsku, ja wspiąłem się po drabinie na pierwszy poziom rusztowania, a potem na następny, sięgający nad mur. Przeszedłem na koniec deski. Tutaj górnej części rusztowania dotykała gałąź drzewa rosnącego na cmentarzu. Kilka innych konarów zostało odciętych, ale zrobiono to już dość dawno. Spojrzałem w górę, na gałąź, podskoczyłem i pochwyciłem ją obiema rękami. Przez chwilę wisiałem nieruchomo, by sprawdzić, czy mnie utrzyma. Wydawała się wystarczająco mocna, podniosłem więc nogi i założyłem je na konar. Polscy budowlańcy palili papierosy i przyglądali mi się z rozbawieniem. Z czołem zroszonym potem, przesuwałem się wzdłuż gałęzi, nad murem, aż dotknąłem stopami pnia drzewa. Wtedy wróciłem do pozycji pionowej i ruszyłem w dół. Nie widziałem już polskich robotników, ale słyszałem, jak biją mi brawo. Zejście było łatwiejsze, choć na

ostatnich trzech metrach nie mogłem znaleźć oparcia dla stóp i musiałem zeskoczyć. Jak mógł zrobić to morderca z dzieckiem?

Z żywym dzieckiem, dodałem w myślach.

Opadłem na ziemię, wziąłem głęboki oddech i rozejrzałem się dokoła. Tuż obok stał kamienny posąg anioła. Czas i pogoda zamieniły jego twarz w gładką, pozbawioną jakichkolwiek rysów powierzchnię. W oddali dostrzegłem olbrzymie krzyże i dziwne pomniki. Masywne kamienne zwierzęta. Lwa. Psa. Zwinięte w kłębek, pogrążone w wiecznym śnie. Zupełnie jakbym zostawił za sobą realny świat i przeniósł się do snu. Panowała kompletna cisza. Nie docierały tu żadne odgłosy miasta. Jakbym trafił na inną planetę.

Nagle z mgły wynurzyła się Mary Wood, szła w moją stronę, nie odrywając ode mnie wzroku, tylko ona i ja w tym niesamowitym miejscu.

Wstrzymałem oddech, przypominając sobie, jak widziałem ją ostatnio na stalowym stole w prosektorium, a jeszcze wcześniej w jej małżeńskim łóżku.

Nagle uświadomiłem sobie, że to nie Mary Wood.

To była jej siostra, Charlotte Gatling. Patrzyła na mnie z takim samym przejęciem jak wtedy, gdy przy Savile Row wsadzałem Scout do samochodu.

– Proszę, nie zostawiajcie go – powiedziała. – Nie porzucajcie Bradleya. Mojego siostrzeńca.

Pokręciłem głową.

– Nigdy.

– Uważacie, że prawdopodobnie nie żyje, wiem o tym – zwróciła się do mnie i podniosła rękę, nim zdążyłem w jakikolwiek sposób zareagować. – Wiem, co mówią statystyki: albo znajduje się dziecko od razu, albo nie znajduje się go w ogóle. Nie obchodzą mnie statystyki. Czuję to. Bradley żyje.

Trzymała coś w dłoni.

Małą zabawkę. Kowboja. Jedną z tych dwudziestocentymetrowych figurek. Buty z cholewami, kamizelka, biała koszula. Nie, to nie był kowboj, tylko Han Solo z *Gwiezdnych wojen*. Oczywiście – kosmiczny kowboj. Zabawka jej siostrzeńca. Ulubiona zabawka Bradleya.

Spomiędzy drzew wychodzili kolejni ludzie, a cała ta scena jeszcze bardziej upodobniła się do snu. Był tu brat Charlotte Gatling i ekipa filmowa, za którymi truchtały funkcjonariuszka od kontaktów z rodzinami ofiar i rzeczniczka prasowa, zdyszane i ignorowane, wystrojone w szpilki, które zupełnie nie nadawały się do zimowych spacerów po cmentarzu Highgate.

– Co się tu dzieje? – spytałem.

– Kręcimy rekonstrukcję wydarzeń – wyjaśniła Charlotte. – Dla *Crimewatch*. Chcą, żebym odgrywała moją siostrę, scenę powrotu do domu. Mają nadzieję, że dzięki temu ktoś przypomni sobie jakiś ważny szczegół z tamtego dnia.

– To nasz pomysł? Policji?

– To pomysł mojego brata. Całkiem niezły, prawda? Publicity to klucz do sukcesu, tak mówi Nils.

– Zbytnie nagłośnienie sprawy może odnieść skutek odwrotny do zamierzonego – odparłem najłagodniej, jak potrafiłem. – To będzie sygnał dla wszystkich wariatów i łowców sensacji. Zostaniemy zasypani fałszywymi tropami, a wtedy łatwo nam będzie przegapić te prawdziwe. W takich sprawach trzeba postępować bardzo delikatnie.

W jej oczach pojawił się błysk irytacji, a ja przypomniałem sobie natychmiast lodowate spojrzenie, jakim jej siostra obdarzyła drwiącą dziennikarkę w Lillehammer.

– Lepsze to niż całkowita obojętność – stwierdziła. – A tego właśnie doświadczają rodziny większości zaginionych dzieci.

– Tak – przyznałem cicho. – Lepsze.

Widziałem, że Charlotte zmaga się z wewnętrznym bólem, że coś w niej pęka.

– Więc gdzie on jest? – spytała nagle zdławionym głosem, jakby w rzeczywistości chciała wykrzyczeć naraz wszystkie straszliwe pytania. – Co się z nim dzieje? Co oni robią Bradleyowi?

Wiedziałem, że takie myślenie nie prowadzi do niczego dobrego, a jedynie paraliżuje człowieka, wypełnia przerażeniem. Jednak nie mogłem jej tego powiedzieć.

– Znajdę Bradleya – odparłem. – Obiecuję.

Wpatrywała się we mnie przez chwilę, jakby chciała zobaczyć moją duszę.

– Naprawdę pan obiecuje?

– Tak.

Podszedł do nas jej brat.

– Czekają na ciebie, Charlotte.

– Mój brat, Nils Gatling – wyjaśniła.

Wyciągnąłem do niego rękę.

– Detektyw Wolfe z komisariatu głównego na West Endzie – przedstawiłem się. – Bardzo mi przykro z powodu…

Ale Nilsa Gatlinga nie interesowały wyrazy współczucia ze strony obcych ludzi. Nim jeszcze skończyliśmy ściskać sobie dłonie, zacisnął zęby i odwrócił wzrok.

– Proszę robić, co do pana należy – powiedział tylko.

. . .

– HOLMES znalazł sześciu mężczyzn, którzy zostali skazani za morderstwo przy użyciu pistoletu do uboju bydła w ciągu ostatnich trzydziestu lat – mówiła Wren. – To bardzo małe grono. Trzech nie żyje, dwóch siedzi w więzieniu, zostaje tylko Rzeźnik.

Nacisnęła klawisz na swoim laptopie.

Na dużym plazmowym monitorze w pokoju operacyjnym numer jeden ukazała się twarz przystojnego mężczyzny w średnim wieku. Miał na sobie wytarte, sfatygowane ubranie i wyglądał tak, jakby sam się strzygł. W dużych dłoniach trzymał dwie foliowe torby z supermarketu. Nadal można było w nim rozpoznać młodego mężczyznę, który w 1980 roku trafił do Belmarsh. Nie chodziło tu jednak tylko o rysy jego twarzy. Peter Nawkins wciąż wyglądał tak, jakby jego umysł był wolny od jakichkolwiek myśli.

– To jest Peter Nawkins? – spytałem. – To jest Rzeźnik?

– Przystojny – zauważyła Wren.

– To zdjęcie zrobiono, gdy wyszedł z więzienia. Nowszego nie udało mi się znaleźć. Dostałem je z Reutersa. Teraz pewnie nie wygląda już tak ładnie jak dziesięć lat temu.

– A kto wygląda lepiej po dziesięciu latach? – Whitestone się roześmiała.

Drzwi sali MIR-1 otworzyły się nagle i do środka wszedł wysoki mężczyzna koło sześćdziesiątki z walizką na kółkach. Uśmiechnął się nieśmiało, gdy przywitaliśmy go oklaskami, i przesunął dłonią po białych jak śnieg włosach.

– Doktor Joe! – ucieszyła się Whitestone. – Prosto z lotniska! Dziękuję, że pan przyszedł.

Doktor Joe Stephen, psycholog sądowy z King's College, usiadł ciężko, wciąż otępiały po długiej podróży przez ocean. Gane podał mu kubek czarnej kawy, a doktor skinął z wdzięcznością głową.

– Cztery ofiary i zaginione dziecko – powiedział z ledwie wyczuwalnym kalifornijskim akcentem, o którym zdążył już niemal zapomnieć po trzydziestu latach pobytu w Londynie. – Chciałem zapoznać się najpierw ze sprawą.

Wyjął z walizki teczkę i rozłożył na stole zdjęcia z miejsca przestępstwa i z sekcji zwłok. Typowa przerażająca dokumentacja zbrodni.

– Co pan o tym myśli, doktorze? – spytała Whitestone. – Porywacze nie zabijają całej rodziny. Masowi mordercy zabijają wszystko, co się rusza, ale nie zabierają dzieci. Próbowaliśmy doszukać się w tym jakiegoś sensu.

Doktor Joe wydawał się bardzo zmęczony, i to nie tylko za sprawą nocnego lotu.

– Moim zdaniem wygląda to tak, jakby ktoś chciał zniszczyć cudze szczęście – powiedział.

Wren spojrzała na mnie znacząco. Ona również twierdziła, że Woodowie zginęli, bo byli szczęśliwą rodziną.

– A co z zaginionym chłopcem, doktorze? – spytałem. – Myśli pan, że jeszcze żyje?

Doktor Joe przeciągnął dłonią po twarzy.

– Cztery dni z waszego siedmiodniowego okienka? Jest jeszcze szansa, prawda? Ale czas ucieka. Macie jakieś tropy?

Whitestone odwróciła się do umundurowanego policjanta siedzącego przy komputerze. Niezdarny rudowłosy młodzieniec wyglądał jak wyrośnięty dzieciak, który przebrał się za policjanta. Nikt nie domyśliłby się chyba, że ten człowiek został odznaczony Królewskim Medalem Policyjnym, przyznawanym za szczególną ofiarność i męstwo.

– Jak ci idzie, Billy? – spytała komisarz.

Posterunkowy Billy Greene podniósł ręce. Dostrzegłem na jego dłoniach czarne ślady oparzeń, które oznaczały, że prawdopodobnie resztę swej policyjnej kariery spędzi za biurkiem.

– Bradleya Wooda widziano w domu towarowym przy Oxford Street w towarzystwie mężczyzny i kobiety – mówił Billy. – Dziecko

płakało. Mężczyzna był rozgniewany. Chłopca widziano również na stacji benzynowej przy autostradzie M jeden w towarzystwie mężczyzny, który kupował kanapkę w kawiarni. A także na huśtawce w parku na przedmieściach Leeds. Wyglądał na zadowolonego. Była z nim młoda kobieta. Ktoś zauważył też dziecko w kawiarni w Legolandzie.

– To doniesienia, które spłynęły od wczorajszego wieczoru? – spytał Curtis Gane.

– Nie, to informacje z ostatniej godziny – odparł Billy. – A będzie znacznie gorzej, kiedy puszczą dziś wieczorem ten materiał w *Crimewatch*.

– Czy rzeczniczka prasowa nie mogłaby powstrzymać Nilsa Gatlinga? – zirytował się Gane. – A może szefowa zamieniłaby z nim parę słów?

– Niestety, nie. – Whitestone westchnęła. – Pan Gatling traktuje rzeczniczkę prasową jak niskiego rangą i wyjątkowo głupiego członka własnego personelu. – Pokręciła głową. – Niektóre rodziny po prostu nie wiedzą, jak radzić sobie z mediami. Inne wiedzą aż za dobrze, i to z nimi mamy zawsze największe kłopoty.

Na stoliku Whitestone leżał pęk kluczy. Podniosła je i podała mnie.

– Wydział przestępstw gospodarczych znalazł coś ciekawego. Nieruchomość Brada Wooda, którą musimy teraz sprawdzić – powiedziała. – To twoje okolice, Max. Mieszkanie w Barbicanie.

– Woodowie mieli apartament w Barbicanie?

– Nie cała rodzina, tylko Brad.

– Wydział znalazł je, sprawdzając jego rachunki bankowe – wyjaśniła Wren.

– Wynajmował je komuś?

Wren pokręciła głową.

– Raczej nie. Rachunki za media są bardzo małe. Wygląda na to, że nikt tam nie mieszkał.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę.

– Ekipa dochodzeniowa sprawdziła już cały lokal, więc możesz wszystkiego dotykać – dodała Wren. – Może wyczujesz jakieś zakłócenia mocy.

Wsunąłem klucze do kieszeni.

Whitestone odwróciła się do doktora Joego.

– Co pan sądzi o napaści seksualnej na Mary Wood? Myśli pan, że to ma jakieś znaczenie? Powinniśmy szukać sprawcy wśród przestępców seksualnych?

Doktor zacisnął usta w dziwnym, nieodgadnionym grymasie.

– Nie przykładałbym dużej wagi do tego gwałtu – powiedział po chwili. – W umyśle psychopaty seks i przemoc stanowią niemal jedno. Wydaje mi się, że istotniejszy jest wybór narzędzia zbrodni. Być może, używając pistoletu do uboju bydła, morderca chciał odczłowieczyć ofiary.

– Dowiedziałaś się czegoś od sąsiadów Woodów z Ogrodu? – Tym razem pytanie komisarz skierowane było do Wren.

– Pan Compton mówi, że jego żona i córka są na razie zbyt wstrząśnięte, by o tym rozmawiać. On sam nieszczególnie przejął się śmiercią Marlona Wooda. Nazwał go „zdegenerowaną kanalią”, ale nie chciał wchodzić w szczegóły. Prawdę mówiąc, zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

– Pogadaj z nim jeszcze – poleciła Whitestone. – I lepiej, żeby tym razem był bardziej rozmowny. Powiedz mu, że może to zrobić we własnym domu albo w głównym na West Endzie. Ale najpierw musimy spotkać się z Peterem Nawkinsem.

Wszyscy spojrzeliśmy w milczeniu na mężczyznę widocznego na ekranie.

– Wiem, wiem. – Whitestone westchnęła. – Myślicie, że to strata czasu, prawda? Ale musimy to zrobić. Jest jedynym żyjącym zabójcą, który używał pistoletu do uboju i nie siedzi w więzieniu. Reguły procedury LPE wymagają, żebyśmy z nim porozmawiali. Nie ma innego wyjścia.

Komisarz mówiła o procedurze lokalizacji, przesłuchania i eliminacji wszystkich, którzy z dużą dozą prawdopodobieństwa mogli popełnić dane przestępstwo. Takie osoby nie były automatycznie uznawane za podejrzane, ale musieliśmy po prostu wykreślić Rzeźnika z listy.

– Gdzie on jest? – spytał Gane. – Mamy jego adres?

– Oak Hill Farm. Na granicy między East Endem i Essex.

– Oak Hill Farm? To obozowisko Cyganów.

– Obozowisko społeczności koczowniczej, a właściwie coś więcej niż obozowisko – tłumaczyła Whitestone. – To największe skupisko koczowników w Europie. Są tam też stałe osiedla. Nie wszystkie legalne.

– Nie lubisz go, co? – spytał Gane. – Starego kryminalisty z torbami foliowymi?

Whitestone wzruszyła ramionami.

– Jest na wolności prawie od dziesięciu lat. Założę się, że od czasu do czasu odwiedzają go jacyś ludzie. Być może powinniśmy się przyjrzeć bliżej niektórym z nich.

– Masz na myśli dziennikarzy? – spytałem.

– Mam na myśli fanów – odparła. – Wariatów i psychopatów. Nigdy jeszcze nie widziałam wielokrotnego zabójcy, który nie miałby sporego fanklubu.

Doktor Joe wstał i przyjrzał się uważnie fotografii rodzinnej Woodów zawieszonej na ścianie sali.

– Była bardzo piękna, prawda? – powiedział. – Mam na myśli Mary. – Widząc nasze zdumione spojrzenia, pokręcił głową z zakłopotaniem. – Nie chodzi mi o konwencjonalną urodę, choć tej też jej nie brakowało. Ona wręcz promienieje. To taki wyjątkowy rodzaj urody zewnętrznej połączonej z wewnętrzną. Ona miała jedno i drugie.

– Chyba wielu z nas ma wrażenie, że dobrze znało Mary – odezwała się cicho Whitestone.

Doktor Joe uśmiechnął się lekko. Zauważyłem, że jego oczy, ukryte za szkłem okularów, lśnią od łez.

– Oczywiście – odparł. – Choć była bardziej skomplikowana, niż sugerowałby to jej publiczny wizerunek. – Zawahał się na moment. – Przez ładnych parę lat chodziła do mnie na terapię – dodał.

Wszyscy milczeliśmy przez moment, kompletnie zaskoczeni.

Whitestone podeszła do niego bliżej.

– Ostatnio? – spytała.

Pokręcił głową.

– Przestałem się z nią widywać dziesięć lat temu. Gdy jej dzieci były małe. Mam na myśli dwoje pierwszych dzieci, Marlona i Piper. – Wciąż wpatrywał się w rodzinną fotografię.

– Czy to jakiś problem, doktorze Joe? – drążyła Whitestone. – Chodzi o relację pacjent–terapeuta?

– Nie, to żaden problem, Pat – odpowiedział. – Bo nie powiem wam, o czym rozmawialiśmy podczas terapii. To po prostu nie ma żadnego związku ze sprawą. A fakt, że znałem Mary, będzie mnie co najwyżej jeszcze bardziej motywował do szukania winowajcy.

Nie potrafił ukryć gniewu, który niemal wprawiał jego głos w drżenie. Nigdy nie widziałem, by ten łagodny z natury człowiek był tak bardzo poruszony.

– Znajdźmy gnoja, który to zrobił – oznajmił.

Następnego ranka pojechałem z Curtisem Gane’em na spotkanie z Rzeźnikiem.

8

Osada Oak Hill Farm mieściła się na hipotetycznej granicy Londynu z hrabstwem Essex, miejscu pełnym pól i magazynów, starych farm i nowych domów, betonu i trawy, gdzie wszystko jest albo szare, albo zielone.

Tuż za Gallows Corner skręciłem bmw X5 z drogi A127, a w oddali ukazał się cel naszej podróży.

– Co to właściwie za miejsce? – spytał Gane.

– Przez wiele lat było tu nielegalne złomowisko – wyjaśniłem. – A jeszcze wcześniej prawdziwa farma, właściwie chyba jest tu do dzisiaj. Jej właściciel w latach osiemdziesiątych sprzedał dwa kawałki pola parze koczowniczych rodzin. Te zbudowały tu domy, ale rada gminy kazała im je rozebrać. Zaskarżyli tę decyzję w sądzie i wygrali. Potem przyjechały następne rodziny. I kolejne. Dziś na czterech hektarach mieszka około stu rodzin.

– Wygląda to jak miasteczko zbudowane na wysypisku śmieci – zauważył Gane.

– Bo tak właśnie jest. Ale dla około pięciuset osób to także ich dom.

Oak Hill Farm otaczały dwa ogrodzenia, za drugim z nich stały stłoczone jedna przy drugiej przyczepy kempingowe. Na teren osady prowadziła tylko jedna droga, nad którą wznosiło się olbrzymie rusztowanie z ręcznie wymalowanymi transparentami. Na transparentach widniały hasła: NIE ODEJDZIEMY i STOP CZYSTKOM ETNICZNYM, otoczone dziecięcymi rysunkami kolorowych namiotów i przyczep.

Powoli wjechałem do środka. Śledziły nas dziesiątki par oczu.

Między schludnymi domkami letniskowymi z firankami w oknach leżały zepsute pralki, lodówki i telewizory. Na skrawku trawnika pasł się brudny biały koń. Pies robił właśnie kupę obok nowiutkiego audi. Oak Hill Farm stanowiło niezwykłe połączenie podmiejskiej zamożności z odpychającą nędzą.

– Podoba mi się to, co zrobili z tym miejscem – stwierdził Gane.

Oczywiście ulice nie miały tu żadnych nazw, przystanąłem więc, a Gane opuścił szybę. Obok przechodziła właśnie kobieta z nastoletnią dziewczyną, matka i córka, które trzymały się za ręce.

– Szukamy pana Nawkinsa – powiedział Gane.

Kobiety wpatrywały się przez chwilę w czarną twarz mojego towarzysza, a potem wskazały na wewnętrzną część obozowiska i na samotną dziewczynę, która przechadzała się wśród stada psów. Miała długie, proste czarne włosy i różowe szorty, choć temperatura oscylowała wokół zera stopni. Wyglądała na jakieś piętnaście lat, ale najwyraźniej chciała być już dorosła. Wysoko na kości policzkowej widać było plamki żółci i fioletu, resztki wielkiego sińca pod okiem. Stado psów składało się z bulterierów i kundli, najbliżej dziewczyny trzymał się piękny akita.

Pies przystanął, by polizać się po jądrach.

– Szkoda, że ja nie umiem robić czegoś takiego. – Gane westchnął.

– Może najpierw powinieneś kupić mu kolację – parsknąłem.

Akita był przywódcą stada. Zmierzył mnie swymi błękitnymi ślepiami, gdy wysiadłem z auta. Stałem bez ruchu, czekając, aż przywyknie do mojego zapachu.

– Wielu ludzi przysuwa dłoń pod nos psa, żeby mógł ich powąchać – powiedziała dziewczyna.

Roześmiałem się.

– Ale nie ma takiej potrzeby, prawda? I tak doskonale mnie czuje.

– Zgadza się. Nie musisz wyciągać ręki. On już wie, co jadłeś na śniadanie.

– Jest piękny. Jak się wabi?

– Smoky – odparła, a kiedy przeciągnęła dłonią po włosach, zobaczyłem tatuaż na wewnętrznej stronie nadgarstka. Przedstawiał owczarka niemieckiego, choć właściwie mógł być to również akita. Może tatuażysta nie wiedział, jak wygląda ta rasa.

– Znasz pana Nawkinsa? – spytałem.

– To mój tata – odparła. – Jestem Echo Nawkins. Pokażę wam, gdzie mieszkamy.

Potem przyjrzała nam się podejrzliwie, jakby nie mogła zdecydować, kim właściwie jesteśmy. Gane miał na sobie garnitur z Savile Row.

– Jesteście prawnikami czy urzędnikami gminy? – spytała.

– Jesteśmy prawem – odparł Gane.

Skinęła głową, wyraźnie pochmurniejąc.

– A ty jesteś wędrowcem – dodałem, chcąc odzyskać jej sympatię. Bez powodzenia.

– Nasz Pan był wędrowcem – odpowiedziała takim tonem, jakbym chciał ją obrazić.

Wróciłem do samochodu, po czym ruszyliśmy śladem Echo Nawkins i jej psów.

– Mam wrażenie, że ludzie lubiliby ich trochę bardziej, gdyby sprzątali swoje śmieci, zamiast wyrzucać je przez okno – zauważył Gane.

– Otóż to. – Skinąłem głową.

Echo zaprowadziła nas do przyczepy kempingowej i domku dwa razy większych od pozostałych zabudowań obozowiska. Na podjeździe stał kontener na gruz, wypełniony po brzegi śmieciami, z jego wnętrza wydobywał się czarny gryzący dym płonącego plastiku.

Na trawniku przed domem siedział mężczyzna, czytał „Guardiana” i popijał herbatę z filiżanki ustawionej na małym stole, na którym leżało również śniadanie dla jednej osoby. Był wysoki i szczupły, miał około pięćdziesiątki i nosił okulary bez oprawki, które nadawały mu dystyngowany wygląd. Sięgnął bo butelkę z napisem: „Mleczarnia Oak Hill Farm” i nalał sobie mleka do miski z płatkami. Gane i ja spojrzeliśmy na kontener z płonącymi śmieciami. Wyglądało na to, że nikt nie przejmował się tu szczególnie recyklingiem. Wysiedliśmy z auta.

– Jestem Sean Nawkins – oznajmił mężczyzna. – A wy to kto?

Wyjęliśmy legitymacje.

– Podkomisarz Gane i detektyw Wolfe – powiedział Curtis. – Wygląda na to, że chcielibyśmy porozmawiać z innym panem Nawkinsem. Peterem Nawkinsem.

– To mój brat – odparł Sean Nawkins, kręcąc głową i patrząc na nas tak, jakby chciał wyrwać nam gardła. – Nigdy nie zostawicie go w spokoju, prawda? Nigdy nie pozwolicie mu normalnie żyć. Odsiedział swoje. Najlepsze lata życia. Czego od niego chcecie? Chodzi o te morderstwa w Londynie, tak?

– Kilka rutynowych pytań – zapewnił go swobodnym tonem Gane. – Gdzie on jest?

Ale Sean Nawkins dopiero się rozkręcał.

– Nie pozwolicie mu nawet umrzeć w spokoju? – spytał.

Gane i ja spojrzeliśmy po sobie ze zdumieniem.

– A co się dzieje z pańskim bratem?

– Rak trzustki.

– Śmiertelny?

– Zostały mu raczej miesiące niż lata.

– Przechodzi chemioterapię?

Gane spojrzał na mnie znacząco, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że nie przyjechaliśmy tu rozmawiać o czyichś problemach zdrowotnych.

– Peter nie chce chemii – wyjaśnił Sean Nawkins. – Widział, co chemia zrobiła z naszymi rodzicami. Chce po prostu wykorzystać jak najlepiej czas, który mu został. – Złagodniał nieco. – Proszę, nie możecie zostawić go w spokoju? Nie możecie się od niego odczepić?

– Właśnie – rozbrzmiał głos ponad i za nami. – Odczepić się od niego.

Odwróciliśmy się do mężczyzny siedzącego na wielkim białym koniu. Mężczyzna miał śniadą skórę i brodę, a koń wyglądał jak ten, którego widzieliśmy wcześniej na trawniku. Ale nie znam się na tym, więc równie dobrze mógł to być całkiem inny koń.

– Powiedz tym sukinsynom o swojej żonie, Sean – przemówił ponownie mężczyzna.

– Co ich obchodzi moja żona – żachnął się Nawkins.

– Co się stało z pańską żoną? – spytałem.

– Naprawdę chcecie wiedzieć, jak umarła?

– Tato… – wtrąciła dziewczyna.

– Zamknij się, Echo – warknął, nawet na nią nie spojrzawszy. – Mieszczuchy podpaliły naszą przyczepę. Dziesięć lat temu, w Gunnersbury Park. Pamiętacie te zamieszki?

– W Gunnersbury Park rozbito nielegalne obozowisko. – Gane skinął głową. – Okoliczni mieszkańcy wzięli sprawy w swoje ręce.

– Zgadza się – przytaknął Nawkins. – Dlaczego ich nigdy nie złapaliście? Dlaczego to zawsze nas musi dosięgać karząca ręka sprawiedliwości?

Odwróciłem się zaniepokojony. Koń przesuwał się bokiem w naszą stronę, choć nie miałem pojęcia, jak brodaty jeździec mógł go do tego

nakłonić – nie miał siodła ani cugli. Wyglądało to tak, jakby przesuwał zwierzę siłą woli.

Spojrzałem ponownie na Seana Nawkinsa.

– To nie musi być trudne, proszę pana – powiedziałem. – Chcemy tylko zadać pańskiemu bratu kilka pytań.

– Albo go wrobić. – Brodacz zeskoczył z konia i spoglądał na Gane'a. – Patrzcie no. – Cmoknął drwiąco. – Chodzi na tylnych nogach i gada, zupełnie jak człowiek. Dużo macie u siebie czarnych?

Gane zignorował te uwagi. Czasem trudno uwierzyć, jak często musimy ignorować podobne przytyki. Codziennie, każdego dnia pracy. A ludzie tacy jak Gane mają jeszcze gorzej. Spojrzałem na brodacza, a potem na Seana Nawkinsa.

– Jak już wspominałem, to nie musi być trudne – powtórzyłem. – Ale może być. Sami utrudniacie sobie życie. A nie musicie. Chcemy tylko wyeliminować pańskiego brata z listy podejrzanych.

– Wrobić go! – warknął ponownie brodacz. – Pewnie chodzi wam o te morderstwa w Londynie, co? O tę rodzinę? Zwalicie wszystko na niego! Bo zawsze musicie sobie znaleźć jakiegoś kozła ofiarnego!

– Dan – powiedział cicho Sean Nawkins. – Przyprowadź mojego brata, dobrze?

Brodacz parsknął wzgardliwie, ale odszedł.

– Nie wygląda na to, żebyście się często przenosili – zauważył Gane. – Biorąc pod uwagę, że jesteście koczownikami, oczywiście. – Rozejrzał się dokoła i wskazał głową na domki. – Powiedziałbym raczej, że zadomowiliście się tu na dobre.

Sean Nawkins złożył „Guardiana" i przemówił do Gane'a takim tonem, jakby zwracał się do niezbyt rozgarniętego dziecka.

– Nasz lud nigdy nie wędrował przez cały rok – tłumaczył. – Nie w tym kraju. W naszej rodzinie rok zaczynał się od sadzenia

ziemniaków, a kończył na zbieraniu chmielu. A zimę spędzaliśmy zawsze w jednym miejscu. Wiecie, co mu zrobili?

– Pańskiemu bratu? – spytałem.

Roześmiał się, szczerze ubawiony.

– Tak, Peterowi. Mojemu bratu. Wiecie, co chcieli mu zrobić? Ten farmer, którego zabił? I jego synowie? Chcieli mu obciąć jaja. Jak koniowi. Właśnie to chcieli mu zrobić.

– Chce pan powiedzieć, że chcieli go wykastrować? – upewniłem się.

– Właśnie to chcę powiedzieć, detektywie. Za to, że tknął tę dziewczynę. Że chciał się z nią ożenić. O nie, ten staruch nie zamierzał dopuścić, żeby w jego rodzinie pojawił się jakiś kundel. Wiecie, co mam na myśli? Kundel, czyli mieszaniec. Ludzie myślą, że kundel to Cygan, który mieszka w domu. Ale to znaczy tylko tyle, że nasza matka nie była koczowniczką. Nienawidzili go z całego serca, a on nie był nawet prawdziwym Cyganem. Dopadli Petera, kiedy matka wyjechała z naszą siostrą na parę dni. Wywieźli go gdzieś. Zdjęli mu spodnie. Chcieli mu uciąć jaja. Ale on się obronił. Był dużym, silnym facetem. A potem wrócił. I dopilnował, żeby nigdy już nie zrobili czegoś podobnego. Powiedzcie mi teraz, panowie detektywi, co to ma, kurwa, wspólnego z tymi morderstwami w Londynie?

Milczeliśmy przez chwilę.

– Czy pański brat miewa gości? – spytał w końcu Gane.

– Czyli obcych ludzi, których fascynuje to, co zrobił? Fanów, wariatów, prześladowców i tak dalej?

Gane skinął głową.

– Coś w tym rodzaju.

Sam Nawkins pokręcił głową.

– Już nie. Przychodzili tu, ale to było dawno temu. Nadal uważacie go za Rzeźnika, tak? A moim zdaniem był zwykłym chłopakiem, który

miał problemy z nauką i który popełnił błąd po okropnej, przerażającej prowokacji. Dla was to stary recydywista. Dla mnie brat. – Obejrzał się przez ramię i dodał ściszonym głosem: – Popełnił przestępstwo, odsiedział wyrok i ma teraz prawo umrzeć w spokoju.

Nagle pojawił się on.

Peter Nawkins.

Rzeźnik.

Próbowałem dopatrzyć się w nim okrucieństwa. Wypatrywałem mrocznego cienia przeszłości. Ale on nie wyglądał wcale na kogoś, kto odebrał życie czterem ludziom. Był duży, znacznie większy od brodatego jeźdźca, który szedł obok, a jego twarz wciąż nosiła ślady filmowej urody. Ale wyglądał na znacznie starszego, niż był w rzeczywistości. Pomyślałem, że to kwestia więzienia. I raka. Gdy wytarł ubrudzone ziemią ręce o dres, zrozumiałem, że naprawdę umiera.

– Pracowałeś na działce? – spytał go brat łagodnym tonem.

– Mam sporo rzeczy do posadzenia – odparł Peter Nawkins, spoglądając na mnie i Gane'a. – Oberżyny. Pory. Kalafiory, oczywiście.

– Peter Nawkins? – spytał Gane. Potem pokazaliśmy legitymacje i ponownie się przedstawiliśmy.

Peter Nawkins spojrzał na brata.

– Ja nic nie zrobiłem, Sean.

– Spokojnie, Peter. Oni chcą zadać tylko kilka pytań, potem wrócą do swoich nor w Londynie, a ty będziesz mógł się zająć ogrodem.

Zauważyłem, że dokoła zbiera się coraz większy tłum. Większość nowo przybyłych stała między nami i naszym samochodem, co wkrótce mogło się okazać sporym problemem.

– Gdzie pan był w sylwestra, panie Nawkins? – spytał Gane.

Peter Nawkins ponownie spojrzał na brata.

– Powiedz im – mruknął Sean Nawkins z nutą irytacji w głosie.

– Nie wiem – oznajmił Peter Nawkins.

– Nie wie pan, gdzie był w sylwestra? – upewnił się Gane.

– Był w obozowisku – odezwał się Sean Nawkins. – Mogę znaleźć świadków.

– Jasne, założę się, że znajdzie pan pięciuset świadków – parsknął Gane.

Brodaty jeździec miał teraz nowego kumpla, mężczyznę o szczurzej twarzy.

– Nie cwaniakuj, Murzynku – rzucił Szczurza Gęba, stanąwszy tuż za Gane'em.

Uśmiechnąłem się do niego, ale facet o urodzie gryzonia wciąż wpatrywał się w tył ogolonej głowy Curtisa, mruczał coś do siebie i coraz bardziej się nakręcał. Właśnie to muszą robić ludzie, którzy nie są pijani albo odurzeni narkotykami, by zdobyć się na jakiś akt przemocy – nakręcać się, budzić w sobie coraz większą złość i agresję. Dokoła zbierało się więcej gapiów, którzy rozmawiali między sobą i przerzucali się dobrymi radami. Kobieta z dzieckiem na rękach splunęła na ziemię, tuż obok włoskich butów Gane'a.

– Składam się na wasze pensje – powiedziała.

– W sylwestra był pan tutaj? – dopytywałem cierpliwie.

Peter Nawkins skinął głową.

– Chyba tak. Kiedy to było? W zeszłym tygodniu, zgadza się?

– Spotkał pan kiedykolwiek któregoś z członków rodziny Woodów, panie Nawkins? – spytał Gane.

– Nigdy nie poznał rodziny Woodów – odpowiedział Sean Nawkins.

– Pan wybaczy, ale wolałbym raczej rozmawiać z pańskim bratem – zwrócił się do niego Gane.

– A on wolałby rozmawiać z kataryniarzem, a nie z małpą – odezwał się Szczurza Gęba.

Jego ziomkowie parsknęli śmiechem, a ja zrozumiałem, że wcale się nas nie boją.

– Nie – powiedział Peter Nawkins. – „Nie” na wszystkie pytania. Nie byłem tam, nie znam ich i nie zrobiłem niczego złego. – Oddychał coraz szybciej, niepokojąco płytko. Był stary i chory, ale wciąż na tyle duży i silny, że mógł nam sprawić spore kłopoty. – I nie wrócę do więzienia.

Gane i ja spojrzeliśmy po sobie. Obaj zrozumieliśmy, że już najwyższy czas wynieść się stąd.

Tłum wciąż gęstniał, oddzielał nas zbitym szpalerem od samochodu. Jeśli coś miało się wydarzyć, to należało się tego spodziewać w ciągu najbliższych sześćdziesięciu sekund. Podziękowaliśmy Peterowi i Seanowi Nawkinsom za poświęcony nam czas. Odwróciliśmy się. I wtedy coś się wydarzyło.

– Ty, czarny…

Szczurza Gęba.

Nim natręt dokończył zdanie, Gane złapał go za kołnierz ortalionowego dresu i rzucił z całej siły na przyczepę Seana Nawkinsa.

Nie sądzę, by mierzył właśnie w to miejsce, ale Szczurza Gęba wleciał głową prosto w okno przyczepy, czemu towarzyszył głośny brzęk i deszcz drobin szkła. Porwałem ze stołu butelkę po mleku, roztrzaskałem jej dno o ziemię i skierowałem szklane zęby ku mężczyznom, którzy na nas ruszyli.

– Teraz to musi być trudne – powiedziałem.

Zatrzymali się. Szczurza Gęba klęczał i przyciskał dłonie do zakrwawionej twarzy.

Staliśmy przez chwilę, czekając na ruch z ich strony. Nikt jednak nie kwapił się do bitki, ruszyliśmy więc powoli w stronę samochodu. Brodaty jeździec zastanawiał się najdłużej, zanim zszedł nam z drogi. Cisnąłem rozbitą butelkę do kontenera ze śmieciami.

– Do zobaczenia – rzuciłem w jego stronę.

Bez pośpiechu wsiedliśmy do samochodu.

Ale nie ociągaliśmy się z wyjazdem z obozowiska.

– Przyciśnij – powiedział Gane.

Posłusznie przycisnąłem mocniej pedał gazu.

Przez kilka minut jechaliśmy w milczeniu między zielonymi polami Essex.

– Zatrzymaj się – poprosił Curtis.

Zatrzymałem się.

Wciąż lekko drżał nabuzowany adrenaliną.

– Świetnie nam poszło, co? – mruknąłem.

– Nie mierzyłem w okno, Max.

– Tak też myślałem.

– Czasami po prostu posuwają się za daleko.

– Wiem. – Skinąłem głową. Ludzie myślą, że policjanci są rasistami. Ale my po prostu nie cierpimy tych, którzy sprawiają nam najwięcej kłopotów. – Jesteśmy tylko ludźmi.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Obok przejeżdżały auta zmierzające do Londynu. Powoli opadało z nas napięcie.

– Co o nim myślisz? – spytał Gane. – O Peterze Nawkinsie. Rzeźniku.

– Jeśli rzeczywiście miałby kogoś zabić, musiałby to zrobić z pobudek osobistych.

– I tak właśnie było, prawda? Chcieli obciąć mu jaja.

Zamknąłem oczy i uspokoiłem oddech. To był trudny poranek.

– Rzeczywiście, to dość osobista sprawa – przyznałem.

– Chcieli go wykastrować, bo zakochał się w dziewczynie, w której nie powinien był się zakochać. Rozumiesz chyba, dlaczego sięgnął po ten pistolet. Biedny przygłup. On nie może być płatnym zabójcą. Nigdy nim nie był.

– I pewnie już nie będzie miał czasu, żeby spróbować – dodałem, włączając się do ruchu. – Jest zbyt zajęty umieraniem.

9

To był piękny apartament.

Penthouse na siódmym piętrze w Barbicanie. Jasny, przestronny, nowoczesny. Dużo białych ścian, mało mebli. Stolik dla dwóch osób, biała skórzana sofa, zestaw hi-fi, orbitrek. Tylko to, co najniezbędniejsze, ale wszystko bardzo gustowne. Otworzyłem kolejne drzwi. Tylko jedna sypialnia. Kawalerka, ale bardzo luksusowa kawalerka. Przypuszczałem, że całość mogła kosztować Brada Wooda nawet około miliona. Wren mówiła, że mieszkanie nie ma obciążonej hipoteki.

Na ścianie w salonie wisiały dwa obrazy, jedyne kolorowe akcenty w tym wnętrzu. Spojrzałem na podpis. Na obu obrazach widniało to samo nazwisko, Patrick Caulfield. Przedstawiały stylowe nowoczesne pokoje, podobne do tego. W salonie znajdowało się jeszcze biurko, na którym stał komputer, ale ekipa z dochodzeniówki zabrała go do laboratorium.

Wyszedłem na balkon zwrócony na południe. Siedem pięter poniżej znajdowało się małe jezioro i prywatne ogrody, nad dachami widać było kopułę katedry Świętego Pawła, a po drugiej stronie rzeki galerię Tate Modern i London Eye. Było późne popołudnie, słońce opuszczało się na bezchmurnym zimnym niebie, barwiąc ciemny błękit pasmami czerwieni.

Hala mięsna Smithfield, choć niewidoczna z tego miejsca, znajdowała się tuż obok, po drugiej stronie Aldersgate. Byliśmy praktycznie sąsiadami.

Zadzwonił dzwonek u drzwi. Otworzyłem. Za progiem stała dwudziestokilkuletnia kobieta, ładna, drobna blondynka. Uśmiechała się do mnie znacząco, jakby łączyła nas jakaś niewinna tajemnica.

– Dzień dobry – powiedziała.

– Dzień dobry – odparłem.

– Mogę wejść?

Mówiła po angielsku całkiem nieźle, ale ze słyszalnym uroczym akcentem. Odsunąłem się na bok, a nieznajoma powoli weszła do środka i rozejrzała się dokoła, jakby nie wiedziała, dokąd ma się udać dalej. Zatem ona również była tu po raz pierwszy. Miała na sobie lśniące czarne buty na bardzo wysokim obcasie, z czerwoną podeszwą. Christian Louboutin. Moja żona też lubiła te buty. Moja była żona.

– Piękna okolica – powiedziała.

– Kiedyś znajdowała się tu dzielnica o nazwie Cripplegate. Jedna z najstarszych części Londynu.

Wydawała się zaskoczona.

– Cripplegate? Dziwna nazwa.

– Pochodziła jeszcze z czasów rzymskich. Mieściła się tutaj brama w murach miejskich. W czasie wojny niemieckie bombowce zrównały wszystko z ziemią.

– Och, bardzo mi przykro.

– Jestem pewien, że pani tego nie zrobiła.

– Ale mógł to zrobić mój dziadek. A być może nawet obaj dziadkowie. Od dawna mieszka pan w tej okolicy?

Zastanowiłem się. Żyłem tu, będąc kawalerem, potem mężem, a potem rozwodnikiem. I ojcem. Nie miałem psa, a potem miałem.

– Od lat – odpowiedziałem w końcu, ale ona poszła już do łazienki. Słyszałem, jak odkręca wodę. Wróciłem na balkon. Pomyślałem, że

oglądany z odpowiedniej wysokości zachód słońca w Londynie może być naprawdę zachwycający.

– Proszę pana? – rozległ się za mną jej głos.

Wciąż była w butach Christiana Louboutina, ale w niczym więcej. Miała ciało tancerki – małe piersi, silne mięśnie czworogłowe ud i bardzo twardy brzuch, jakim może się pochwalić tylko ktoś, kto regularnie i dużo ćwiczy.

Kiedy się zastanawiałem, jakim tańcem zajmuje się na co dzień, blondynka podniosła ręce, zwracając ku mnie wnętrze dłoni, jakbyśmy musieli podjąć szybko jakąś decyzję.

– Mam też zdjąć buty czy je zostawić, panie Wood? – spytała.

. . .

Moja nowa przyjaciółka Claudia była bliska łez, gdy jechaliśmy z Barbicanu na Gerrard Street w Chinatown. Zostawiłem X5 na dużym piętrowym parkingu i spojrzałem na swoją towarzyszkę. Nagle wydała mi się bardzo młoda.

– Hej, Claudia – powiedziałem. Podniosła na mnie wzrok i wytarła nos wierzchem dłoni. – Nie zrobiłaś nic złego. Nie musisz się mnie bać.

– Wiem – odparła. – Nie pana się boję.

Przeszliśmy przez wielką bramę na początku Gerrard Street. Zbliżał się chiński nowy rok, więc wieczorne niebo wypełniały tysiące czerwonych lampionów. Poczułem zapach pieczonej kaczki i zrobiło mi się słabo z głodu.

– Więc byłaś tancerką? – spytałem.

– Skąd pan wie?

– Strzelałem. Co tańczyłaś?

Omal się nie roześmiała.

– Wszystko, co tylko się dało – odparła. – To tutaj.

Byliśmy w połowie Gerrard Street, między restauracją, gdzie młodzi Azjaci tłoczyli się w oczekiwaniu na stolik, i sklepem z chińskimi medykamentami, gdzie dwie kobiety w średnim wieku, okryte białymi fartuchami, grały w madżonga. Przy drzwiach znajdowała się tarcza domofonu i dzwonek. Claudia sięgnęła do dzwonka. Powstrzymałem ją.

– Znasz kod? – spytałem.

Zastanawiała się przez moment, czy skłamać, ale w końcu powiedziała prawdę.

– Tak.

– To użyj kodu.

Wystukała cztery cyfry, a drzwi otworzyły się z cichym trzaskiem. Weszliśmy na wąską klatkę schodową. Na piętrze stał oparty o ścianę młody czarnoskóry mężczyzna, który bawił się telefonem. Na nasz widok uniósł brwi w wyrazie niedowierzania i stanął prosto.

– Claudio – powiedział. – Co on tutaj robi? – Położył mi dłoń na piersi. – Nie, nie, nie. – Pokręcił głową. – Szukasz kłopotów, tak?

– To ja jestem kłopotem – odparłem, uśmiechając się do niego uprzejmie.

Był dość rozsądny, by mnie przepuścić.

Otworzyłem jedyne drzwi na piętrze i wszedłem do małego białego pokoju, gdzie za biurkiem siedziała kobieta około trzydziestki, wpatrzona w ekran największego iMaca, jakiego kiedykolwiek widziałem. Nie była Chinką, ale prawdopodobnie miała domieszkę azjatyckiej krwi. Spojrzała na mnie znad okularów w czarnych oprawkach. W pokoju unosił się aromat świeczki zapachowej, który miał zapewne niwelować woń pieczonej kaczki płynącą z dołu.

– Detektyw Max Wolfe – przedstawiłem się, pokazując legitymację. – Claudia złożyła wizytę w mieszkaniu zmarłego pana Wooda i znalazła tam mnie.

– To spotkanie zostało odwołane, Claudio – powiedziała kobieta siedząca za biurkiem. Mówiła z amerykańskim akcentem, z nutą jeszcze innej, obcej wymowy. Wzięła głęboki oddech. – Nie odsłuchałaś wiadomości, którą zostawiłam ci na poczcie głosowej?

– Nie.

– Nie przeczytałaś wiadomości? E-maila?

Claudia pociągnęła żałośnie nosem.

– Zgubiłam telefon – przyznała.

Kobieta za biurkiem pokręciła głową, a potem spojrzała na mnie nieco lękliwie i wyzywająco zarazem. Miałem wrażenie, że od lat oczekiwała takiego spotkania.

– Gdzie jest szef? – spytałem.

– Patrzy pan na szefa – odparła.

– A jak się pani nazywa?

– Ginger Gonzalez. To moja firma. Sampaguita Limited.

– Sampaguita?

– Czyli jaśmin. Narodowy kwiat Filipin.

– Jest pani Filipinką?

– Już nie. Mój ojciec był amerykańskim wojskowym, stacjonował na Filipinach. Matka była tancerką.

– Jak Claudia.

– Tak. Właśnie taką tancerką. Dokładnie tego samego rodzaju. W Angeles, gdzie stacjonowali Amerykanie. Potem wrócili do domu. Kiedy miałam szesnaście lat, pojechałam szukać ojca.

– Znalazła go pani?

– Nie. Ale po kilku latach dostałam amerykański paszport. Jeszcze lepiej.

Rozejrzałem się po pustym białym pokoju.

– I czym pani handluje w Sampaguicie, Ginger?

– Sampaguita to agencja spotkań towarzyskich – odpowiedziała z powagą.

– Agencja spotkań towarzyskich? – Uśmiechnąłem się. – Tak to się teraz nazywa? – Skinąłem głową w stronę czarnego młodzieńca. – A kim on jest? Al Capone za pięć dolarów?

– To mój dyrektor do spraw bezpieczeństwa.

Pokręciłem głową z niedowierzaniem.

– Same eufemizmy. Do czego pani potrzebny bramkarz… przepraszam, dyrektor do spraw bezpieczeństwa… w agencji spotkań towarzyskich?

– Chodzi o miejscowych. Gangi z Chinatown. Czasami proszą o czynsz, choć nic nie jestem im winna.

Kiwnąłem głową. Każdy, kto prowadził tu interes, musiał radzić sobie z miejscowymi triadami, choć te zasadniczo wolały zastraszać członków własnej społeczności.

– Może pani dać już dziś wolne swojemu dyrektorowi do spraw bezpieczeństwa – powiedziałem. – Claudii też. Musimy porozmawiać.

Ginger odprawiła oboje ruchem głowy. Kiedy ich kroki ucichły na dole klatki schodowej, usiadłem na krześle ustawionym po drugiej stronie biurka.

– Więc jak to funkcjonuje, Ginger?

Znów wzięła głęboki oddech.

– Zapoznaję zamożnych, wysoko postawionych mężczyzn z pięknymi młodymi kobietami.

– Co powinienem wygooglować? Jak was znajdują wszyscy ci wysoko postawieni mężczyźni?

– Tylko i wyłącznie za pośrednictwem ustnego polecenia. Sampaguita nie działa w sieci. Zapewniamy pełną dyskrecję. Nikt nie chce teraz zostawiać elektronicznych śladów.

– Chyba że któraś z dziewczyn zgubi swój iPhone.

Ginger przygryzła wargę.

– Prawo dotyczące prostytucji jest w tym kraju bardzo interesujące – zauważyłem.

– Prawda? Szczególnie surowo karze nagabywanie. Tak wynika z mojego doświadczenia.

– Zgadza się. Wymiana usług seksualnych za pieniądze jest legalna. Ale jeśli prowadzisz burdel albo stręczysz, albo namawiasz do seksu czy też nagabujesz mężczyzn, prawo uderza w ciebie z całą siłą. Tak wynika z mojego doświadczenia.

Czekała.

– Nie zamierzam cię wydać – oznajmiłem po chwili, nie bawiąc się dłużej w uprzejmości.

– Dziękuję.

– Ale zrobię to, jeśli mi nie pomożesz. Szukam mordercy, Ginger. I szukam zaginionego dziecka. Jeśli będziesz mi w tym przeszkadzać, natychmiast każę zamknąć to miejsce, a ciebie zapuszkować.

– Rozumiem. – Skinęła głową. – To straszne, co stało się z tą rodziną. I z tym chłopcem.

– Powiedz mi coś o Bradzie Woodzie.

– Pan Wood był naszym stałym klientem.

– Jak często korzystał z waszych usług?

– Raz w tygodniu. Od dwóch lat. Za każdym razem inna dziewczyna.

– W sumie musiało być tych dziewczyn całkiem sporo.

– Nazbierało się.

– Zatrudniasz ponad sto dziewczyn?

– Nie, o wiele mniej. Przychodzą i odchodzą. Wychodzą za mąż. Wracają do domów. Wracają do szkoły. Zaczynają karierę w innej dziedzinie. Ale pojawiają się nowe twarze. W mieście zawsze są jakieś nowe dziewczyny.

– Ile trwało takie spotkanie?

– Nigdy dłużej niż kilka godzin. Nigdy nie zostawały na noc. Pan Wood musiał wracać do domu.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę.

– I pozwalał ci wybierać dziewczyny, które przysyłałaś mu do Barbicanu?

– Ufał mojemu osądowi. Pan Wood miał dość konwencjonalne gusta. Młoda. Blondynka. Niepaląca, oczywiście… kiedyś był przecież zawodowym sportowcem, jednym z najlepszych na świecie. Żadnych kolczyków i tatuaży. – Uniosła lekko brwi. – Wolę zatrudniać młode kobiety bez kolczyków i tatuaży, ale teraz naprawdę trudno takie znaleźć. Większość mężczyzn pociągają młodsze wersje ich żon. Pan Wood też chciał się spotykać właśnie z takimi kobietami. Młodszymi wersjami pani Wood.

– Dlaczego nigdy nie chciał dwa razy tej samej dziewczyny?

– Przypuszczam, że nie chciał się do nikogo przywiązywać. Nie chciał za bardzo polubić którejś z dziewczyn. Nie chciał się angażować. Oczywiście chodziło też o czynnik seksualnej nowości. Pan Wood lubił… jeśli wolno mi tak powiedzieć… to, co obce. Wolę to słowo od określenia „świeże mięso”, które jest poniżające zarówno dla kobiety, jak i mężczyzny.

– Rozumiem. Jak go poznałaś?

– Spotkaliśmy się w barze hotelu Connaught.

– Więc kiedy mówisz o ustnym poleceniu, masz na myśli zaczepianie obcych mężczyzn w eleganckich barach?

– Wolałabym nie nazywać tego w tak dosadny sposób, detektywie. Ale owszem, często właśnie tak nawiązuję pierwszy kontakt z moimi najlepszymi klientami.

– Zawsze w Connaught? To twój teren łowiecki?

Uśmiechnęła się.

– Nie zawsze. Choć Coburg Bar w Connaught to rzeczywiście wyjątkowo dobre łowisko. Jednak bywam też w American Bar w Savoyu, w Rivoli Bar w Ritzu, w Fumoir w Claridges i w Promenade Bar w Dorchesterze. Ostatnio staram się unikać Dorchesteru, bo wolę nie wchodzić w interesy z bardziej pobożnymi spośród naszych braci Arabów. Wszyscy mamy jakieś uprzedzenia, prawda? Choć „uprzedzenie" to może niewłaściwe słowo. Powiedzmy, że chodzi raczej o preferencje.

– Więc nie zawsze Connaught, ale zawsze hotel pięciogwiazdkowy.

– Tak.

– Jak to wyglądało w przypadku Brada Wooda?

– Spytał, czy może postawić mi drinka. Zjedliśmy parę razy kolację. Widziałam, że jest bardzo samotny, i zaproponowałam pewne kroki, które mogły uzdrowić tę sytuację.

– Za pośrednictwem Sampaguity.

– Tak.

– Spałaś z nim?

Pokręciła głową.

– Spotkałam się z nim trzy razy. I tyle. Dwa lata temu. Całą resztę załatwialiśmy przez SMS-y przesyłane na dwa blackberry, których używaliśmy wyłącznie do tego celu. Nic więcej. Oboje rozumieliśmy znaczenie dyskrecji. Podczas naszego trzeciego i ostatniego spotkania przekonałam go, że nie jestem tym, czego potrzebuje. I powiedziałam mu, że romans z kimś, kogo lubi, nie jest dobrym rozwiązaniem jego problemów. Romanse są bardzo niebezpieczne i destrukcyjne, detektywie. Niszczą małżeństwa. Niszczą rodziny. Niszczą życie. Romanse nigdy nie są warte łez, które po nich pozostają. Sampaguita oferuje zdrową, bezpieczną alternatywę, a pan Wood postanowił z niej skorzystać. Był człowiekiem mądrym, pragmatycznym, hojnym i przyzwoitym. – W jej oczach zalśniły łzy, które wydawały się całkiem

szczere. – Nie umiem panu powiedzieć, jak bardzo jest mi smutno, że zginął. Był dobrym człowiekiem. A mimo wielkich pieniędzy, wykształcenia i pięknych domów nie wszyscy moi klienci są dobrymi ludźmi, detektywie.

Zastanawiałem się, jaka część tego, co mi dziś powiedziała, jest prawdą.

– Powiem panu coś jeszcze o Bradzie Woodzie – przemówiła ponownie Ginger Gonzalez.

– Tak?

– Ten człowiek kochał swoją żonę.

10

Był wczesny ranek, nasze oddechy zostawiały w powietrzu białe obłoczki pary, gdy Scout prowadziła Stana przez tłumy Smithfield. Na ulicach zalegały śmieci z minionej nocy, niebo za katedrą Świętego Pawła pokryte było szarymi chmurami ciężkimi od śniegu. Scout ubrała się stosownie do pogody, jej dziecięcą twarzyczkę otulała wełniana czapka, szalik i kołnierz zapiętej pod samą brodę kurtki.

Scout świetnie radziła sobie z psem.

Uśmiechała się uprzejmie, słysząc komplementy kierowane pod adresem spaniela przez młodych, nieco zamroczonych bywalców klubu, którzy wychodzili właśnie z Fabric, oraz rzeźników, którzy kończyli długą nocną zmianę w Smithfield. Uważała jednak również na ruch uliczny, skracała smycz przy pierwszej oznace niebezpieczeństwa. Stan truchtał radośnie u jej boku, unosząc pysk i nieustannie łowiąc poranne zapachy.

Przeszliśmy przez Charterhouse Street i zostawiliśmy targowisko za sobą, docierając do otwartej przestrzeni West Smithfield, gdzie Stan załatwiał zwykle swoje sprawy i wyszukiwał ślady pozostawione przez inne psy. Obwąchiwał ciemne plamy na kamiennych siedziskach otaczających czarny posąg kobiety, który stał na środku placu.

Podczas gdy Stan sprawdzał, kto w ostatnim czasie pojawił się w okolicy, ja zajrzałem do wiadomości w telefonie. Moje serce zatrzymało się na moment, jak zawsze podczas jednej z tych nielicznych okazji, gdy kontaktowała się ze mną moja była żona.

Chcę ją zobaczyć.

Kiedy podniosłem wzrok, Scout poruszała bezgłośnie ustami, próbując odczytać słowa wyryte na kamiennych siedziskach West Smithfield. Stan przykucnął, gotów w końcu pozbyć się zbędnego balastu, spojrzał na mnie przelotnie wyłupiastymi ślepiami, a potem odwrócił wzrok. Schowałem telefon do kieszeni i wyjąłem małą torebkę foliową.

Scout podbiegła do mnie rozpromieniona.

– To opowieść! – powiedziała. – Te słowa w kamieniu! Widzisz?

– Założę się, że potrafisz odczytać część z nich, prawda?

Skinęła głową.

– Ale wolałabym, żebyś ty mi je przeczytał, tato.

Zebrałem to, czego pozbył się Stan, zawiązałem torebkę i wrzuciłem do kosza. Właściciele psów potrafią to zrobić jednym płynnym ruchem. Potem pochyliłem się nad napisem wyrytym w kamieniu.

– „Był dzień targowy – czytałem. – Ziemię pokrywało błoto sięgające do kostek. W powietrzu unosił się ciężki, gęsty tuman…”

– Tuman? – zdziwiła się Scout.

– Obłoczek – wytłumaczyłem. Dalsza część tekstu znajdowała się na kolejnych siedziskach, musiałem więc iść powoli wzdłuż placu i czytać: – „…który powstawał z parującego nieustannie bydła i mieszał się z dymem z kominów”[1]. – Wyprostowałem się. – Charles Dickens, *Oliver Twist*. – Wskazałem na plac. – Dickens pisał właśnie o Smithfield, Scout. – Oszczędziłem jej opowieści o tym, jak Bill Sikes ciągnął młodego Olivera przez Smithfield w drodze do miejsca przestępstwa. – O Smithfield, w którym teraz mieszkamy. Oczywiście działo się to wtedy, gdy jeszcze przyprowadzano tu bydło.

– Dawno, dawno temu?

– Tak – potwierdziłem. – Dawno, dawno temu.

Przykucnąłem, by znaleźć się twarzą w twarz z córką.

– Scout – przemówiłem poważnie. – Twoja matka chciałaby się z tobą zobaczyć.

Scout zamrugała gwałtownie. Nie byliśmy jak inne rozwiedzione rodziny, które bez problemu radziły sobie w nowej sytuacji. Nasza rodzina rozpadła się w sposób gwałtowny i brutalny, wszyscy byliśmy zszokowani, nawet gdy rozpoczęliśmy już nowe życie, ja i Scout w lofcie nad Smithfield, Anne w nowym domu w Richmond, z mężem, małym synkiem i następnym dzieckiem, które rosło w jej brzuchu. Anne kontaktowała się ze Scout sporadycznie. Moja była żona zawsze szukała „okienka", jak mi powiedziała. Najwyraźniej znalazła właśnie wolny weekend przed terminem porodu.

– Ale dzisiaj zaczyna się szkoła! – powiedziała Scout, zdenerwowana.

– Zostałabyś na weekend. Piątek wieczór i sobota wieczór. Zawiózłbym cię, a potem odebrał.

– Ale co z moimi rzeczami? Nie mam tam swoich rzeczy!

Łagodnie położyłem dłoń na jej ramieniu.

– Scout, będziesz mogła wziąć, co zechcesz. To tylko noc albo dwie. Wiesz, że twoja matka cię kocha, prawda?

– A co ze Stanem? – pytała Scout, bliska łez. – W weekendy Stan wychodzi bez smyczy! Wiesz o tym, tato, prawda?

Mieliśmy w zwyczaju wyprowadzać Stana na Hampstead Heath w weekendy, kiedy nie pracowałem, i spuszczać go ze smyczy. Trzeba przyznać, że nasz spaniel nie był wtedy zbyt posłuszny. Trzymał się nas do chwili, gdy na horyzoncie pojawiło się coś ciekawszego, jak ptak, królik lub – coraz częściej – suczka mniej więcej jego wielkości. Wydawało się wtedy, że gotów jest ryzykować życie i dom za tę ulotną chwilę szczęścia, jaką było wciągnięcie w nozdrza cudownego zapachu. Potrzebował jednak tych kilku chwil wolności. A my

musieliśmy się nauczyć dawać mu tę wolność. Tak jak musiałem nauczyć się dawać wolność Scout.

– Mogę wyprowadzić Stana sam – zaproponowałem. – A jeśli uważasz, że bez ciebie nie powinienem wypuszczać go samego, możemy się wybrać na spacer do lasu za Jack Straw's Castle i poczekać z wyjściem do Heath na twój powrót. Dobrze, aniołku?

Westchnęła ze znużeniem, jakby musiała radzić sobie ze wszystkimi problemami świata.

– Dobrze, tato.

Odwróciła się szybko, ale nim pochyliła głowę opatuloną czapką, dojrzałem coś w jej pięcioletnich oczach.

Iskrę radości.

. . .

– Zatem chodziło o ojca – stwierdziła Whitestone. – Od początku chodziło o niego.

Wpatrywaliśmy się w zdjęcie Brada Wooda wyświetlane na monitorze w pokoju operacyjnym numer jeden. Brad Wood z wyłupionymi oczami na podłodze sypialni. Brad Wood na stole z nierdzewnej stali w prosektorium, już z umytą twarzą, z której wciąż jednak wyzierały czarne oczodoły, jakby wpatrzone w samą śmierć. Wyglądał zupełnie inaczej niż reszta rodziny.

– Mary, Marlon i Piper – powiedziałem. – Wszyscy zostali brutalnie zamordowani. Ale w przypadku Brada Wooda było to coś więcej. On został zaszlachtowany.

– Przez dwa lata co tydzień inna prostytutka. – Gane pokręcił głową. – Nawet jeśli odliczyć święta i wyjazdy, daje to w sumie około stu różnych dziewczyn.

– A każda z nich pewnie miała chłopaka – dodała Wren. – Każdy z tych chłopaków miał z kolei motyw, żeby szantażować bogacza. Nie wydaje mi się też, żeby wszystkie te dziewczyny były kryształowo uczciwe i miały serce ze złota.

– I żadnych tatuaży – dorzucił Gane. – Założę się, że niektóre miały kilka.

– Co z Marlonem i Piper?

– Piper od dawna miała tego samego chłopaka – odparła Wren. – Nazywa się Ashley Cooper. Mieszka z matką i ojcem w wielkim domu przy Winnington Road. Oboje rodzice są lekarzami. Biedny dzieciak jest zdruzgotany. Wygląda na to, że byli w sobie naprawdę zakochani. To tłumaczy, skąd w pochwie Piper wzięła się sperma.

– Od dawna, czyli od kiedy? – spytała Whitestone.

– Od pół roku – wyjaśniła Wren. – Chodził do szkoły z jej bratem. – Zajrzała na moment do notatek. – W tym samym wieku co Piper. Pokłócili się w sylwestra. Była dziewczyna przysłała mu SMS-a z życzeniami i Piper wróciła wcześniej do domu. Chcesz, żebym z nim jeszcze porozmawiała?

– Na razie nie. Co z Marlonem? Mówiłaś, że sąsiad… Miles Compton?… szczerze go nienawidził.

– Młody Marlon spotykał się z kilkoma dziewczynami naraz – odparła Wren. – Jak jego ojciec. Nic poważnego, ale lubił kobiety. Wygląda na to, że za bardzo się interesował córką sąsiada. Compton to raczej zatroskany tatuś, który pilnuje swojej córeczki, a nie materiał na mordercę. Mam go jeszcze podpytać?

Whitestone pokręciła głową.

– Będziemy go mieli na oku – powiedziała. – I chłopaka też.

Przez chwilę popijaliśmy w milczeniu kawę. Wszyscy członkowie zespołu przyszli wcześniej niż zwykle, ale w kącie pokoju i tak siedział już posterunkowy Billy Greene. Rudowłosy policjant przeglądał

zdjęcia notowanych przestępców, przyjmował zgłoszenia z terenu i próbował wyeliminować fałszywe tropy, by znaleźć ten jeden prawdziwy, który doprowadzi nas do porwanego dziecka.

– Pomyślcie tylko, ile ten cholerny Brad Wood musiał opowiadać kłamstw – odezwała się w końcu Whitestone. – Jakie ryzyko podejmował. Tylko po to, żeby jakoś dotrwać do weekendu.

Pokręciła głową ze zdumieniem, za którym krył się również szczery gniew. Wiedziałem, że jest samotną matką piętnastoletniego syna, i po raz pierwszy zastanowiłem się, co właściwie stało się z jej mężem.

– Hej, Billy! – zawołała Wren. – Nie chciałbyś wyszukać i przesłuchać stu panienek do towarzystwa? Na pewno urozmaiciłoby to trochę twoje życie towarzyskie.

Billy Greene jako jedyny nie śmiał się z tego żartu. Wyglądał tak, jakby nie spał od tygodnia. Na jego monitorze pojawiały się zdjęcia twarzy kolejnych mężczyzn, banalne i pozbawione wyrazu. Zawsze po dwa, z profilu i en face, martwe twarze, czarno-białe wizerunki, nazwiska i numery na dole ekranu.

Wielki klub skazanych pedofilów zwanych eufemistycznie „notowanymi przestępcami".

– Zaginął jeszcze jeden dzieciak – powiedział Billy, a nasz śmiech ucichł jak nożem uciął. – Dziś rano. Czteroletni chłopczyk. Jak Bradley. Ktoś zabrał go w nocy z łóżka. – Billy zajrzał do notatek. – Przy Electric Avenue w Brixton.

Whitestone zaklęła. Spojrzała na mnie, a ja skinąłem głową. Porwanie czterolatka w środku nocy na tyle przypominało naszą sprawę, że musiałem pojechać na drugą stronę rzeki i sprawdzić to.

– Ktoś zginął? – spytała Whitestone.

– Nie – odparł Billy, po czym wzdrygnął się nagle, jakby tknięty myślą, że dziecko może już nie żyć.

Spojrzeliśmy na monitor na ścianie sali, na którym ukazał się nagle widok na bramę przed Ogrodem.

Mała, może trzyletnia dziewczynka, trzymana za rękę przez mamę, położyła kolorowy bukiecik obok sterty kwiatów pod bramą osiedla. Wyglądało to tak, jakby ludzie już opłakiwali śmierć Bradleya Wooda.

– Wyłącz to – poleciła Whitestone i odwróciła się do mnie. – Za co możemy ją zgarnąć? Tę burdelmamę?

Wzruszyłem ramionami.

– Namawianie do prostytucji dla zysku. Organizowanie prostytucji dla zysku… – Zawahałem się. – Dostanie co najwyżej pół roku. My będziemy mieli masę papierkowej roboty, na której nic nie zyskamy. Nie lepiej zostawić ją w spokoju? Znacznie bardziej przydałaby się nam jako informatorka niż jako osadzona.

Whitestone zastanawiała się przez moment. Być może pomyślała też o mężczyźnie, który był kiedyś jej mężem.

– Nie – powiedziała w końcu. – Zgarniemy sukę.

. . .

Ale Sampaguita zniknęła.

Pokój nad restauracją przy Gerrard Street był pusty. O tym, że jeszcze niedawno Ginger Gonzalez kierowała stąd agencją spotkań towarzyskich, świadczyły jedynie kable internetowe wystające ze ściany i prostokąt kurzu w miejscu, gdzie stało biurko. W rogu została też szklanka z resztkami świeczki zapachowej. Whitestone podniosła ją i powąchała. W tym samym momencie do pokoju wszedł starszy Chińczyk z odkurzaczem.

– Ta kobieta, która tu była – zwróciłem się do niego. – *Ng-goj bałng bałng małng?* – Mój kantoński pozostawiał wiele do życzenia, nigdy zresztą nie mówiłem nim zbyt dobrze. – Może pan nam pomóc?

– Poszła, poszła – powtarzał starzec. – Wszyscy poszli.

Dwaj młodsi Chińczycy wnosili do pokoju stół do masażu. Kiedy starszy mężczyzna mruknął coś do nich po kantońsku, postawili stół pod ścianą. W chwili gdy Chińczyk włączył odkurzacz, w drzwiach pojawił się Gane.

– Wyrzucić ich stąd? – spytał, przekrzykując ryk odkurzacza.

Whitestone pokręciła ze zniecierpliwieniem głową. Podeszła do okna i stanęła obok mnie. Czerwone lampiony chińskiego nowego roku kołysały się leniwie w półmroku zimowego poranka.

– Jakieś pomysły, Max?

Pomyślałem o Coburg Bar w Connaught. O American Bar w Savoyu. O Rivoli Bar w Ritzu. O Fumoir w Claridges. O Promenade Bar w Dorchesterze.

– Może być wszędzie – powiedziałem.

. . .

Electric Avenue, Brixton. Szedłem z Wren między straganami wyładowanymi karaibskimi owocami i warzywami. Guawa, jabłka cukrowe, owoce złotoliścia. Pochrzyn, rajskie banany, papaje. Mango, paw-paw, gałka muszkatołowa. I wiele rzeczy, których nigdy dotąd nie widzieliśmy – czerwone banany, olbrzymie wiśnie i papryka o dziwnych kształtach.

Skręciliśmy w Coldharbour Lane i kierując się niebieskim migotliwym blaskiem świateł policyjnych radiowozów, podjechaliśmy pod szary ponury blok nazywany Southwyck House, znany wśród miejscowych jako Bariera. Kilkoro dzieciaków, które o tej porze z pewnością powinny być w szkole, siedziało na rowerach i czekało, aż wydarzy się coś ciekawego.

Miałem dziwne wrażenie, że czegoś brakuje w tej scenie, na razie jednak nie potrafiłem określić, co to mogło być.

Budynek wyglądał jak więzienie, miał maleńkie okna osadzone w wysokich betonowych ścianach. Pokazaliśmy legitymacje młodej umundurowanej policjantce, która stała przy taśmie, i wpisaliśmy się na listę.

– Co wiecie? – spytała Wren.

– Michael McCarthy, cztery lata, czarny – odparła młoda posterunkowa. – Kiedy jego matka obudziła się rano, dziecka nie było. Mieszka na drugim piętrze.

Weszliśmy po schodach do maleńkiego mieszkania. W pokoju z tyłu histerycznie płakała młoda kobieta. Widziałem ją zza uchylonych drzwi. Na dziecięcym łóżeczku siedziała otyła Murzynka, która mogła mieć co najwyżej dwadzieścia lat. Przed Murzynką klęczała umundurowana policjantka, która trzymała ją za ręce.

– Moje dziecko… moje dziecko… moje dziecko…

Przywitaliśmy się z detektywem, który do nas wyszedł. Wyglądał tak, jakby pracował w Brixton już zdecydowanie za długo.

– Główny na West Endzie? – Uśmiechnął się. – Co wy tu robicie?

– Bradley Wood – odparłem. – Macie tu kolejnego zaginionego czterolatka, prawda?

– Proszę… proszę… proszę…

Kobieta dławiła się z bólu i rozpaczy. Detektyw zniżył głos.

– To innego rodzaju czterolatek. Opieka społeczna dobrze zna tę rodzinę. Matka ma wyroki za nadużywanie środków odurzających. Tego chłopczyka, Michaela, już dwukrotnie zabierano do ośrodka opiekuńczego.

– A jego ojciec? – spytałem.

Detektyw uśmiechnął się szerzej.

– Ojciec? Jesteś bardzo daleko od głównego na West Endzie, przyjacielu. Parę kilometrów, jedną rzekę i kilkaset lat świetlnych. Kim tu jest ojciec? Jeśli chcecie zostać trochę dłużej, proszę bardzo, nastawiam właśnie wodę na herbatę, ale moim zdaniem tracicie tylko czas.

Skinąłem głową i nagle uświadomiłem sobie, czego brakowało mi w widzianej niedawno scenie. Przed blokiem nie było dziennikarzy. Ani jednego.

Szeroka publiczność nie miała pojęcia, że Michael McCarthy zniknął ze swojego domu.

Pomyślałem o Nilsie i Charlotte Gatlingach, którzy nie zamierzali pozwolić, by świat zapomniał o dziecku ich siostry. Zastanawiałem się, kto zatroszczy się w podobny sposób o Michaela McCarthy'ego.

11

Sobotni poranek. Zaparkowaliśmy naprzeciwko domu Anne. Odwróciłem się do Scout, która siedziała na tylnym fotelu i blada i zamyślona drapała Stana za uszami.

– Będziesz się świetnie bawiła – oznajmiłem tonem tak radosnym, że sam nie mogłem go słuchać. Potem, już normalnym głosem, dodałem: – Twoja mama cię kocha, Scout. Nigdy nie przestała cię kochać. Wiesz o tym, prawda?

Córka skinęła głową i wysiedliśmy z auta. Stan musiał zostać w środku. Moja była żona nie przepadała za psami.

– Zostań, Stan – powiedziała do niego Scout. – Dobry piesek.

Nim jeszcze zatrzasnęliśmy drzwi, Stan skamlał już z tęsknoty za Scout. Wyczuwał, że dzieje się coś dziwnego, bo zabrała ze sobą plecak, rzadko też przyjeżdżaliśmy w to obce zielone miejsce na obrzeżach Londynu.

Cała rodzina wyszła przed drzwi. Nowy facet. Oliver. Muszę zacząć tak właśnie o nim myśleć. Oliver. Właściwie nie był już nowym facetem. Po prostu był jej facetem. Z tyłu krył się nieśmiało ich mały synek. Anne – była już bardzo gruba, to chyba dziewiąty miesiąc. Rozłożyła szeroko ramiona.

– Scout! Aleś ty wyrosła!

Scout odbiła się niezdarnie od wielkiego brzucha matki.

Zawsze, gdy widziałem Anne w jej nowym życiu, spodziewałem się fali smutku, która wciągnie mnie w psychiczny dół. Jednak to spotkanie przebiegało bardzo gładko i szybko. Nie czułem właściwie

nic, gdy moja córka weszła do domu, uśmiechnięta i nieco skrępowana tym przyjęciem – nie przywykła, by witano ją jak głowę obcego państwa.

Drzwi zamknęły się cicho. Anne uśmiechnęła się do mnie na pożegnanie, nie była niemiła, po prostu odległa. Zrozumiałem, że ten smutek wciąż tam jest i że jeszcze długo będę opłakiwał swoje martwe małżeństwo, ale nie tutaj, nie dzisiaj. Ból po stracie dopadnie mnie w najmniej oczekiwanym momencie. Wróciłem do samochodu i przesadziłem Stana na fotel pasażera. Nerwowo otwierał i zamykał pysk.

– Spokojnie, Stan. – Westchnąłem. – Tak wygląda normalne życie.

. . .

Minęła północ, a ja wciąż nie spałem.

Przechadzałem się po naszym lofcie, który pod nieobecność Scout wydawał się wielki jak planeta, przystawałem przy oknie i patrzyłem na światła Smithfield daleko w dole. Dla nich noc dopiero się zaczynała. Dzięki temu jakoś łatwiej przyszło mi przyznać przed samym sobą, że dziś już nie uda mi się zasnąć.

Poszedłem do pokoju Scout. Stan leżał zwinięty w kłębek na jej poduszce. Jego okrągłe ślepia lśniły w ciemności.

– Wychodzę na chwilę – powiedziałem.

Podniósł łeb z zainteresowaniem.

Tak? Dokąd idziemy?

– Tylko ja – wyjaśniłem.

Przeszedłem do swojego pokoju i zacząłem się przebierać. Koszula. Krawat. Stan stał w drzwiach i przyglądał mi się podejrzliwie.

– Tam, dokąd idę, nie wpuszczają psów – powiedziałem. – Przykro mi. Nie wpuszczają psów, rozumiesz?

Sobotni wieczór na West Endzie. Pomyślałem o Coburg Bar w Connaught. O American Bar w Savoyu. O Rivoli Bar w Ritzu. O Fumoir w Claridges. O Promenade Bar w Dorchesterze. O wszystkich tych obcych sobie ludziach, którzy spotykają się dziś w barach. Najpierw kontakt wzrokowy. Drinki. Konkretne decyzje. Pomyślałem, że zacznę od Connaught, bo tam Ginger Gonzalez spotkała Brada Wooda.

Stan patrzył na mnie wyczekująco. Wiedziałem, że nie zdołam zamknąć mu drzwi przed nosem.

– Jeśli ze mną pojedziesz, będziesz musiał zostać w samochodzie, jasne?

Stan się przeciągnął i ziewnął głośno, obserwując, jak wkładam ślubny garnitur.

. . .

Ginger nie było w Connaught przy Carlos Place ani w Ritzu na Picadilly. Ale znalazłem ją przy małym stoliku w rogu American Bar w Savoyu. Był z nią mężczyzna około pięćdziesiątki, elegancki, zamożny i nieco bardziej pijany, niż powinien być. Przesuwał palcem wskazującym po jej nadgarstku i dłoni, jakby jej wróżył. Wziąłem stołek z sąsiedniego stolika i usiadłem przy nich. Mężczyzna zmierzył mnie gniewnym spojrzeniem.

– A kim ty jesteś, do cholery? – spytał.

Zignorowałem go i spojrzałem na Ginger.

– Myślałem, że wolisz dzieci, kochanie.

Mężczyzna natychmiast wstał i oddalił się pospiesznie. Gdy zniknął nam z oczu, Ginger uśmiechnęła się do mnie.

– Podoba mi się, kiedy mówisz do mnie „kochanie” – powiedziała. – Wydaje mi się wtedy, że może mnie nie aresztujesz.

– Nie liczyłbym na to. Wyniosłaś się z Chinatown w pośpiechu.

– Pomyślałam, że tak będzie rozsądniej. Nie lubisz mnie.

Do naszego stolika podszedł kelner, a ja pokręciłem głową.

– Nie lubię tego, co robisz. Możesz to sobie nazywać, jak chcesz, uważać siebie za bizneswoman, ale to niczego nie zmieni. Widziałem zbyt wiele biednych, naiwnych dziewczyn, które przyjeżdżały do tego kraju przekonane, że będą nianiami, tancerkami albo kelnerkami, a lądowały na śmierdzącym materacu, gdzie musiały oddawać się co noc dwudziestu facetom.

Ginger zacisnęła usta.

– Nie moje dziewczyny.

– Widziałem zbyt wiele takich dziewczyn na prochach, z wybitymi zębami, zbyt wiele z nich nie miało pojęcia, co stało się z ich paszportem… albo ich życiem.

– Ja tego nie robię.

– Ale ja nie ścigam alfonsów. Tym zajmuje się ktoś inny. Ja ścigam zabójców. To moja praca. I to moja szefowa, a nie ja, chce cię zgarnąć.

Ginger upiła łyk wody mineralnej z lodem i cytryną. Była w pracy.

– Mogę coś zrobić, żeby do tego nie doszło? – spytała.

– Pomóż mi – odparłem.

Pokręciła głową.

– Powiedziałam ci już wszystko, co wiedziałam o Bradzie Woodzie.

– Chcę się dowiedzieć czegoś o innych. Mówiłaś, że nie wszyscy to dobrzy ludzie.

– Nie. Nie wszyscy.

– Nie mogę uwierzyć, że to wygląda tak pięknie, jak opowiadasz. Uprzejmi dorośli, grzeczna rozmowa, dobrowolny seks, nikomu nie dzieje się krzywda. Żadnych tatuaży. Żadnych łez. Na pewno kryje się za tym coś jeszcze. Musi.

– O co mnie właściwie pytasz?

– Na pewno dostajesz jakieś specjalne życzenia.

Rozejrzała się po barze.

– Zdarza się.

– Czego chcą? Co masz przygotować? Jakie mają fantazje?

– Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, czego chcą.

– Założę się, że potrafię. Niektórzy chcą okrucieństwa takiego czy innego rodzaju. Inni chcą się bawić w większym gronie. Niektórzy chcą rzeczy, które widzieli w sieci. Niektórzy chcą nieletnich. A niektóre gnojki chcą dzieci.

Po raz pierwszy wydawała się naprawdę poruszona.

– Nie robię takich rzeczy – oznajmiła.

Przesunąłem po stole swoją wizytówkę.

– Wiem. – Skinąłem głową. – Gdybym myślał, że je robisz, już siedziałabyś w pokoju przesłuchań.

Wzięła wizytówkę.

– Podobno zaginął następny mały chłopiec – powiedziała.

– Zgadza się.

Znów podszedł do nas kelner.

– Musi pan coś zamówić, proszę pana, inaczej poprosimy, żeby zwolnił pan stolik.

Zamiast straszyć go legitymacją, zamówiłem piwo, którego wcale nie chciałem. Ginger patrzyła na moją wizytówkę. Kiedy kelner podał piwo, upiłem mały łyk.

Uśmiechnęła się do mnie.

– Nie masz do kogo wracać, prawda? – spytała.

– Niezupełnie – odparłem. – W samochodzie czeka na mnie pies.

– Nie wiem, czy to się liczy.

– Dla mnie owszem.

– Co się stało? Zerwałeś z dziewczyną?

Zawahałem się. Czy naprawdę chciałem dzielić się swoimi sekretami z kobietą, która prowadziła agencję spotkań towarzyskich?

– Z żoną – powiedziałem w końcu krótko.

– Mogę ci jeszcze w czymś pomóc? – spytała, drocząc się ze mną.

– Myślisz, że potrzebuję młodszej wersji swojej żony?

– Myślę, że wyglądasz na samotnego, detektywie.

– Wszyscy są samotni – odparłem, wstając.

Ginger spoważniała.

– Prawdę mówiąc, są rzeczy znacznie gorsze od tych, które oglądają w sieci – powiedziała.

– Czyli?

– Rzeczy, które widzi się we własnej głowie.

. . .

Niedzielny poranek u Freda.

Moje pięści, zamknięte w dużych, osiemnastouncjowych rękawicach Lonsdale, uderzały raz po raz w ciężki worek treningowy. Bam, bam, bam, hak, sierp, hak. Czułem, jak w ramionach gromadzi mi się kwas mlekowy, sprawia, że stają się ciężkie i obolałe. Chciałem się porządnie zmęczyć, żeby dziś w nocy bez trudu zasnąć.

– Wyprowadzaj cios z ramienia, nie z ręki – instruował Fred młodego mężczyznę, który ćwiczył z nim na ringu. Kiedy dzwonek obwieścił, że upłynęły trzy minuty, stanąłem prosto i zacząłem im się przyglądać. Inni ćwiczący również robili sobie przerwę, by popatrzeć na ring.

Dzieciak był naprawdę dobry.

Fred nadstawiał mu tarcze i podpowiadał, jakimi ciosami ma uderzać.

– Podwójny prosty. Podwójny prosty. Dajesz, Rocky! Podwójny prosty, prawy sierpowy, lewy hak. Dobrze. Nie przejmuj się na razie siłą. Przejmuj się szybkością. Pracuj nogami! Wkładaj w to całe ciało! A teraz kombinacja siedmiu ciosów. – Młodzik błyskawicznie wyprowadził serię ciosów, które zlały się niemal w jeden ruch. – Dobrze, Rocky – powiedział Fred, uśmiechając się szeroko.

Dzieciak był szczupły i bardzo szybki, sprawny w takim stopniu, w jakim mogą być sprawni ludzie bardzo młodzi i poważnie podchodzący do uprawianego sportu. Trzeba też być naprawdę dobrym, żeby nazywać siebie Rockym. Widziałem, jak mocno wali prostymi w tarcze, czemu towarzyszył charakterystyczny dźwięk skóry uderzającej o skórę. Miał śródziemnomorską urodę, śniadą cerę i ciemne włosy, pochodził pewnie z Włoch albo Hiszpanii, a jeśli nie był już zawodowym bokserem, to na pewno o tym myślał.

Fred odłożył tarcze, wsunął do ust ochraniacz, włożył kask i rękawice. Potem sparowali kilka minut. Fred głównie się bronił, co jakiś czas wyprowadzał szybkie proste, uważając jednocześnie na prawą rękę chłopaka. Byłem zdumiony, że tylko Fred ma kask. Po trzyminutowej rundzie zeszli z ringu.

– Nie sparujesz w kasku? – spytałem dzieciaka.

Uśmiechnął się szeroko.

– Nigdy go nie używam – odpowiedział. – Nie jestem wtedy dość czujny.

– Ci koczownicy lubią walczyć. – Fred się roześmiał. – Mają to we krwi.

Więc Rocky był Cyganem.

– Jesteś zawodowcem? – spytałem.

– Zastanawiam się nad tym. Może niedługo się ożenię. – Nie miał więcej niż osiemnaście lat. – Na razie pracuję, układam podjazdy przed domami.

Skinąłem głową.

– Powodzenia.

– Dzięki.

Stuknęliśmy się na pożegnanie rękawicami.

Znów uderzałem w ciężki worek, gdy w wiadomościach pokazano migawkę z Ogrodu. Nils i Charlotte Gatlingowie patrzyli na kwiaty ułożone pod bramą. On trzymał ręce za plecami, zachowywał się jak monarcha, który przybył tu z wizytą. Ona nerwowo przesuwała prawą rękę po lewym nadgarstku, jakby ten gest dodawał jej otuchy, jakby sama podawała sobie dłoń. Przeczytali wiadomości pozostawione przy kwiatach i zamienili kilka słów, obserwowani przez tłum ciekawskich. Czekałem, czy w wiadomościach wspomną o Michaelu McCarthym z Brixton.

Ale po obrazkach z Ogrodu pojawiły się informacje sportowe, jakby świat zapomniał już o drugim zaginionym chłopcu.

. . .

Po treningu u Freda poszedłem do domu, umyłem się i napiłem kawy. Potem pojechałem do Hampstead Heath. Stan kręcił się podekscytowany na fotelu pasażera, bo dobrze wiedział, dokąd się wybieramy.

Grunt był twardy i kamienisty, lśniący od lodu, a niebo krwistoczerwone. Przebiegliśmy obok stawów, gdzie w namiotach spali wędkarze, przeszliśmy ścieżkami, obserwowani z ukrycia przez lisy, przecisnęliśmy się między nagimi gałęziami zimowych drzew na polanę, której pewnie nigdy ponownie nie odnajdziemy.

Byliśmy na Kite Hill, patrzyliśmy z góry na cały Londyn, gdy zadzwonił mój telefon. Nieznany numer.

– Mówi Oliver – odezwał się w słuchawce głos nowego faceta. – Jesteśmy w szpitalu.

. . .

Świętowanie już się zaczęło.

Oliver wyglądał jak człowiek, który nie spał całą noc, ale doczekał rankiem szczęśliwego zakończenia. Rozmawiał z ożywieniem z elegancką starszą parą – domyślałem się, że to jego rodzice. Kobieta trzymała dwie wiązanki kwiatów, ale donoszono już kolejne.

Scout siedziała cicho w samym środku tego zamieszania i rysowała coś na swoim iPadzie.

Przywitałem się ze wszystkimi.

– Gratulacje – powiedziałem. – Mama i dziecko czują się dobrze?

– Tak, trochę się tylko pospieszyli – odparł Oliver. Po raz pierwszy połączyło nas coś na kształt nici porozumienia. Dobrze wiedziałem, co czuje. Mieszankę ulgi, dumy i czystej radości. Ja też przeżywałem kiedyś to wszystko.

Wyciągnąłem rękę do Scout.

Rodzice Olivera wymienili zakłopotane spojrzenia. Wszyscy byli bardzo przyjaźni, ale i wszyscy dobrze wiedzieli, że Scout i ja jesteśmy częścią porzuconej przeszłości. W tym momencie chyba nieco lepiej zrozumiałem byłą żonę. Na pewno wszystko jest o wiele łatwiejsze, gdy udaje się, że nigdy wcześniej nie kochałeś.

– Anne? – spytała matka Olivera.

– Śpi – odparł.

– Jest wyczerpana – dodał ojciec.

– Oczywiście. – Skinąłem głową. Scout i ja mogliśmy już teraz stąd uciec.

Oliver spojrzał na mnie i uśmiechnął się, przekazując mi coś, czego do końca nie odszyfrowałem. Być może on też po raz pierwszy zobaczył mnie naprawdę.

Odpowiedziałem uśmiechem. Nie chciałem przedłużać ich mąk. Wolałem, by w spokoju cieszyli się swoim szczęściem.

Ująłem mocniej maleńką dłoń córki.

. . .

W niedzielę rano ruch był niewielki, wkrótce byliśmy już na moście Blackfriars i zmierzaliśmy w stronę domu.

– Kiedy mama wyjdzie ze szpitala – zacząłem – i gdy dziecko już się zadomowi…

Scout przerwała mi w pół zdania.

– Wszystko w porządku, tato – powiedziała z dojrzałością, jakiej jeszcze u niej nie widziałem. Spojrzała na rzekę, na ulice Farringdon Market, na stary Londyn, który tego dnia odpoczywał. – Tu czuję się najlepiej – dodała.

. . .

Nad ranem się obudziła. Półprzytomny wszedłem do jej pokoju.

– Chłodna strona poduszki – wymamrotała, nie otwierając oczu. – Odwróć na chłodną stronę poduszki.

Delikatnie podniosłem ją do pozycji siedzącej, a potem obróciłem poduszkę na drugą stronę. Ułożyła się z powrotem i już po chwili smacznie spała, opierając głowę na – jak to nazywała – chłodnej stronie poduszki.

12

W pokoju 101 Nowego Scotland Yardu sierżant John Caine otworzył drzwi prowadzące do Czarnego Muzeum, wpuszczając do środka kilkunastu słuchaczy szkoły policyjnej.

Przyjechali tu z Peel Centre, głównego ośrodka szkoleniowego Policji Metropolitalnej, które my nazywaliśmy po prostu Hendon. Weszli do sali rozbawieni i roześmiani, jak dzieciaki na szkolnej wycieczce, umilkli jednak, dotarłszy do gabloty z różnymi rodzajami broni, jakiej użyto do zabicia policjantów.

John i ja szliśmy w pewnej odległości za nimi, ja z potrójnym espresso z baru Italia, on z wielkim kubkiem herbaty z napisem: NAJLEPSZY TATA NA ŚWIECIE. W następnej części sali znajdowała się kolekcja naczyń, w których Dennis Nilsen gotował głowy, ręce i stopy swoich ofiar, by oddzielić mięso od kości. Nikt się już nie uśmiechał. Nikt nie rozmawiał. Zaczynali rozumieć, że każdego dnia swej kariery policyjnej mogli wyjść do pracy i więcej nie wrócić.

– Ilu ich tam jest, John? – spytałem.

– Ilu ludzi zabił Nilsen? Sam nie pamiętał, prawda? Przypuszczają, że piętnastu albo szesnastu. Dość, żeby zatkać odpływ w mieszkaniu sąsiadów.

– Nie. – Pokręciłem głową. – Ilu ludzi z tego żyje? Nie takich wariatów jak Nilsen. Nie kowbojów i gangsterów, którzy zrobią wszystko za parę patyków. I nie tych, którzy zabijają w afekcie, kuchennym nożem, bo przeczytali akurat wiadomość nieprzeznaczoną dla ich oczu. Mam na myśli prawdziwych

zawodowców, którzy traktują to jak pracę. Sposób na życie. Ilu ich jest?

– Tych, którym morderstwo uchodzi na sucho?

Skinąłem głową.

– Nie wiemy, prawda? Nigdy się nie dowiemy, choć teoretycznie powinniśmy. Co ja o tym myślę? Moim zdaniem nie ma genialnych zawodowców, błyskotliwych zabójców na zlecenie. Wszystko to gnojki pełne złości, które szukają łatwych pieniędzy. Wszyscy. Ci, którzy robią to dla kasy, i ci, którzy poczuli się zranieni przez jakąś kobietę. Więc odpowiadając na twoje pytanie, synu, powiem, że nie ma ani jednego.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę.

Słuchacze ze szkoły policyjnej przechodzili obok zdjęcia Maisy Dawes, ofiary wiktoriańskiej zmyłki i ślepego losu. Nawet na nią nie spojrzeli.

„Maisy Dawes nie zrobiła niczego złego. Właśnie na tym polegał jej dramat. Została skazana i umarła w nędzy, choć była niewinna”.

– A ja myślę, że jest ich trochę więcej, John – powiedziałem. – Niewielu, ale jednak.

Poczułem wibrację telefonu i wróciłem do biura, żeby odebrać. Dzwoniła Edie Wren.

– Znaleźliśmy narzędzie zbrodni.

. . .

W katakumbach cmentarza Highgate West panował przenikliwy chłód.

– Po drugiej stronie – poinformował mnie umundurowany policjant strzegący terenu. Zanurkowałem pod taśmą. Po drugiej

stronie katakumb widać było ciemne postacie, słyszałem ściszone głosy, trzask i szum krótkofalówek.

Katakumby mają niemal sto metrów długości, mieszczą prawie tysiąc wnęk dopasowanych kształtem i wielkością do trumien. I choć znajdują się nad ziemią, wpuszczono je w zbocze wzgórza, a grobowy chłód otula ceglane i żelazne powierzchnie.

Zapłonęły lampy. Za ostatnią taśmą stali technicy kryminalistyczni w białych kombinezonach. Whitestone rozmawiała z koordynatorem akcji. Gane klęczał przy ścianie i zaglądał do wnęki, w której leżała trumna. Wren zapisywała coś w notesie, przepytując dwóch przerażonych chłopców i kręcąc głową nad ich głupotą.

Pochyliłem się i przeszedłem pod taśmą.

– Ci dwaj to znaleźli – oznajmiła Wren. – Przeszli przez mur. Węszyli tam, gdzie nie powinni. – Zmierzyła ich groźnym spojrzeniem. – A to nawet nie Halloween.

– Nie zamierzaliśmy niczego ukraść – powiedział jeden z nich, bliski łez.

– Rozglądaliśmy się tylko – dodał drugi, znacznie spokojniejszy. – I dobrze zrobiliśmy, prawda? Znaleźliśmy ważny dowód.

Ukląkłem obok Gane'a. Oświetlał latarką wnętrze trumny, z której uśmiechała się do nas trupia czaszka.

– Wygląda na to, że w czasach wiktoriańskich ludzie chcieli leżeć głową w stronę korytarza – zauważył Gane. – Może, żeby łatwiej im było pogadać z innymi umarlakami.

– Gdzie jest broń? – spytałem, próbując przebić wzrokiem ciemność.

– Głębiej. W klatce piersiowej. Tak przynajmniej mówią te dwa nicponie. – Wskazał głową na chłopców. Wyjęli ciało i wsunęli je z powrotem, kiedy zobaczyli, co jest w środku. Jeden z nich powiedział o tym matce, a ta do nas zadzwoniła.

– Gdybyśmy tu nie przyszli… – zaczął ten spokojniejszy.

– Zamknij jadaczkę – warknęła na niego Wren.

Odsunęliśmy się z Gane'em na bok, robiąc miejsce fotografce. Kiedy skończyła, Whitestone skinęła na mnie głową.

– Kto ma najdłuższe ręce? – spytała.

– Ja – zgłosiła się Wren.

– Wyjmij to, Max – poleciła komisarz.

Naciągnąłem na dłonie lateksowe rękawiczki i sięgnąłem do wnętrza trumny. Dotknąłem czubkami palców gładkiej powierzchni czaszki. Przesuwałem je powoli głębiej, sięgnąłem wierzchołka kręgosłupa. Pochyliłem się, zaciskając mocno usta i starając się nie wciągać w nozdrza pyłu ze stuletniego grobu. Poczułem pod palcami zaokrąglenia żeber, skruszałych ze starości. Niektóre kości były połamane i ostre – musiały zostać uszkodzone całkiem niedawno, w ostatnich dniach.

Sięgnąłem do wnętrza klatki piersiowej szkieletu i poczułem zimny dotyk stali. Wymacałem krótką lufę, gruby korpus i trzy litery nazwy producenta.

Zamknąłem dłoń na rękojeści.

Bardzo powoli wyciągałem pistolet.

– Jak oni to tam wsadzili? – zastanawiała się głośno Wren.

– Wyłamali żebra – odparłem. W tej samej chwili poczułem, jak ostra krawędź jednego z uszkodzonych żeber przecina rękawiczkę i skórę na moim kciuku. Strumyk ciepłej krwi pociekł w dół nadgarstka.

Przesunąłem kostkami po ścianie trumny. Drewno było już całkiem spróchniałe. Czułem, jak coś oślizgłego odsuwa się od mojej dłoni.

Wreszcie wyjąłem pistolet z trumny.

Koordynator akcji czekał już z torebką na dowody. Kiedy wsuwałem broń do woreczka, zauważyłem blond włos przyklejony do wylotu lufy. Fotografka znów zabrała się do robienia zdjęć.

– Kiedy się to trzyma w dłoni, łatwiej zrozumieć, dlaczego ktoś wpadł na taki pomysł – powiedziałem. – Jest lekkie. Poręczne. Legalne.

Oglądaliśmy broń podświetlaną fleszem aparatu. Była srebrnoszara, przypominała raczej dużą ręczną wiertarkę albo urządzenie do wbijania gwoździ niż prawdziwą broń.

– Mimo wszystko to dość niezwykłe narzędzie zbrodni – mruknęła Wren. – No bo dlaczego akurat coś takiego? Niełatwo zabić tym całą rodzinę.

– Chyba że wcześniej nafaszerujesz wszystkich rohypnolem – odpowiedziałem.

– Albo jeśli próbujesz kogoś wrobić – podsunął Gane.

– Gotowe – powiedziała fotografka, a Whitestone wzięła torebkę z pistoletem do uboju bydła i zważyła go w dłoni.

– Albo jeśli dobrze to już znasz – dodała.

. . .

Wracaliśmy z Wren do Ogrodu przez cmentarz Highgate otoczeni ze wszystkich stron gęstą roślinnością, która sprawiała, że miejsce to przypominało raczej dżunglę niż nekropolię. Pozbawione liści wielkie drzewa napierały na nas ze wszystkich stron i okrywały nas cieniem. Nie znałem ich nazwy, wiedziałem jednak, że latem liście tych drzew są soczyście zielone i lepkie, a jesienią oślizgłe – należały do miejskiego krajobrazu, choć miasto wydawało się teraz odległe o lata świetlne.

Nagle go zobaczyłem.

Szedł między drzewami, potem zniknął mi na chwilę z oczu za pagórkiem, lekko pochylony, w bluzie z kapturem naciągniętym głęboko na głowę.

– Ta część cmentarza jest zwykle zamknięta, prawda? – spytałem.

Wren skinęła głową.

– Mogą tu wchodzić tylko wycieczki z przewodnikiem. Sam mi o tym mówiłeś, pamiętasz? Zachodnia strona jest na co dzień zamknięta.

– Więc kto to jest, do diabła?

Znaleźliśmy go przy starym grobie obrośniętym gęstymi krzewami. Siedział na nagrobku i opierał dłoń na znajdującym się obok masywnym posągu śpiącego psa. Sam grobowiec był prosty i niepozorny, ale posąg wydawał się ogromny, dziesięć razy większy od prawdziwego psa.

Rocky uśmiechnął się do nas spod kaptura.

– Co ty tu robisz? – spytałem.

– Odwiedzam mojego bohatera – odparł, klepiąc psa po głowie. – Słyszeliście o Tomie Sayersie? On też był bokserem. Wielką gwiazdą walk na gołe pięści w połowie dziewiętnastego wieku. Właśnie tu go pochowali. Tom był Floydem Mayweatherem swoich czasów. Muhammadem Alim. Sugar Rayem Leonardem. Był niski, jak ja, ale walczył ze znacznie większymi facetami. Wtedy nie było jeszcze podziału na kategorie wagowe.

Wren spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

– Znasz tego pana? – zwróciła się do mnie.

– Z siłowni – potwierdziłem. – Rocky jest bokserem. Skąd znasz to miejsce, Rocky?

– Pracowałem tu trochę. Dla jednego z kumpli mojego taty. Wiesz, układanie podjazdów. Mówiłem ci chyba, nie? Wydawało mi się, że mówiłem.

– Jak się nazywa kumpel twojego taty?

– Sean Nawkins.

Spojrzeliśmy z Wren po sobie. Starałem się nie okazywać zaskoczenia, ale pomyślałem o przyczepach i domkach Oak Hill Farm w Essex i o pięknym domu Woodów na najwyższym wzgórzu Londynu.

Różne światy, przemknęło mi przez głowę.

Ale myliłem się.

– Pracowałeś kiedyś w Ogrodzie? – spytałem ostrzejszym już tonem.

Rocky spojrzał na mnie niewinnymi oczami dziecka.

– W jakim ogrodzie konkretnie?

– Ogród to zamknięte osiedle po drugiej stronie tego muru – wyjaśniłem, choć miałem wrażenie, że chłopak i tak dobrze to wie. – Sześć domów.

Pokręcił głową.

– Nie, to było dalej. Hadley Wood. Ale słyszałem, że Tom Sayers jest tutaj pochowany i chciałem go odwiedzić. Wiecie, ilu ludzi przyszło na jego pogrzeb? Sto tysięcy. Szli za jego trumną z Camden Town. Wyobrażacie sobie…

– Nie powinieneś tu wchodzić – przerwałem mu. – Wiesz o tym, prawda?

Ale Rocky tylko podrapał olbrzymiego psa za uszami i uśmiechnął się do mnie szeroko, jakby wszystkie moje małostkowe zasady nie obowiązywały ludzi z jego świata.

. . .

Lodowaty wiatr poruszał świątynnym dzwonem w japońskim ogrodzie Mary Wood.

Stałem w połowie drogi między bramą i domem Woodów, podczas gdy nasi ludzie przeglądali listę robotników, których wpuszczono na teren osiedla w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Sprawdzali, kogo jeszcze należy odszukać, z kim porozmawiać, a kogo wykreślić. Kiedy nagle rozległ się dźwięczny głos dzwonu, podniosłem wzrok.

Domu Woodów pilnował sierżant i dwoje umundurowanych policjantów. Biało-niebieska taśma policyjna wyglądała na mocno sfatygowaną. Wciąż słyszałem dzwon.

Dom mówił do mnie.

Próbował do mnie mówić.

Było okropnie zimno, lód okrywał cienką warstwą szyby range roverów, porsche i bmw stojących na podjazdach.

Ruszyłem biegiem w stronę domu i zanurkowałem pod taśmą. Słyszałem głos dzwonu coraz wyraźniej, ten czysty jasny dźwięk dochodzący z tylnej części domu, w którym Woodowie cieszyli się swoim szczęściem.

– Proszę pana?

Sierżant stał u mojego boku, z jego ust wydobywały się obłoki pary. Pokręciłem tylko głową, wciąż nie wiedząc, czego szukam, co dom próbuje mi powiedzieć.

Nadal stałem na podjeździe, słuchając dzwonu, gdy dołączyła do mnie Wren.

– Co się dzieje, Max?

Spojrzałem na nią.

– Nie wiem.

W półmroku zgasły ostatnie promienie zimowego słońca i niemal w tej samej chwili zapłonął grunt pod naszymi nogami – dwadzieścia cztery lampki wbudowane w podjazd, ciągnące się od drogi do frontowych drzwi po obu stronach czarnej wstęgi.

Przykucnąłem i dotknąłem zimnej powierzchni drogi, potem spojrzałem na inne podjazdy, a następnie znów przeniosłem wzrok na podjazd Woodów. Był wykonany z jednolitego, nieskazitelnie czarnego asfaltu. Na drogach przed innymi domami widać było drobne pęknięcia, ślady opon i dymu z rur wydechowych, blizny czasu i pogody.

Ale nie tutaj. Przeciągnąłem palcem po gładkiej powierzchni.

– To jest nowe – powiedziałem.

– Co?

– Podjazd. Przypuszczam, że położono go późnym latem albo na początku jesieni. Niedawno. Na tyle niedawno, że nie ma na nim jeszcze żadnych śladów.

Przypomniałem sobie Rocky'ego w siłowni. „Na razie pracuję. Układam podjazdy". A potem grób Toma Sayersa. „Dalej. Hadley Wood".

Rocky, pomyślałem. Ty kłamliwy gnojku.

Kogo próbował chronić?

Seana Nawkinsa? Swojego ojca? Siebie?

Sierżant i jego podwładni przyglądali mi się ze zdziwieniem, gdy wciąż kucając, przesuwałem palcami po powierzchni asfaltu.

– Firmy, która układała ten podjazd, nie ma na liście, prawda? – spytałem.

Wren spojrzała na mnie, a potem na podjazd. Wreszcie przeniosła wzrok na inne podjazdy i dostrzegła to samo co ja.

Tylko podjazd przed domem Woodów był nieskazitelny. Tylko podjazd przed domem Woodów był nowy.

Wren spojrzała na wydruk listy, który trzymała w dłoni. Wiatr znów poruszył drzewami za murem, odpowiedziało mu bicie dzwonu. Zaklęła cicho, zmięła listę i ruszyła biegiem w stronę Whitestone i Gane'a. Jej długie rude włosy falowały na wietrze niczym płomień.

13

– Ułożenie takiego podjazdu jak przed domem Woodów to praca na dwa dni – powiedziała Wren w pokoju operacyjnym następnego poranka. – Wykonawca przyjeżdża z gorącym asfaltem. To mieszanka piasku, kamieni i żwiru w płynnym asfalcie. Wylać. Wyrównać. Zatrzeć. W sumie czterdzieści osiem godzin.

– Ochroniarze przy bramie powinni zapisywać wszystkie wjazdy i wyjazdy do i z Ogrodu – zauważyła Whitestone.

Wren skinęła głową.

– Ale wczesnym rankiem, kiedy mieszkańcy wyjeżdżają do pracy i do szkoły, brama jest cały czas otwarta. Wygląda na to, że nie zapisali akurat tej firmy, która układała asfalt na podjeździe Woodów.

– Jakieś dokumenty? – spytała Whitestone. – Faktury? Rachunki?

– Niczego nie znaleźliśmy – odparła Wren. – Nie ma też żadnych śladów w komputerach Woodów. Sprawdzaliśmy.

– Gotówka do ręki, mniej papierkowej roboty – mruknął Gane.

Spojrzałem na wielką mapę Londynu na ścianie pokoju operacyjnego numer jeden. Ogród znajdował się po zachodniej stronie cmentarza Highgate West, na najwyższym wzgórzu w mieście. Można tu było dojechać od północy z Finchley, od południa z Kentish Town, od zachodu z Hampstead i od wschodu z Holloway. Jeśli wykonawcy podjazdu dotarli tu od strony obwodnicy Londynu, M25, to musieli nadjechać od północy.

– Nikt ich nie pamięta? – dopytywała Whitestone. – Ochrona? Sąsiedzi?

Wren zajrzała do swoich notatek.

– Ochroniarz pamięta, że pod koniec zeszłego lata Woodowie przez kilka dni parkowali samochody na drodze. Koniec sierpnia, początek września, tak mu się przynajmniej wydaje. A w Ogrodzie nikt nie parkuje na drodze. Widocznie wtedy właśnie wylali im podjazd. Trzeba odczekać parę dni, zanim można na tym parkować. Tak więc wiemy przynajmniej, kiedy to było.

– Kamery – powiedziałem. – Mogły ich nagrać kamery.

Gane parsknął śmiechem.

– Wiesz, ile kamer ochrony jest w promieniu kilometra od sceny zbrodni?

– Nie chodzi o kamery ochrony – pokręciłem głową – tylko o ANPR.

Ludzie nazywają je fotoradarami, ale oficjalnie to kamery automatycznego rozpoznawania numerów rejestracyjnych. Bo nie chodzi tu jedynie o sprawdzanie prędkości – to tylko część ich zadania. Najważniejsze jest ustalenie tożsamości.

– Kamery ochrony w niczym nam nie pomogą – kontynuowałem. – Bo na pewno nikt nie zachował nagrań z tak długiego okresu. Co innego z kamerami ANPR. Tutaj dane przechowywane są znacznie dłużej.

Wren już stukała w klawiaturę komputera.

– Kamera fotoradaru stoi na wzgórzu przed cmentarzem Highgate – powiedziała. – Kolejna tuż przy wjeździe do Ogrodu. Dwie, nie, trzy, przy Spaniards Road, jeśli nadjechali od zachodu.

– Nie przyjechali od zachodu. – Pokręciłem głową. – Przyjechali od północy, od strony obwodnicy M dwadzieścia pięć.

– Skąd wiesz? – spytała Whitestone.

– Układaniem podjazdów zajmują się firmy z przedmieść – wyjaśniłem. – To ludzie spoza miasta.

– Jak długo przechowuje się dane z fotoradarów? – zapytała.

– To zależy, czy samochód ma przegląd techniczny, ubezpieczenie, czy jest zarejestrowany. Czy należy do kogoś, kto nas interesuje – tłumaczyłem. – Czy łamie przepisy. Dane wszystkich, którzy popełnili wykroczenia, trafiają do nas, ale zostają też w bazie danych agencji, która zarządza fotoradarami.

– Na jak długo? – pytała, wpatrując się we mnie z przejęciem. – Teoretycznie?

– Na zawsze.

. . .

Kiedy już wiedzieliśmy, że czeka nas bezsenna, pracowita noc, zamówiliśmy jedzenie, dopóki było to jeszcze możliwe. Nawet Soho kiedyś się zamyka. Potem wszyscy zadzwoniliśmy do swoich domów.

Scout od dawna leżała w łóżku, a pani Murphy zapewniła mnie, że to dla niej żaden problem i że może zostać u mnie na noc.

Słyszałem przyciszone głosy współpracowników. Whitestone rozmawiała przez Skype'a z synem. Wren szeptała coś do telefonu, kontaktując się zapewne ze swoim żonatym facetem. Gane przekładał spotkanie z kimś, z kim umówił się akurat na ten wieczór.

Potem te dźwięki ucichły gdzieś w oddali, a ja słyszałem jedynie melodyjny irlandzki głos w moim uchu, który opowiadał mi o tym, co Scout narysowała w szkole. Pokój operacyjny zniknął na moment z mojej świadomości, którą wypełnił głos domu.

Potem jednak mój wzrok padł na komisarz Whitestone i twarz chudego, rozczochranego nastolatka w okularach, widoczną na ekranie jej komputera. Syn. Choć nie słyszałem, co mówią, wyczuwałem tę niezwykle mocną więź łączącą samotnego rodzica z dzieckiem. Widziałem – a przynajmniej tak mi się wydawało – coś,

co sam doskonale znałem, nierozerwalne więzy miłości i krwi, poczucie, że jesteście wy dwoje, a potem reszta świata.

Po raz pierwszy spojrzałem w ten sposób na moją szefową, tę cichą, skromną kobietę w okularach, z dziesięcioletnim doświadczeniem w wydziale zabójstw, pogrążoną teraz w rozmowie z dzieckiem, i po raz pierwszy zobaczyłem w niej samego siebie.

. . .

Całą noc przeglądaliśmy czarno-białe zdjęcia z fotoradarów.

Na fotografiach nie było widać twarzy. Dlatego ludzie wymieniają się punktami, twierdzą, że wcale nie siedzieli za kółkiem, udają, że byli wtedy w domu, zapewniają, że „to nie ja, to żona, Wysoki Sądzie".

Bo ANPR identyfikuje numery, a nie twarze.

Siedziałem przy biurku Gane'a, gdy przewijał obrazy z kamery na wzgórzu, zdjęcia samochodów w letnim słońcu, wspinające się na dach Londynu. Pracowaliśmy w milczeniu, ja nieco rozedrgany po zbyt wielu potrójnych espresso z baru Italia. Kiedy w końcu się odezwałem, słońce stało już wysoko nad dachami Mayfair, a mój głos był zachrypnięty po nieprzespanej nocy.

– Zatrzymaj – rzuciłem.

W górę zbocza jechał biały pick-up z odkrytą skrzynią.

Charakterystyczny samochód. Ford mustang. Na zdjęciu nie było widać kierowcy ani zawartości skrzyni. Widać było jednak wyraźnie czarny napis na drzwiach.

ASFALTOWE NAWIERZCHNIE.

Spojrzałem na Billy'ego Greene'a.

– ASFALTOWE NAWIERZCHNIE, Billy. – Podałem mu markę i numer rejestracyjny.

– Nie powinni mieć betoniarki? – spytała Gane. – Walca? Jakiegoś cięższego sprzętu.

– Można by tak pomyśleć. Ale agencja nie zatrzymałaby tego zdjęcia, gdyby mieli wszystko w porządku.

Billy Greene obrócił się na fotelu.

– Pojazd nie miał ważnego przeglądu technicznego, dlatego nadal jest w bazie danych. Premium Blacktop nie ma strony internetowej ani konta na Facebooku czy Twitterze. W ogóle nie ma ich w internecie. Firmę zarejestrowano w Essex, w Oak Hill Farm. Dyrektorem jest Sean Nawkins.

Billy zawahał się na moment, jakby próbował starannie dobrać słowa. W dzisiejszych czasach często nie wolno nam mówić tego, co chcemy. To zabronione.

– Koczownicy – stwierdził w końcu krótko.

14

Godzinę później skręciłem starym bmw X5 z drogi A127 przy Gallows Corner. W oddali widać było Oak Hill Farm, białe przyczepy zaparkowane jedna przy drugiej wokół osiedla niczym wozy osadników na Dzikim Zachodzie czekających na atak Apaczów.

– Czułbym się lepiej, gdyby był tu z nami oddział prewencji – mruknął Gane.

Pojechaliśmy do Oak Hill Farm tylko we czworo. Ja prowadziłem, obok mnie siedziała Whitestone, Gane i Wren zajęli miejsca z tyłu. Tylko nasz zespół śledczy.

– Nie będziemy tu sprowadzać całej armii – odparła Whitestone. – Lepiej zachować dyskrecję.

W milczeniu zbliżaliśmy się do obozu. Nad bramą z rusztowań powiewały stare i nowe transparenty. STOP CZYSTKOM ETNICZNYM, NIE ODEJDZIEMY, TO NASZ DOM – głosiły napisy.

Po chwili znaleźliśmy się pośród schludnych małych domków, między którymi walały się lodówki i pralki z wyrwanymi drzwiczkami, wypatroszone telewizory i stare komputery.

Zwolniłem, by nie potrącić przypadkiem któregoś z dzieci lub psów kręcących się na drodze. Dostrzegłem wśród nich piętnastoletnią dziewczynę.

– Cześć, Echo! – zawołałem. – Nie masz szkoły w środku tygodnia?

– A to środek tygodnia? – zdziwiła się.

– Twój tata jest w domu?

Spojrzała przez moje ramię na Gane'a siedzącego na tylnym fotelu.

– On nie powinien tu wracać – powiedziała. – W ogóle nie powinniście tu wracać.

Eskortowany przez dzieci i psy, powoli przejechałem do miejsca, gdzie obok siebie stały duży dom i przyczepa. Sean Nawkins siedział przed domem. Na nasz widok zmarszczył gniewnie brwi. Odłożył „Guardiana", wstał i wycelował oskarżycielsko palec w Gane'a, który wysiadał właśnie z samochodu.

– Rozmawiam o tobie z moim prawnikiem – powiedział.

Okno przyczepy, w które Gane wrzucił Szczurzą Gębę, wciąż było rozbite.

– Podkomisarzu Gane, poszukaj, proszę, tego samochodu, dobrze? – poleciła Whitestone. – Detektyw Wren, proszę mu pomóc. Pan Nawkins? – Whitestone pokazała legitymację. – Jestem komisarz Whitestone. Zdaje się, że poznał pan już detektywa Wolfe'a.

Tłum rozstąpił się przed Gane'em i Wren. Echo stanęła u boku ojca i wzięła go pod rękę. Nie wiedziałem, czy próbuje go powstrzymać, czy szuka ochrony.

– Wiesz, co zrobili mojemu bratu? – zwrócił się Nawkins do Whitestone. – Ci farmerzy? Rozebrali go do naga i próbowali obciąć mu jaja. Wcale nie chcieli go tylko nastraszyć. Stary nie miał odwagi, żeby zrobić to sam, więc zebrał synalków. Cieszę się, że mój brat ich zabił. Zasługiwali na to. I nie ma to nic wspólnego z innymi rzeczami, jasne?

– Czy ma pan pick-upa, forda mustanga, panie Nawkins? – spytała Whitestone. Zajrzała do notatek i odczytała numer rejestracyjny. Potem spojrzała na niego wyczekująco.

– Mam sporo samochodów – odrzekł Nawkins. – Ford mustang, powiadasz? Miałem kilka takich. Dobre do prac budowlanych. Wiecie,

do układania asfaltu.

– Czy układał pan asfalt w północnym Londynie? W okolicach Highgate?

– Pewnie, wiele razy. – Jego twarz wykrzywiła się w szyderczym uśmiechu. – O co chodzi? Chcecie wrobić mojego brata tylko dlatego, że miałem robotę w Ogrodzie? To było pół roku temu!

W drzwiach przyczepy pojawił się Peter Nawkins. Spojrzał na brata.

– Wrócili! – rzekł do niego. – Mówiłeś, że już nie przyjadą! A oni wrócili!

Do psów i dzieci dołączali teraz dorośli. Kilkanaście osób, mężczyźni i kobiety, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Obserwowali nas, rozmawiali ze sobą. Po chwili było ich już co najmniej dwadzieścioro, a potem więcej, niż mogłem zliczyć. Wychodzili ze swoich domków i przyczep, dojrzałem wśród nich wielkiego brodacza i Szczurzą Gębę, który miał na głowie bandaż, pamiątkę po spotkaniu z Gane'em.

– Zatem nie zaprzecza pan, że pracował dla Woodów w Ogrodzie? – pytała dalej Whitestone.

Nawkins roześmiał się głośno.

– A czemu miałbym zaprzeczać? Nawet ich nie spotkałem. Rozmawiałem z gospodarzem przez telefon, na miejscu przyjęła nas gosposia, babka gdzieś ze wschodniej Europy, na koniec dała nam kopertę z pieniędzmi i po drinku dla każdego za dobrze wykonaną robotę. – Roześmiał się ponownie, szczerze ubawiony. – Naprawdę chcesz to wykorzystać do oskarżenia o morderstwo?

Whitestone spojrzała na mnie. Ja patrzyłem na tłum.

– Przyjechaliśmy tu, bo w Ogrodzie był samochód z Oak Hill Farm – powiedziała Whitestone. – Chcemy po prostu wyeliminować właściciela tego pojazdu z listy osób powiązanych ze sprawą.

– Czyli mnie, tak? Chryste, byliśmy tam pół roku przed tym morderstwem! Naprawdę nie stać was na nic więcej?

Śmiech tłumu. I dobrze, pomyślałem. Kiedy się śmieją, są mniej skłonni rzucić ci się do gardła. Dostrzegłem jednak, jak Whitestone czerwienieje i zaciska usta. Podsunęła palcem okulary na nosie. Niesamowite, ile emocji potrafiła zawrzeć w tym jednym geście.

Spojrzała surowo na Petera Nawkinsa.

– Gdzie pan był w sylwestra? – spytała.

– Twoi gliniarze już go o to pytali – odezwała się Echo.

– Wydaje mi się, że rozmawiali o tym z drugim panem Nawkinsem – odpowiedziała jej Whitestone, nie odwracając głowy. – Teraz rozmawiam z tym panem Nawkinsem. A on wciąż nie udzielił mi satysfakcjonującej odpowiedzi.

– Już przez to przechodziliśmy – burknął Sean Nawkins. – I nie będziemy tego powtarzać. Zapukajcie do innych drzwi. Ja wyjechałem na sylwestra do Irlandii, w interesach. Mogę wam przedstawić tylu świadków, ilu tylko zechcecie. Mój brat był tutaj. Musisz się z tym pogodzić, paniusiu, czy ci się to podoba, czy nie. Odczep się od nas w końcu, dobrze? Wracaj do środka – zwrócił się do brata. – Idź do środka i uspokój się.

Peter Nawkins wszedł do przyczepy. Whitestone skinęła na mnie głową, więc poszedłem za nim.

W środku przyczepa przypominała wnętrze łodzi. Każdy skrawek przestrzeni został wykorzystany, jakby właściciela czekała długa, wielodniowa podróż. Nawkins stał w kuchni, oparty o zlew, a jego potężne ramiona drżały.

– Chcecie mnie zamknąć! – powiedział.

– Nie, chyba że zrobiłeś coś złego.

– Właśnie, że chcecie! Chcecie mnie zamknąć, bo wtedy będziecie mogli powiedzieć, że rozwiązaliście sprawę! Musicie kogoś zamknąć

albo sami będziecie mieli kłopoty! A mnie łatwo zamknąć ze względu na to, co zrobiłem wiele lat temu. – Spojrzał na mnie ze złością. – Tak to działa, prawda?

– Czasami – odparłem. – Czasami tak to działało w przeszłości. Niewinni ludzie trafiali do więzienia. Za zamachy, za morderstwa, bo ktoś musiał zostać ukarany. Jednak nie tym razem. Nie teraz. Nie musisz się niczego obawiać, jeśli nie zrobiłeś nic złego. Ale musisz nam pomóc. Zaginął chłopiec. Zamordowano całą rodzinę.

– Jestem chory.

– Wiem.

– Mam raka. Nieuleczalnego.

– Bardzo mi przykro.

Skinął głową, usatysfakcjonowany. Z zewnątrz dochodziły głosy tłumu. Zerknąłem w stronę okna, ale niczego nie zobaczyłem. Nie czułem się dobrze z tym, że Whitestone została sama.

– Rozumiesz, dlaczego tu jesteśmy, prawda? – spytałem. – Wiesz, co stało się z tą rodziną? Zginęli w taki sam sposób, jak farmer Burns i jego trzej synowie. Zabito ich pistoletem do uboju bydła. A to ty zabiłeś tamtych czterech, pamiętasz?

– Bo chcieli mnie pociąć!

Zrobiłem krok w jego stronę.

– Czy Premium Blacktop to firma twojego brata?

Po krótkiej pauzie Peter Nawkins skinął głową.

– Pomagasz mu?

– Czasami.

– Byłeś z nim zeszłego lata w Ogrodzie?

– Ja tego nie zrobiłem – powiedział. – Nie spotkałem tych ludzi. Żaden z nas się z nimi nie widział. Wiesz o tym, prawda?

Przez chwilę wpatrywałem się w niego, po czym powoli skinąłem głową.

Jego brat miał rację.

Goniliśmy w piętkę.

Peter Nawkins odwrócił się ode mnie i wszedł do sypialni. Widziałem przez drzwi wielkie łóżko zajmujące większość niedużego pomieszczenia. Nawkins rzucił się na łóżko i zajął je niemal w całości swym potężnym, zwalistym ciałem.

Wszedłem za nim do pokoju, stanąłem przy łóżku i popatrzyłem na niego z góry.

Potem podniosłem wzrok i spojrzałem w to samo miejsce, co on, na sufit.

Z góry uśmiechała się do mnie tysiąckrotnie ta sama kobieca twarz.

Sufit sypialni Nawkinsa pokrywały zdjęcia Mary Wood.

Zostały ściągnięte i wydrukowane z internetu, większość przedstawiała Mary jako znacznie młodszą kobietę, z okresu jej największej sławy.

Mary w stroju narciarskim. Mary uśmiechnięta w Lillehammer. Mary zatroskana i zamyślona w dresie reprezentacji podczas spotkania z dziennikarzami. I Mary uśmiechnięta u boku przyszłego męża, choć czyjeś nożyczki precyzyjnie usunęły Brada Wooda ze zdjęcia.

Uświadomiłem sobie nagle, że od dłuższej chwili wstrzymuję oddech.

– Peter? – powiedziałem.

– Tak?

– Co, do cholery, zdarzyło się w Ogrodzie?

Zamknął oczy, jakby nie chciał patrzyć na Mary Wood w tym samym czasie co ja. Jakby nie chciał się nią z nikim dzielić.

– Nic się nie zdarzyło – odparł. – Po prostu mi się podobała, to wszystko. Wyglądała na miłą. Wyglądała na dobrą kobietę. Nigdy nie podobał ci się ktoś, kogo nie poznałeś?

– Spotkałeś ją w Ogrodzie, prawda? Przestań mnie okłamywać!

– Nie rozmawiałem z nią. Nie umiałbym rozmawiać z damą taką jak ona. Ale widziałem ją. – Otworzył w końcu oczy i spojrzał na mnie. – Nie wyobrażasz sobie, jak cudownie wyglądała.

W następnej chwili byłem w drzwiach przyczepy, oddychałem ciężko. Tłum liczył już ze sto osób, może więcej. Whitestone słuchała Nawkinsa, który raczył ją wykładem o brutalności policji i prawach człowieka.

Nie widziałem nigdzie Gane'a i Wren.

– Szefowo, musisz to zobaczyć – powiedziałem.

Whitestone przeszła za mną do sypialni w przyczepie, gdzie wciąż leżał Peter Nawkins. Idąc za moim przykładem, podniosła wzrok do sufitu. Przez długą chwilę wpatrywała się w zdjęcia, a potem w potężnego mężczyznę rozwalonego na łóżku.

– Gdzie są Gane i Wren? – spytała.

Przy pasie Whitestone wisiał mały nylonowy woreczek. Otworzyła go i wyjęła bezgłośnie parę stalowych kajdanek ASP.

Podszedłem do okna. Widziałem tylko zbity tłum.

– Nie mogą być daleko – odparłem.

Skinęła głową. Wiedziałem, co zamierza zrobić, bo uczą nas tego do znudzenia podczas szkoleń. „Aresztowaniu zawsze towarzyszy fizyczne przejęcie kontroli". Nie skuwa się kogoś, gdy ma możliwość ucieczki.

– Peterze Nawkins, aresztuję cię pod zarzutem zamordowania Mary Wood – powiedziała spokojnym tonem Whitestone.

Nawkins usiadł prosto i otworzył oczy.

– Co? – zdumiał się, ale w tym momencie miał już ręce skute za plecami. Łagodnie pomogliśmy mu wstać z łóżka. Patrzył na nas szeroko otwartymi oczami, jakby właśnie ziszczał się jego najgorszy koszmar.

– Nie musisz niczego mówić – dodała Whitestone.

Na zewnątrz rozległy się gwizdy i szydercze okrzyki. Domyśliłem się, że to Gane i Wren wracają do samochodu.

– Ale możesz zaszkodzić swojej obronie, jeżeli nie wspomnisz o czymś, na co później powołasz się w sądzie – kontynuowała Whitestone. – Wszystko, co powiesz, może zostać wykorzystane jako materiał dowodowy. Dobrze, chodźmy.

. . .

Ruszyłem pierwszy.

Gdy znalazłem się w drzwiach przyczepy, zobaczyłem Gane'a i Wren, którzy próbowali się dostać do samochodu, popychani raz po raz przez kogoś z tłumu. Potem z przyczepy wyszła Whitestone z Nawkinsem, a nad ciżbą podniósł się krzyk oburzenia. Nagle wszyscy ruszyli na nas. Widziałem, jak Wren pada na ziemię. Ktoś zamachnął się na Gane'a, a ten skrzywił się z bólu, gdy pięść napastnika trafiła go w ucho.

Ale samochód był niedaleko, a ja trzymałem w dłoni kluczyki.

Nie wiedziałem, że ktoś rzucił butelką, dopóki ta nie rozbiła się na czole Whitestone.

Brzękowi rozbijanego szkła towarzyszył widok krwi rozlewającej się po głowie komisarz. Whitestone osunęła się na ziemię, co było raczej wynikiem szoku niż bólu – ból miał się pojawić później – a Peter Nawkins wpadł w ramiona brata.

Krew obudziła w nich zwierzęcą wściekłość.

Nagle okazało się, że muszę walczyć o życie. Zrozumiałem, jak można zginąć z rąk tłumu, jak zginął policjant w Tottenham i jak umarli żołnierze w Belfaście, jak tłum może cię ściągnąć na chodnik, a potem rozerwać na kawałki.

Grad ciosów spadał na moją twarz, twarde pięści trafiały mnie w szyję, uszy i tył głowy, obijały usta, nos, brodę i oczy. Sportowe buty różnych rozmiarów i kolorów kopały mnie w golenie, uda, pośladki, niektóre próbowały dosięgnąć krocza, ale na szczęście chybiały. Twarze mężczyzn i kobiet były tak blisko, że czułem zapach papierosów i jedzenia wydobywający się z ich ust.

Whitestone zawołała mnie słabym głosem, jakby była już u kresu sił, więc zacząłem się przedzierać do niej przez tłum.

Dała radę podnieść się na kolana. Okulary zwieszały się krzywo z jej twarzy. Nasunęła je na oczy i zdołała tam utrzymać, choć tłoczące się dokoła kobiety kopały ją bez litości po całym ciele. Nie reagowała, zszokowana tym nagłym wybuchem agresji, dotykała tylko rany na środku czoła i dziwiła się, że wypływa z niej tyle krwi.

Nagle wszyscy zaczęli się cofać.

Zobaczyłem Gane'a, który trzymał się za zakrwawiony, prawdopodobnie złamany nos i chwiejnym krokiem zmierzał w naszą stronę. Wren podniosła się z ziemi i krzyczała coś do tłumu, kierując w stronę napastników jakiś żółty przedmiot. Trzymała w dłoni paralizator firmy Taser.

– Ostrzegam was! – mówiła. – Ostrzegam wszystkich!

Był to taser X2, poręczny, lekki, w kanarkowożółtym kolorze. Przez chwilę wydawało się, że to wystarczy, by odstraszyć tłum.

Potem przed szereg wyszedł brodacz. Podwójny laser X2 kładł się jaskrawą czerwienią na jego brudnej kamizelce.

– Tak, a ja ostrzegam, że żadne z was nie wyjdzie stąd żywe, ty mała dziwko!

Wren strzeliła. X2 ma podwójny celownik i strzela dwiema elektrodami naraz, co ułatwia trafienie w cel.

Wren trafiła.

Brodacz krzyknął przeraźliwie, kiedy jego mięśnie zacisnęły się w odruchowym skurczu. Nazywa się to porażeniem układu nerwowego i naprawdę cholernie boli. Facet leżał nieruchomo na ziemi, otoczony przez przyjaciół, podczas gdy ja pomogłem Whitestone wsiąść do auta.

– Nawkins? – spytała.

– Dopadniemy go – odparłem.

Nie miałem miejsca, żeby nawrócić, toteż wrzuciłem wsteczny i wcisnąłem pedał gazu. Przejechałem tyłem do wyjścia i pod bramą z rusztowań, a potem ruszyłem w stronę Londynu.

Mój telefon wibrował, nie odbierałem jednak, dopóki nie znaleźliśmy się przy Gallows Corner i dopóki nie sprawdziłem, że nie goni nas rozwścieczony tłum.

Dzwoniła Ginger Gonzalez.

– Wiem, gdzie trzymają chłopca – powiedziała.

15

– Co ci się stało? – spytała Ginger.

Moja twarz poznaczona była czerwonymi otarciami, jakie pozostają po uderzeniach ludzi, którzy tak naprawdę nie umieją bić.

W gruncie rzeczy wyszedłem z tej opresji obronną ręką, więc pojechałem prosto do Ginger, podczas gdy reszta udała się na pogotowie. Whitestone miała lekkie wstrząśnienie mózgu, Wren nadwerężone więzadło piszczelowe, a Gane złamany nos. Najbardziej jednak bolał nas fakt, że Peter Nawkins jest na wolności.

– Byłem na wycieczce w Essex – odparłem.

Spotkaliśmy się w kościele pod wezwaniem Świętego Augustyna w głębi East Endu. Uliczki na zewnątrz wyglądały tak, jakby nie zmieniły się co najmniej od sześćdziesięciu lat.

Przesunąłem się w ławce, by usiąść bliżej Ginger.

– To on? – spytała. – Ten facet, którego pokazują w wiadomościach? To on zabił tamtą rodzinę?

Skinąłem głową.

– Skąd wiecie?

– Uciekł.

– Podobno już go mieliście, ale się wam wymknął.

– Dopadniemy go znowu – odparłem. – To ona?

Przy ołtarzu modliła się dziewczyna. Szczupła, drobna postać, pochylona nisko przed wizerunkiem Matki Boskiej. Wyglądała bardzo młodo. Jej jasnobrązowe włosy ściągnięte były niedbale w kucyk.

– Tak, to ona – potwierdziła Ginger.

– Musimy działać. Już.

Ginger skinęła głową.

– Odmawia tylko modlitwę za małego chłopca.

Kiedy dziewczyna wstała, przekonałem się, że jest starsza, niż mi się wydawało. Wyglądała jak bardzo zmęczona szesnastolatka. Na mój widok zamarła w pół kroku, spojrzawszy jednak na Ginger, uspokoiła się i dołączyła do nas. Przeszła dłuższą drogą wokół ławek, by usiąść obok swojej towarzyszki, a nie obok mnie.

– To jest Paula – przedstawiła ją Ginger. Zauważyłem, że dziewczyna ma na nadgarstku wytatuowany jakiś azjatycki symbol.

– Opowiedz mi o tym dziecku, które widziałaś – poprosiłem.

– Było w domu przy Bishops Avenue – zaczęła.

Wstrzymałem na moment oddech.

Aleja Bishops Avenue znana była również jako aleja miliarderów. Trakt ten, biegnący między Highgate i Hampstead, a także wyznaczający granicę między polem golfowym Highgate i polem golfowym Hampstead, słynął z dwóch rzeczy – stojące tu domy należały do najdroższych na świecie, a jednocześnie stanowiły przykład wyjątkowo kiepskiej i pozbawionej gustu architektury, co odpowiadało wizji piękna i świetności, jakiej hołdują bogacze z Arabii Saudyjskiej.

Tak, przy Bishops Avenue ulokowano mnóstwo obcych pieniędzy. Właściwie może tylko i wyłącznie obcych.

– Adres? – spytałem.

– Nie wiem – odparła Paula.

Czułem, jak mimowolnie zaciskam usta.

– Nie obchodzi mnie, jak się nazywasz – mówiłem. – I nie obchodzi mnie to, co zrobiłaś. Nie interesuje mnie też, czy twoja wiza jest aktualna. Ale jeśli będziesz mnie okłamywać, mogę nagle zainteresować się tymi wszystkimi rzeczami. Rozumiesz?

– Nie znam adresu! Naprawdę! Wiem tylko, że to był jeden z tych dużych domów przy Bishops Avenue. I duża impreza. Zabrał mnie tam pewien mężczyzna, którego poznałam na West Endzie.

Wymieniła nazwę klubu z tańcem erotycznym.

– Co tam robiłaś?

– Pracowałam.

– Rozumiem. – Skinąłem głową na Ginger. – A jak się poznałyście?

– Paula przez krótki czas pracowała jako wolny strzelec w Sampaguicie – wyjaśniła Ginger. – Ale nic z tego nie wyszło.

– Dlaczego? – spytałem. – Bo ma tatuaż?

Ginger pokręciła głową.

– Czasami przymykam oko na takie drobiazgi jak stary tatuaż.

– Tak też myślałem. Więc dlaczego ją wyrzuciłaś?

– Za młoda.

Patrzyłem na nią przez chwilę, a potem odwróciłem się do Pauli.

– Jak się nazywa mężczyzna, który cię tam zaprowadził?

– Gruby Roy – odparła. – Czy możemy dopilnować…

– Nie pozwolę, żeby ktoś cię skrzywdził – zapewniłem ją. – Ani ten Gruby Roy, ani ktokolwiek inny. Opowiedz mi o imprezie.

– Zawiózł mnie tam z West Endu. Byli tam mężczyźni. Starsi mężczyźni. I dziewczyny, i chłopcy. Młodsi ode mnie. Dużo młodsi.

Przygryzłem wargę.

– Dzieci? – spytałem wprost.

– Tak, dzieci.

– Widziałaś tego chłopca?

– Trzymali go oddzielnie, w zamkniętym pokoju. Nazywali to pokojem VIP-ów. Słyszałam, jak płakał.

– Czy ci mężczyźni was filmowali?

– Komórkami, ale nie wiem, czy to się liczy.

– Liczy.

– Nie byłam długo. Odesłali mnie. Kilku mężczyzn powiedziało Grubemu Royowi, że mnie nie chcą. Dali mi dwieście funtów i wyrzucili. Poszłam do Ginger. Wiedziałam, że to było złe.

Mój telefon zawibrował. Wiadomość od Wren. *ZAŁATWIONE*. Wyszli ze szpitala i byli gotowi do działania.

Odwróciłem się do dziewczyny.

– Dlaczego cię wyrzucili, Paulo? – spytałem.

– Bo jestem za stara.

. . .

Posterunkowy Billy Greene przesłał mi stare zdjęcie notowanego Grubego Roya z czasów, gdy ten został aresztowany za naruszenie prawa z zamiarem popełnienia przestępstwa seksualnego.

Mężczyzna widoczny na ekranie mojego telefonu był pucołowatym dwudziestolatkiem z plerezą z lat osiemdziesiątych, ubranym w workowatą białą koszulkę z napisem: „Frankie mówi nie wojnie". Jednak Gruby Roy, który zniknął właśnie w toalecie w zatłoczonym pubie Shoreditch, był chorobliwie otyłym mężczyzną w bliżej nieokreślonym wieku. Miał gładko ogoloną głowę i złoty kolczyk w nosie.

A może wcale nie golił głowy.

Utrata włosów jest jednym ze skutków ubocznych chemicznej kastracji.

Inne skutki to rozrost tkanki tłuszczowej, zmniejszenie mineralnej gęstości kości oraz, co najdziwniejsze, odbarwienie ust. Zauważyłem, że wargi Grubego Roya mają taki kolor, jakby używał wyjątkowo jaskrawej pomadki. Nie prezentowało się to najlepiej. Chemiczna kastracja zmienia człowieka na różne sposoby.

I nie są to zmiany na lepsze.

Ale sędziowie lubią kastrację chemiczną, podobnie jak komisje orzekające o zwolnieniu warunkowym. Wszyscy wielcy i dobrzy tego świata chcą wierzyć, że taki zabieg naprawdę kładzie kres chorobie. Zmniejsza popęd seksualny, obniża poziom testosteronu i likwiduje wewnętrzny przymus krzywdzenia słabych i bardzo młodych. Jeśli notowany poddaje się dobrowolnie kastracji chemicznej, zwykle odzyskuje swoje podłe życie.

Oczywiście nie chodzi tu o prawdziwą kastrację. Delikwent dostaje po prostu określone środki. Octan medroksyprogesteronu w Stanach, cyproteron w Wielkiej Brytanii. Ma to odmienić nie tylko jego ciało, ale i charakter, pozbawić go wszelkich okrutnych marzeń.

Nie odcinają im jaj, jak podczas prawdziwej kastracji. Szkoda.

Wstałem i wszedłem za Grubym Royem do toalety.

Mył ręce.

– Jakieś imprezy dziś wieczorem, Roy?

Zerknął na mnie z ukosa, oblizał gadzim językiem fioletowe usta.

– Nie znam cię – powiedział.

– Jestem facetem, który szuka imprezy – odparłem.

Niespiesznie wycierał ręce. Był duży i z pewnością nie po raz pierwszy znalazł się w takiej sytuacji. Nadal nie patrzył na mnie wprost. Ale analizował sytuację. Zastanawiał się, czy będzie musiał mnie unieszkodliwić, zanim stąd wyjdzie.

– Szukam imprezy przy Bishops Avenue – dodałem. Zauważyłem, że wzdrygnął się mimowolnie. – Przy alei miliarderów. A ty mnie tam zabierzesz.

W końcu na mnie spojrzał. I na legitymację, którą trzymałem w lewej ręce. Prawą wolałem mieć wolną na wypadek, gdyby próbował uciec albo rzucić mi się do gardła.

– Przykro mi – odparł w końcu. – Nigdzie cię nie zabiorę. Możesz mnie zamknąć, jak chcesz. Możesz mnie pobić, kiedy będę stawiał

opór podczas aresztowania. Ale nie zabiorę cię na Bishops Avenue ani dziś, ani kiedykolwiek.

– Jest tam chłopiec? – spytałem.

Nie odpowiedział. Pochylił się ponownie nad umywalką i znów szorował dłonie, zmywając z nich coś, czego nie da się zmyć.

Widziałem, że się boi. Drżały mu ręce. Ale to nie mnie się obawiał.

Na jego ramieniu wisiała torba na komputer. Wskazałem na nią głową.

– Założę się, że gdybym przejrzał twój laptop, znalazłbym tam sporo paskudnych rzeczy – powiedziałem. – Poprosiłbym któregoś z moich bystrych techników, żeby w nim pogrzebał. Przeszedł przez wszystkie zabezpieczenia, które skrywają twoje brudne tajemnice.

Sędziowie mogą sobie wierzyć, że chemiczna kastracja odmienia serce człowieka.

Ale ja w to nie wierzę.

Ani trochę.

Gruby Roy odruchowo poprawił pasek torby. Złoty kolczyk w jego nosie błyszczał w ostrym blasku lampy. Drzwi toalety otworzyły się nagle, do środka wszedł jakiś chłoptaś z City, podśpiewując znany przebój.

– Nie teraz – rzuciłem w jego stronę. Po krótkim zastanowieniu podpity chłoptaś zawrócił i wyszedł z łazienki.

– Bardziej boisz się ich niż mnie – stwierdziłem.

Gadzi język znów oblizał nerwowo fioletowe wargi.

– Widziałeś kiedyś, co robi z ludzką twarzą nawet mała ilość kwasu siarkowego? – spytał.

Skinąłem głową.

– Raz czy dwa.

– No właśnie.

– Więc tak trzymają wszystkich w ryzach? Wypalają twarze kwasem siarkowym? Czy tylko grożą?

– Nie masz pojęcia. To nie jest jakaś banda frajerów, którzy przesyłają sobie zdjęcia w ukrytej sieci. To twardziele. Ekstremiści. Jedną ręką będą ci wypalać twarz kwasem, a drugą podawać sobie lubrykant.

– Tak czy inaczej, to jest banda frajerów. Banda dorosłych mężczyzn, którzy torturują dzieci. Najgorsze śmiecie, jakich nosi ziemia. Bradley Wood tam jest, prawda? Przetrzymują go na prywatnej imprezie przy Bishops Avenue. – Przysunąłem się bliżej, niemal dotykałem jego twarzy. – Zgadza się?

Cofnął się szybko, by zachować bezpieczną odległość.

– Nie widziałem tego chłopca – powiedział. – Nie dotykałem go.

– Ale on tam jest, prawda?

Przytaknął nieznacznie i zwiesił głowę.

Potem wyciągnął przed siebie ręce, czekając, aż go skuję. Znów oblizał nerwowo wargi.

– Ale nie mogę cię tam zabrać – powtórzył. – Ty jesteś zwykłym gliniarzem zgrywającym twardziela, a tamci to prawdziwi mordercy. Wypalają twarze. Śmiało. Możesz mnie pobić. Niby dlaczego miałbym się ciebie bać?

Niemal się uśmiechnąłem.

– Bo mam córkę – odparłem, ruszając w jego stronę.

. . .

Gruby Roy wyszedł z pubu przede mną, przyciskając do twarzy pół rolki papierowego ręcznika.

Szturchnąłem go lekko w plecy, mówiąc:

– Stare srebrne bmw X5.

Posłusznie skręcił w stronę samochodu.

Whitestone, która siedziała na fotelu pasażera obok kierowcy, odsunęła szybę.

– Gruby Roy nie zna adresu – powiedziałem. – Ale pokaże nam ten dom. Prawda, Roy?

– Tak – odparł przytłumionym głosem spod licznych warstw ręcznika, wciąż zszokowany.

– Widziałeś Bradleya Wooda? – spytała go Whitestone.

Gruby Roy pokręcił głową.

– Tylko go słyszałem. Naprawdę – mówił, nie patrząc nam w oczy.

– Co słyszałeś? – pytała dalej Whitestone.

Wziął głęboki oddech. Wciąż nie podnosił wzroku.

– Słyszałem, jak płakał.

Wren wysiadła z auta, żeby Gruby Roy mógł zająć miejsce między nią i Gane'em. Ja usiadłem za kierownicą.

– Do tego będą nam potrzebni mundurowi z pałkami – powiedział Gane do Whitestone, sięgając po telefon. – Przydadzą się też antyterroryści.

Miał na myśli brygadę antyterrorystyczną Policji Metropolitalnej.

Whitestone skinęła głową.

– Ale nie będziemy na nikogo czekać – odparła. – Pojedziemy od razu na Bishops Avenue. Edie, kiedy już tam będziemy, podasz im dokładne namiary. Jedziemy, Wolfe.

Wcisnąłem guzik na desce rozdzielczej.

Zawyła syrena, a pod osłoną chłodnicy bmw zaczęły migać dwie niebieskie lampy.

Włączając się do ruchu, wyrzuciłem coś przez okno. Mały złoty kolczyk, na którym wciąż wisiał zakrwawiony kawałek skóry. Złocisty krążek zalśnił w blasku latarni Shoreditch, a potem zniknął w rynsztoku.

Popędziliśmy w noc.

16

Bishops Avenue.

Wyłączywszy syrenę i światła, jechałem powoli wzdłuż szpaleru drzew, aleją snów bogaczy, obok wielkich rezydencji wartych bajeczne pieniądze i pozbawionych choćby odrobiny smaku.

Wielkie domy na Bishops Avenue stały z dala od drogi, za ogrodzeniami podłączonymi do prądu, wysokimi murami i bramami, których strzegły kamery monitoringu, były jednak tak potężne, że każdy mógł je sobie obejrzeć z poziomu chodnika.

Bishops Avenue w niczym nie przypominała innych miejsc Londynu. Patrząc na tutejsze zabudowania, można było odnieść wrażenie, że nigdy nie wynaleziono czegoś takiego jak pozwolenie na budowę czy plan zagospodarowania. Domy z różnego rodzaju wieżyczkami, wykuszami i iglicami wyglądały tak, jakby zaprojektował je Walt Disney odurzony kiepskim narkotykiem. Tu właśnie spływały arabskie pieniądze zarobione na ropie naftowej, gdy Saddam Husajn był jeszcze u władzy. I to rzucało się w oczy.

Po obu stronach Bishops Avenue rozciągały się rozległe pola golfowe, ocean zieleni rozdzielony wyspami luksusu w postaci nieprzyzwoicie bogatych rezydencji. Z poziomu ulicy widać było światła kryształowych żyrandoli skrzące się uroczo w oddali. Kiedy przejeżdżaliśmy obok kolejnych bram, zapalały się sterowane czujnikami ruchu światła, oślepiając nas i skrywając świat po drugiej stronie muru. Widziałem niewiarygodny przepych i bogactwo, ale nie

było w tym niczego prawdziwie ludzkiego, prawdziwie żywego – niczego, co rzeczywiście warto mieć.

– To tutaj – powiedział Gruby Roy.

Zatrzymałem samochód. Byliśmy po drugiej stronie Bishops Avenue, gdzie bogactwo ustępuje normalności, tuż przy skrzyżowaniu z główną drogą, która oddziela ten zakątek od East Finchley.

Widziałem tylko wysoką żelazną bramę osadzoną w ceglanym murze zwieńczonym starym drutem kolczastym. W oddali, na końcu długiego, półkolistego podjazdu wyłaniał się wielki dom o zaciemnionych oknach. Wyglądał tak, jakby od lat nikt w nim nie mieszkał.

– Co to za miejsce? – spytała Whitestone.

– Jedna z tutejszych ruder – odparł Gruby Roy. – Przy Bishops Avenue jest ich może ze dwadzieścia. Wszystkie są opuszczone. Większość należy do gości z Bliskiego Wschodu. Saudyjska rodzina królewska ma całą kolekcję. Pozwalają, żeby popadały w ruinę, ale ich cena i tak rośnie z roku na rok o kolejne dziesięć milionów.

Kiedy blask księżyca oświetlił opuszczoną rezydencję, przekonałem się, że to rzeczywiście ruina. W okna wstawiono metalowe kraty, ale wandale i tak zdołali wybić wszystkie szyby. Potężne ściany były popękane i obrośnięte bluszczem. W dachu widniała dziura wielkości samochodu.

– I tutaj właśnie organizują imprezy? – spytałem.

Gruby Roy skinął głową.

– Nie widzę żadnych świateł – zauważyłem.

– Są po drugiej stronie – wyjaśnił. – Z dala od ulicy. – Ostrożnie dotknął nosa. Papierowy ręcznik nasiąkł krwią, która w świetle księżyca wydawała się smoliście czarna. – Korzystają z pokoi na tyłach budynku. Tam nikt ich nie widzi. – Po krótkiej pauzie dodał: – A jest tam naprawdę sporo miejsca.

– Gdzie jest chłopak? – spytałem.

– Trzymali go w pokoju na drugim piętrze – odpowiedział, nie patrząc na mnie.

– Kiedy?

– Tydzień temu. Może trochę krócej.

– Jak można się dostać za bramę?

– Otwiera się ją kodem. Zmieniają go raz na miesiąc. Tu z boku jest klawiatura, widzisz? – Podał mi sześć cyfr. – Mogę już iść?

– Nie – odparłem. – Pójdziesz z nami.

– Zostaw go w samochodzie – poleciła Whitestone.

– W bagażniku? – spytałem.

– Jezu Chryste! – warknął Gruby Roy.

– Wystarczy tylne siedzenie. Po prostu go zamknij – poradziła komisarz.

Wysiedliśmy z auta, zostawiając Grubego Roya w środku. Gdy zamykałem drzwi, dostrzegłem w jego oczach niekłamaną odrazę. Potem opuścił wzrok i ponownie dotknął obolałego nosa. Staliśmy przed bramą, a Wren podawała naszą pozycję jednostce antyterrorystycznej.

– Jadą Holloway Road, będą tu za jakieś dziesięć minut – powiedziała po chwili.

– Czekamy na nich? – spytał Gane.

– Nie możemy czekać. – Whitestone pokręciła głową. – Nie, kiedy w środku jest chłopiec.

Na bramie wisiała tabliczka z napisem:

REZYDENCJA AMBASADORSKA
NA SPRZEDAŻ
INFORMACJE U ZARZĄDCY KOMISARYCZNEGO

Wpisałem kod i zamek w bramie otworzył się z cichym trzaskiem. Weszliśmy na teren posiadłości, w ciszy słychać było jedynie chrzęst żwiru pod naszymi butami. Przed nami wznosiła się mroczna ruina. Teraz widziałem już samochody zaparkowane na trawniku po drugiej stronie budynku, niewidoczne z ulicy. Była wśród nich duża biała furgonetka z przyciemnionymi szybami. W pokojach na tyłach budynku płonęło światło. Kiedy podeszliśmy bliżej, usłyszałem głosy i przyciszoną muzykę. Był tu też basen wypełniony teraz jedynie suchymi liśćmi.

– Droga włamywaczy? – spytała Whitestone.

Skinąłem głową i podniosłem cegłę leżącą na trawniku. Droga włamywaczy oznaczała po prostu drzwi frontowe, bo tędy właśnie wchodziła do okradanych domów większość złodziei.

Podszedłem do bogato zdobionych drzwi z rdzewiejącą kołatką w kształcie głowy lwa i z całej siły uderzyłem cegłą w klamkę. Od razu odpadła. Kopnąłem w pozbawione klamki skrzydło. Nie było zamknięte na zasuwę, odskoczyło do tyłu, otwierając nam drogę. Weszliśmy do środka i przez chwilę staliśmy w bezruchu, próbując zrozumieć to, co ukazało się naszym oczom.

Był to pałac pozostawiony na pastwę losu.

Po obu stronach drzwi wznosiły się półkoliste schody, które sięgały na wysokość drugiego piętra, nie łączyły się jednak z podestem. Na ich szczycie ziała czarna dziura.

Na zniszczonych stopniach walały się popękane płytki, kawałki tynku i grube połamane konary, co kazało nam się domyślać, że górna część schodów została zniszczona, gdy na dach spadł pień potężnego drzewa. Z dziury pod uszkodzonym dachem wyleciało czarne stworzenie, które szybko oddaliło się w głąb domu.

– Nienawidzę nietoperzy – mruknęła Wren.

Na każdym kroku widać było, jak przyroda powoli przejmuje władzę nad niszczejącym budynkiem. W aksamitnych zasłonach uwiły sobie gniazdo ptaki. Wszędzie rosły chwasty, paprocie i mech, podłogę zaścielały suche liście. Dywan, niegdyś biały i puszysty, pokryty był teraz brązowymi plamami oraz odchodami ptaków, szczurów i lisów.

Nie pozostawiono tu żadnych mebli, jeśli nie liczyć starego, poplamionego materaca w rogu pomieszczenia, aksamitnego krzesła obrośniętego pleśnią i fortepianu, który przyciągnięto tu z innej części domu, a potem rozbito na kawałki.

Po ścianach, z wysokości drugiego piętra, ściekała woda, wilgoć gromadziła się na obrazach, z których płatami odchodziła farba, upodabniając postacie ze starych portretów do ofiar trądu. Pod sufitem wisiał kryształowy żyrandol i choć połowa żarówek była spalona, reszta wciąż działała, wypełniając zniszczone wnętrze przytłumionym blaskiem.

Nagle poczułem na twarzy chłodną wilgoć. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że przez dziurę w dachu wpada do wnętrza śnieg. Pojedynczy płatek przylgnął do mojej dłoni i natychmiast się roztopił.

Głosy dochodzące z tyłu budynku były teraz znacznie bliżej.

– Na górę – poleciła Whitestone. – Znajdźcie chłopca.

Ale tamci już nas usłyszeli.

Najpierw zobaczyliśmy dziewczynkę.

Miała może dwanaście lat, była przeraźliwie chuda i blada, na jej wątłe ramiona opadały proste ciemne włosy. Ktoś ubrał ją w krótką, za małą spódnicę i za duże buty na wysokim obcasie.

Trzymała w dłoni papierowy kubek i patrzyła na nas w zdumieniu.

– Mówisz po angielsku? – spytałem, ale w tym samym momencie pojawił się pierwszy mężczyzna, który odepchnął dziewczynkę na bok

i ruszył prosto na nas. Wyglądał jak przeciętny otyły facet w średnim wieku. Jego twarz pokryta była warstwą tłustego brudu.

Wren wysunęła się o krok do przodu.

– Jesteś aresztowany – oznajmiła, a on uderzył ją z całej siły w twarz. Osunęła się bezwładnie na ziemię, tracąc przytomność.

Czułem, jak narasta we mnie głucha wściekłość. Nie mogłem uwierzyć, że ktokolwiek śmiał ją tknąć.

Mężczyzna przeszedł nad nieruchomym ciałem Wren, zaciskając dłonie w pięści, pokazując zęby i wyrzucając z siebie jakieś plugawe obelgi.

Ruszył na mnie i nadział się na potężny prawy sierpowy, w który włożyłem całą gotującą się we mnie złość. Emocje pozbawiły cios celności, lecz choć nie trafiłem w podbródek, moja pięść dosięgła jego nosa, który z trzaskiem przesunął się na bok, a tylko bardzo nieliczni ludzie są w stanie znieść spokojnie taki ból.

Ten gnojek do nich nie należał.

Gane kopnął go od tyłu pod kolana i obalił na ziemię, a Whitestone skuła go kajdankami, podczas gdy ja pochylałem się nad Wren i wołałem ją po imieniu – „Edie, Edie, Edie” – przerażony, kiedy nie reagowała na dotyk dłoni, które przykładałem do jej bladych policzków.

Wtedy poczułem na sobie czyjś wzrok i spojrzałem na dziewczynkę w minispódniczce. Chciałem jej powiedzieć, że teraz jest już bezpieczna, ale nie miałem na to czasu, bo w naszą stronę zmierzali kolejni mężczyźni.

Niektórzy z nich byli uzbrojeni w młotki. Widziałem, jak Gane podnosi rękę i blokuje nią uderzenie, a potem wypycha stopę w bocznym kopnięciu, odruchu pozostałym po treningach sztuk walki. Trafił napastnika w czułe miejsce, gdzie górna część goleni łączy się z kolanem.

Mężczyzna wypuścił z dłoni młotek, a Gane zaszedł go od tyłu i zacisnął ramię na jego szyi. Facet próbował dosięgnąć twarzy i oczu Gane'a, obrzucał go obelgami. Dysząc ciężko, zmagali się ze sobą w bladym świetle żyrandola.

Potem zauważyłem, że jeden z mężczyzn trzyma w dłoni mały żółty przedmiot i celuje nim w twarz Whitestone, która podniosła się właśnie na nogi i przytrzymywała stopą głowę mężczyzny leżącego na podłodze. Krzyknąłem do niej i rzuciłem się na napastnika, gdy ten strzyknął w nią strumieniem kwasu.

Przez moment jej ubranie paliło się z sykiem, paliła się jej skóra i ciało, nylonowa kurtka i sztuczne futro, wszystko rozpuszczało się w strumieniu żrącej substancji.

Whitestone krzyknęła i złapała się za szyję, spod jej dłoni unosił się odrażający odór spalonego ciała. Mężczyzna, który ją zaatakował, leżał pode mną. Czułem, jak jego przednie zęby wgryzają się w kostki mojej dłoni, wbiłem mu je więc do gęby.

Podniosłem wzrok.

Zobaczyłem chude nogi dziewczynek w za dużych butach. I chłopców – byli mniejsi, wszyscy stali z papierowymi kubkami w dłoniach i patrzyli na nas w zdumieniu.

– Woda! – krzyknąłem do Whitestone, która wyła z bólu, wciąż trzymając się za poparzoną szyję. – Polej to wodą! Szybko!

Mężczyźni uciekali.

Gane wciąż mocował się z jednym z nich, w końcu jednak facet zdołał się wyrwać i pobiegł do pomieszczenia na tyłach budynku, z którego przed chwilą przyszli. Słyszałem warkot uruchamianych silników, głosy pełne złości i strachu, pisk opon na mokrej trawie.

Chcieli stąd zwiać.

Whitestone poszła szukać wody. Wren wciąż była nieprzytomna.

Zobaczyłem, jak w gęstniejącym śniegu Gane wspina się powoli na schody.

Chciał dostać się do chłopca, którego trzymali na górze. Ciągnął za sobą jedną nogę, jakby coś stało mu się w kolano. Nie miałem pojęcia, jak w takim stanie przejdzie z uszkodzonych schodów na piętro.

A potem zobaczyłem mężczyznę, który poszedł za nim.

Gruby Roy ociekał krwią. Wciąż płynęła z rozkwaszonego nosa, pokrywała też dłonie, którymi wybił szybę w bmw X5.

Na rękawach kurtki Grubego Roya lśniły maleńkie drobiny szkła; odbijało się w nich światło żyrandola, blade i nikłe, niczym ostatnie promienie dogasającego słońca.

Wiedziałem, że Curtis go nie widzi.

Wstałem i ruszyłem za nim.

Gane zatrzymał się na szczycie schodów, przed czarną dziurą oddzielającą je od podłogi drugiego piętra.

– Curtis!

Odwrócili się obaj. Gane na ostatnich stopniach i Gruby Roy, który był już tylko o krok lub dwa za nim. Dopiero wtedy zobaczyłem nóż w ręce Roya.

Czarny rozkładany nóż z włókna węglowego.

Z aluminiową rękojeścią.

Z ostrzem długości ośmiu do dziesięciu centymetrów.

Podniosłem na niego wzrok, gdy pchnął mnie w brzuch.

Pchnięcie jak uderzenie pięścią. Dobry, precyzyjny cios. Ręka błyskawicznie uderza w cel i równie błyskawicznie się cofa.

Bo wtedy jesteś gotów do zadania następnego ciosu.

Osunąłem się na kolana zszokowany, choć nie czułem jeszcze bólu. Dotknąłem odruchowo brzucha, a Gruby Roy zbliżył się do mnie o krok, by powiedzieć mi to, co chciał powiedzieć od początku.

– Ty głupi gnoju – rzekł cicho, bo były to jedynie nasze porachunki. – Jak myślisz, kurwa, co z nimi robimy, kiedy już się do niczego nie nadają? Wysyłamy je z powrotem do mamusi i tatusia?

Odwrócił się.

Klęczałem. Nie upadłem i nie wstałem. Oszołomiony patrzyłem ze zdumieniem na swoją dłoń.

Tylko świeża czerwona krew.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem, jak Gane cofa się przed nożem w ręce Grubego Roya. Widziałem, jak robi o jeden krok za dużo i wpada w ciemność.

Potem stałem już na nogach i wchodziłem na kilka ostatnich stopni, w stronę Grubego Roya, który patrzył w dół, w przepaść za krańcem schodów, trzymając w dłoni nóż wciąż pokryty moją krwią.

– Hej – powiedziałem, a Roy odwrócił się do mnie.

Staliśmy naprzeciwko siebie. Ja kilka stopni niżej. Moja pięść znalazła się dokładnie na wysokości jego serca.

To był jeden prosty cios. Zadany z pełną siłą. W samo serce.

Gruby Roy poleciał do tyłu i otworzył szeroko oczy, gdy jego stopy trafiły w próżnię.

Krzycząc przeraźliwie, runął w dół.

Trzymając się za brzuch, wciąż nieświadom bólu, patrzyłem na dwa ciała leżące w mroku dwa piętra niżej.

Nie ruszali się. Gane otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, a spomiędzy jego rozchylonych warg wypłynęła czarna krew. Dopiero wtedy przesunąłem się do przodu, pochwyciłem się pękniętej barierki, przeskoczyłem nad przepaścią i znalazłem się na drugim piętrze.

Potem biegłem pustym korytarzem. Tutaj dom nie wydawał się już tak zniszczony. Co prawda tu i ówdzie ze spękanych ścian odchodziła tapeta, a na dywanie widać było kępki mchu, ale nie padał tutaj

deszcz ani nie było odchodów zwierząt. Lewą rękę wciąż trzymałem na ranie. Czułem, jak wypływa z niej pulsująca czerwona krew.

I zawołałem go.

Ciągle wykrzykiwałem jego imię.

– Bradley! Bradley! Bradley!

Otwierałem kolejne drzwi.

Puste pokoje.

Wszystkie takie same. Upięte aksamitne zasłony, zwiotczałe ze starości, gdzieniegdzie puste, brudne materace. Wszędzie pełno gruzu. Kawałki tynku, rozbite płytki i cegły, jakby przez tę luksusową ruinę przetoczyła się wojna.

– Bradley! Bradley! Bradley!

Trafiłem do pokoju z ciałami.

Leżały splecione ze sobą, pogrążone w półśnie, półnagie, na zsuniętych razem materacach, czekając na jakieś straszliwe wezwanie. Gdy stanąłem w drzwiach, zaczęły się poruszać, a dźwięk ocierających się o siebie ciał przyprawił mnie o zimny dreszcz.

Przypominało to raczej gniazdo wystraszonych węży niż pokój pełen dzieci, które zostały wybudzone z płytkiego snu.

– Policja! – zawołałem. – Wrócę tu! Jesteście już bezpieczni!

Chłopiec był w pokoju na końcu korytarza.

W ostatnim pomieszczeniu.

Zamkniętym na klucz.

Kopnąłem w zamek. To właśnie trzeba zrobić. Musisz z całej siły uderzyć piętą mocniejszej nogi dokładnie w punkt, w którym drzwi są zablokowane.

Wtedy się otworzą.

Chłopiec leżał na brzuchu, na łóżku przykrytym białym prześcieradłem.

Był ubrany w koszulkę i dżinsy, w górnej części uda widniała strużka zakrzepłej krwi.

Wiedziałem, że chłopiec nie żyje, nim jeszcze sięgnąłem do jego nadgarstka, nim zbadałem tętno na jego szyi.

Wiedziałem, że nie żyje, nim spojrzałem w jego otwarte oczy.

Osunąłem się na podłogę przy łóżku, nagle zbyt wyczerpany, by utrzymać się na nogach. Zwiesiłem głowę, czułem, jak napływają mi do oczu łzy, wszystkie te bezużyteczne łzy wściekłości i smutku, które niczego nie zmieniają.

– Proszę, Boże. Proszę, Boże. Proszę, Boże.

Może to powiedziałem, a może tylko pomyślałem. Nie wiem. Zastanawiałem się, o co właściwie proszę Boga, ponieważ było już za późno, by mi pomógł.

I dziecku.

Zachłysnąłem się na myśl o matce czekającej na syna w bloku zwanym Barierą, tuż za rogiem Electric Avenue, gdy jedną ręką próbowałem powstrzymać krew wypływającą z mojego brzucha, a drugą trzymałem martwą dłoń czteroletniego Michaela McCarthy’ego z Brixton.

LUTY

Notowani

17

– Jest tutaj pańska rodzina – powiedziała pielęgniarka.

Wpatrywałem się w otwarte drzwi, w których pojawiła się Scout. Przystanęła tam na chwilę, niepewna. Była ubrana w szkolny mundurek, ale na nogach miała ulubione buty sportowe ze świecącymi podeszwami, które jarzyły się przy każdym ruchu. W szpitalnym półmroku skrzyły się zielenią i błękitem. Podeszła do łóżka, na którym siedziałem, a za nią do sali weszli cicho członkowie rodziny Murphych.

Byli tam wszyscy. Pani Murphy i Duży Mikey. Mały Mikey w roboczym ubraniu, prowadzący za ręce Shavon i Damona. Siobhan trzymająca na rękach najmniejszego Mikeya.

Do oczu napłynęły mi łzy ulgi i wdzięczności.

Co ja bym bez nich zrobił?

Scout stała u mojego boku, nie dotykała mnie, lecz pochylała się ku mnie, pięcioletnia dziewczynka, która miała mi coś ważnego do powiedzenia.

Ja też pochyliłem się ku niej.

– Nie chcę, żeby znów ci się coś stało, dobrze? – wyszeptała. – Umowa stoi?

Moje serce wypełniło się poczuciem winy, wstydu i straszliwej bezradności. Przede wszystkim jednak był to chyba wstyd, który ścisnął mnie żelazną obręczą za gardło i na nowo napełnił oczy łzami. Przytuliłem ją mocniej do siebie, by nie widziała mojej twarzy. Zasługiwała na lepszego ojca.

– Umowa stoi, Scout – zdołałem wykrztusić. Ogarnęło mnie nagle przerażenie właściwe samotnym rodzicom, ta straszliwa świadomość, że jesteś ostatnią linią obrony między swoim dzieckiem a całym zepsuciem tego świata.

Pocałowałem ją w czubek głowy. Pachniała szamponem, cukrem i flamastrami, wyczuwałem także tę charakterystyczną woń świeżego ciasta, jaką roztaczają wokół siebie młode psy. W odpowiedzi położyła swoje małe dłonie na mojej twarzy i wpatrywała się we mnie z powagą. Opuściłem głowę, zmagając się z uczuciami, które mogły mnie całkiem przytłoczyć.

Żyj, przykazałem sobie w myślach. Po prostu żyj. Musisz żyć wystarczająco długo, żeby wychować to piękne dziecko. Nie rozumiesz tego, głupcze? Nikt inny tego nie zrobi.

Uznałem, że dość już szeptów. Raz jeszcze uścisnąłem mocno Scout i odsunęliśmy się od siebie. Murphy'owie mieli prezenty – owoce, czekoladę i mały bukiet – a kiedy im dziękowałem, patrzyli na mnie ze szczerą troską.

– Przepraszam za to wszystko – powiedziałem do pani Murphy, uznawszy, że winien jej jestem wyjaśnienie. – Tak już bywa w tej pracy.

– Rozumiem, kochany – odparła, ale odniosłem wrażenie, że coraz trudniej jej zrozumieć moją pracę.

Bo ona też kochała Scout.

Wykrzywiłem usta w grymasie, który miał udawać krzepiący uśmiech.

– Powinniście zobaczyć tego, który mi to zrobił – powiedziałem, na co Mały i Duży Mikey zareagowali nerwowym śmiechem. Pani Murphy i Siobhan nawet się nie uśmiechnęły.

Wszyscy umilkli i spojrzeli na mnie z przestrachem, gdy nagle jęknąłem z bólu. Pani Murphy położyła dłoń na ramieniu mojej córki,

a ta podniosła na nią wzrok.

Zraniony brzuch bolał mnie tak, jak zawsze boli ciało przebite kawałkiem naostrzonej stali. Był to intensywny, pulsujący ból, który rozchodził się z małej rany na cały tułów, sprawiał, że ciało wydawało się okropnie sztywne i ciężkie, niezdolne do szybkich skoordynowanych ruchów.

Wiedziałem jednak, że i tak miałem sporo szczęścia.

Jeśli już ktoś ma cię pchnąć nożem, to dobrze, by trafił właśnie w brzuch.

Przede wszystkim dlatego, że ofiarę pchnięcia zabija utrata krwi i niewydolność organów wewnętrznych. Jeśli napastnik nie przetnie tętnicy i jeśli nie dojdzie do krwawienia wewnętrznego – i jeśli szok nie przyprawi cię o atak serca lub udar – wystarczy, że posiedzisz spokojnie przez dzień lub dwa, podjadając winogrona, podczas gdy lekarze sprawdzają ci ciśnienie krwi i wewnętrzną temperaturę ciała. Gliniarza może spotkać wiele gorszych rzeczy niż pchnięcie nożem w brzuch. Miałem szczęście, że Gruby Roy o tym nie wiedział i nie wbił go w moje serce albo szyję czy też płuca lub oko – bo wtedy prawdopodobnie zabiłby mnie albo krwotok, albo szok.

– Jak tam Stan? – spytałem, uświadamiając sobie, że wiele z naszych rozmów dotyczy tego małego rudego psa.

– Jest w mojej furgonetce – powiedział Duży Mikey, zaskoczony tą nagłą zmianą tematu.

– Uwielbiam Stana – oznajmił Mały Mikey.

– To dobry piesek – dodała pani Murphy.

– Ale zaczął zaczepiać wszystkie psy. – Scout roześmiała się, marszcząc jednocześnie brwi w grymasie zatroskania. – „Jestem Stan! A ty kim jesteś? Jestem Stan! A ty kim jesteś?”.

Wszyscy parsknęliśmy śmiechem. Rzeczywiście, właśnie taki był Stan.

– Chyba osiąga dojrzałość płciową – stwierdziła nieoczekiwanie Scout. Murphy natychmiast umilkli i pochylili głowy, jakby nie wiedzieli, gdzie podziać oczy. Scout ponownie pochyliła się do mnie.

– Posłuchaj – wyszeptała.

– Słucham – odparłem, również szeptem.

– Chcę pomóc ci w pracy.

– Pomagasz mi, Scout. Bardzo pomagasz mi tym, że słuchasz pani Murphy, że opiekujesz się Stanem i naszym mieszkaniem, że uczysz się pilnie w szkole. A ja wyjdę stąd jutro.

Potrząsnęła mną z całą mocą pięciolatki, która chce być dobrze zrozumiana.

– Chcę zawsze być z tobą – powiedziała Scout.

– I zawsze jesteś – odparłem, stukając palcem w serce. – Tutaj.

Wykonała ten sam gest, stukając w tarczę na szkolnym mundurku.

– Nie zapominaj o naszej umowie, dobrze, tato? – poprosiła.

– Chodź tutaj.

Podeszła do mnie, a ja uściskałem ją czule.

Moja piękna, bystra, stanowcza pięciolatka.

Maleńka dziewczynka, która była moim całym światem.

. . .

Prawdziwy ból przyszedł nocą. Miał taką samą postać jak rzecz, która go wywołała. Był niczym dziesięć centymetrów stali przecinającej delikatne ludzkie ciało. Prawdziwy ból był ostrzem, które uszkodziło tkankę, żyły i mięśnie, a potem rozprzestrzeniło się na całe ciało, sięgnęło mojej głowy i snów.

Tabletki nasenne, którymi mnie nafaszerowali, nie były dość silne, bym nie wybudził się gwałtownie w środku nocy. Na jedynym krześle w sali siedziała Edie Wren.

– Straszna klapa – powiedziała. – Totalny chaos.

Nie wiedziałem, czy mówiła do mnie, czy też do siebie. Tabletki nasenne okryły mój umysł gęstą mgłą.

Pamiętałem jednak naszą wizytę w Oak Hill Farm. Pamiętałem zdjęcia Mary Wood, pięknej i młodej, przyklejone do sufitu w przyczepie kempingowej. Pamiętałem pięści, buty i wściekłość tłumu. Pamiętałem aresztowanie i ucieczkę Petera Nawkinsa.

– Dopadliśmy go już?

Pokręciła głową.

– Jeszcze nie. Ale szukają go wszyscy gliniarze w kraju. Nie może uciekać bez końca.

Gdy ogarnęła mnie fala mdłości, a mgła okrywająca mózg zaczęła się rozwiewać, przypomniałem sobie dom przy Bishops Avenue, Wren znokautowaną jednym ciosem, syk palonego kwasem ciała Whitestone i Gane'a leżącego na podłodze po upadku z dwóch pięter.

Przypomniałem sobie, jak trzymałem za rękę martwe dziecko.

Przełknąłem ciężko ślinę, powstrzymując wymioty, a potem zamrugałem gwałtownie, próbując zrozumieć, co dzieje się z Wren, która jakby w odruchu solidarności pochyliła się nad koszem na śmieci, wstrząsana torsjami. Z jej ust nic nie wypłynęło.

– Przepraszam – powiedziała, ocierając wargi wierzchem dłoni. – Nie wiem, co się ze mną dzieje. A właściwie wiem tylko tyle, że jeśli dostaniesz wystarczająco mocno w głowę, czujesz się tak, jakby ktoś wcisnął ci w świadomości pauzę.

– Ciągle masz mdłości?

– Nie uważasz, że to dosyć głupie pytanie?

– Widzisz małe czarne plamki?

Skinęła głową.

– Nie powinnaś wracać do domu sama – powiedziałem. – To wstrząśnienie mózgu, Edie.

Zaklęła cicho. Zauważyłem, że jej oczy są pełne łez.

– Nie powinnaś wracać do domu sama – powtórzyłem. – Załatwię ci transport.

– Mam transport – odparła. Dopiero wtedy zobaczyłem mężczyznę, który stał w drzwiach i czekał na nią.

Był przystojnym facetem w garniturze i krawacie, wyglądał jak polityk podczas kampanii wyborczej, ale wydawał mi się znacznie starszy, niż przypuszczałem, prawdopodobnie miał już pod pięćdziesiątkę. Czarna gęsta czupryna i sylwetka atlety, który od dwudziestu lat nie traci formy, bez wątpienia czyniły z niego atrakcyjnego mężczyznę, a on dobrze o tym wiedział. Pomyślałem, że na pewno zużywa ogromne ilości emulsji nawilżającej dla mężczyzn. Kiedy spojrzał na zegarek, dostrzegłem błysk obrączki na jego dłoni. Zastanawiałem się, jakimi kłamstwami wytłumaczył żonie tę nocną nieobecność.

Żonaty facet Edie Wren.

Patrzyła na mnie wyzywająco.

– Jak się czuje szefowa? – spytałem.

– Miała szczęście. Jeśli można tak nazwać poparzenia kwasem akumulatorowym. Komisarz Whitestone jest twarda. Oczywiście będzie miała bliznę do końca życia. Jednak większość kwasu trafiła w kołnierz. Potrzebuje nowej kurtki.

Z trudem przełknąłem ślinę.

– A Gane… nie żyje, prawda?

– Nie. Gruby Roy zmarł w drodze do szpitala, Curtis nie.

– Ale… widziałem, jak spadł.

– Żyje.

Milczeliśmy w ciemności. W szpitalu było cicho, lecz z zewnątrz dobiegały odgłosy ruchu ulicznego.

– Gane ma złamany kręgosłup – przemówiła w końcu Wren. – Ale nie umarł.

Słyszałem, jak próbuje opanować oddech.

– Spotkało go coś gorszego – dodała.

. . .

Dzień.

Przy moim łóżku stała najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widziałem. Nie dziewczyna – kobieta. Ale kobieta, która miała przed sobą całe życie. Blondynka w czerwonym płaszczu. Wiedziałem, że już zawsze będę się uważniej przyglądał wszystkim blondynkom w czerwonych płaszczach.

– Kim on był? – spytała Charlotte Gatling, nerwowo przesuwając dłonią wokół nadgarstka drugiej ręki. Przypomniałem sobie, że widziałem już u niej ten charakterystyczny gest, jakby sama podawała sobie rękę.

Wciąż byłem nieco otumaniony, rozumiałem jednak, o kogo pyta. Zamknąłem oczy i zobaczyłem go. Wiedziałem, że teraz już zawsze będę go widział.

– Nazywał się Michael McCarthy – mówiłem. – Miał cztery lata. Mieszkał z matką w południowym Londynie, w Brixton. – Otworzyłem oczy i spojrzałem na nią. – Był małym chłopcem, który nie miał żadnych szans.

Przysiadła na łóżku.

– Myśleliście, że mają mojego siostrzeńca – powiedziała. – Szukaliście Bradleya.

Skinąłem głową. Czułem się tak, jakbym zawiódł wszystkich. A szczególnie Michaela McCarthy’ego i Bradleya Wooda.

– Ten człowiek, którego pokazują w wiadomościach. Którego szukacie. Peter Nawkins. To on zabił moją siostrę?

– Znaleźliśmy dowody, które go z nią wiązały.

– Jakie dowody?

– Nie chciałaby pani wiedzieć.

Błysk zniecierpliwienia w niebieskich oczach.

– Proszę mi wierzyć, detektywie Wolfe, chcę wiedzieć.

– Peter Nawkins miał obsesję na punkcie pani siostry. Znaleźliśmy nad jego łóżkiem jej zdjęcia, setki zdjęć, może tysiące. A potem uciekł. I nadal ucieka. Niewinni nie uciekają.

– Złapiecie go?

– To pewne.

– A mój siostrzeniec… jakieś tropy… cokolwiek…

Patrzyła na mnie błagalnie. Wiedziałem, że chce, bym powiedział jej coś krzepiącego.

– Będziemy szukać Bradleya – odparłem. – I nie przestaniemy, dopóki to się nie skończy.

Skinęła głową usatysfakcjonowana. Potem nagle jakby coś w niej pękło, zakryła twarz dłońmi. Patrzyłem, jak płacze bezgłośnie.

– To biedne dziecko… – wykrztusiła. – Biedny mały Michael. Co on musiał wycierpieć…

Nie opłakiwała siostrzeńca. Opłakiwała nieznane sobie dziecko. Ten widok obudził we mnie uczucie, które – jak mi się wydawało – dawno już obumarło.

Delikatnie dotknąłem jej ręki.

Uspokoiła się.

– Pielęgniarka powiedziała, że został pan pchnięty nożem – odezwała się. – Boli?

– Jest coraz lepiej – odparłem dyplomatycznie.

– Odniósł pan już kiedyś podobne obrażenia?

– Nie. To był pierwszy raz. I ostatni, mam nadzieję.

– Ci ludzie, których znaleźliście… którzy to panu zrobili… nie mają nic wspólnego z tym, co stało się z moją siostrą i jej rodziną?

Pokręciłem głową.

– Dziękuję – powiedziała cicho. – Szukał pan Bradleya. Ryzykował pan życie, żeby go znaleźć. Nadstawiał pan karku, choć ma pan swoją rodzinę. Jedno mogę panu powiedzieć: on żyje. Bradley żyje. Wierzy mi pan?

– Jasne.

Uścisnęła moją dłoń.

W tej idealnej twarzy Grace Kelly dojrzałem ducha jej siostry i zrozumiałem, jak Peter Nawkins, który widział Mary tylko przez mgnienie oka, mógł się w niej zakochać.

Wystarczyło jedno spojrzenie. Czasami nie trzeba nic więcej.

Bez trudu mogłem sobie wyobrazić, jak Nawkins podnosi na nią wzrok i zastyga w bezruchu, ogłuszony tym perfekcyjnym niebieskookim pięknem. Doskonale rozumiałem, jak ujrzawszy twarz Mary Wood w blasku zachodzącego słońca, ten samotny, prosty mężczyzna mógł uwierzyć, że to najpiękniejsza rzecz, jaką widział w życiu. Nie mogłem tylko zrozumieć, dlaczego zapragnął zniszczyć coś, co tak bardzo kochał.

Położyłem wolną dłoń na dłoni Charlotte.

Nagle uświadomiłem sobie, że wstrzymuję oddech.

– Proszę pozwolić, że pana uścisnę – rzekła i popatrzyła na mnie, oczekując odpowiedzi, ale ja nie byłem w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Miałem kompletną pustkę w głowie.

Objęła mnie więc i trzymała przez chwilę w niezdarnym uścisku. Czułem jej perfumy i cudowny fakt jej istnienia. Jej głowa była tuż przy mojej, a gdy się odwróciłem, by na nią spojrzeć, odsunęła się.

Patrzyłem w milczeniu, jak wygładza czerwony płaszcz i dopina guzik, który nie wiadomo kiedy się rozpiął.

– Brat na mnie czeka – powiedziała.

18

Zobaczyłem ją znowu, gdy wróciłem do pracy. Podniosłem wzrok znad swojego stanowiska w pokoju operacyjnym numer jeden, kiedy Charlotte pokazywano właśnie w telewizji. Wydawała się blada i przybita, lecz jak tylko podniosła głowę, natychmiast zamigotały flesze setki aparatów fotograficznych.

Było późne popołudnie, a na drugim piętrze komisariatu głównego na West Endzie odbywała się właśnie konferencja prasowa. Charlotte Gatling siedziała przy długim stole obok swojego brata Nilsa, któremu towarzyszyła komendant Swire. Szefowa zakrywała dłonią mikrofon, czekając, aż rzeczniczka prasowa skończy przedmowę.

– Dziękuję wszystkim za przybycie – mówiła rzeczniczka. – Komendant Swire wygłosi oświadczenie dotyczące ostatnich wydarzeń. Nie będziemy odpowiadać na żadne pytania. Dziękuję.

Charlotte odwróciła głowę, by spojrzeć na rzeczniczkę prasową, gdy ta odsunęła się do tyłu. Natychmiast poszły w ruch wszystkie kamery i aparaty, które próbowały uchwycić ten moment.

– Smutek i piękno – mruknęła do siebie Wren. – Uwielbiają to, prawda?

Do pokoju operacyjnego numer jeden wszedł doktor Joe Stephen. Kiedy zobaczyłem, jak na nas patrzy – z niedowierzaniem i współczuciem jednocześnie – zrozumiałem, że nasz zespół śledczy zebrał naprawdę porządne cięgi.

Wren wciąż mruczała coś do siebie, co było kolejnym klasycznym objawem wstrząśnienia mózgu i bezpowrotnej utraty milionów

komórek nerwowych. Ja wyglądałem na całkiem zdrowego, ale bandaże okrywające mój brzuch były wilgotne od sączącej się powoli świeżej krwi, która po chwili splamiła czerwienią także koszulę. Whitestone miała na szyi świeżą, różową ranę po oparzeniu kwasem.

Zastanawiałem się przez moment, czy odbyła z synem rozmowę podobną do tej, jaka przebiegła między mną i Scout. Czy ten chłopiec również pragnął chronić matkę? Czy chciał, by odeszła z tej pracy? Czy bał się myśli o tym, co z nim będzie, jeśli zostanie sam? Czy i ona się tego bała? Chciałem pogadać z Whitestone o tym wszystkim, ale nie wiedziałem, od czego zacząć.

Doktor Joe dotknął pustego krzesła przy stanowisku Gane'a.

– Złapaliśmy Nawkinsa? – spytał.

– Jeszcze nie – odparłem. – Dokąd on ucieknie, doktorze?

Zamyślił się na chwilę.

– A gdzie go kochają?

Wren roześmiała się gorzko.

– Nigdzie – odpowiedziałem.

– Więc będzie po prostu cały czas uciekał – wyjaśnił.

– Przede wszystkim chcielibyśmy złożyć kondolencje rodzinie Michaela McCarthy'ego – zaczęła komendant Swire. – Mogę potwierdzić, że niedawna operacja przy Bishops Avenue nie była, jak początkowo sądziliśmy, powiązana ze śledztwem w sprawie zabójstwa rodziny Woodów i porwania Bradleya Wooda. – Zrobiła krótką pauzę, by nawiązać kontakt wzrokowy z dziennikarzami zebranymi na sali. Była dobrym mówcą, przemawiała we własnym tempie i nie dawała się prowokować. – Dokonaliśmy aresztowań. Wkrótce poznamy konkretne zarzuty. – Zajrzała do notatek. – Uwolniono piętnaścioro dzieci w wieku od dziewięciu do piętnastu lat, obecnie zajmuje się nimi opieka społeczna. – Kolejna pauza. – Nadal będziemy intensywnie poszukiwać ludzi odpowiedzialnych za

zabójstwo Brada Wooda, Mary Wood, Marlona Wooda i Piper Wood. – Zacisnęła mocniej usta. – Jesteśmy pewni, że Peter Nawkins może nam pomóc w tych poszukiwaniach. Prosimy wszystkich, którzy mają informacje o miejscu jego pobytu, o kontakt telefoniczny z numerem widocznym za mną. Proszę się nie zbliżać do tego człowieka. Jest recydywistą skazanym za morderstwo i z pewnością może zabić ponownie. Dziękuję.

Wszyscy podnieśli się z miejsc, gotowi do wyjścia.

– Charlotte! Charlotte! – zawołała nagle Scarlet Bush, szefowa działu kryminalnego „Daily Post".

Siostra Mary Wood odwróciła się odruchowo. Aparaty znów błysnęły fleszami.

Rzeczniczka prasowa podniosła ręce.

– Nie odpowiadamy na pytania!

Scarlet Bush ją zignorowała.

– Charlotte, co powiedziałabyś ludziom, którzy porwali Bradleya?

W sali zapadła cisza. Znieruchomiały nawet aparaty i kamery, gdy Charlotte spojrzała na dziennikarkę, a potem zapatrzyła się w dal, w coś, co widziała tylko ona.

– Proszę – przemówiła w końcu. – Powiedziałabym: „proszę".

Brat trzymał ją za rękę. Wydawało się, że chce ją ściągnąć ze sceny. Charlotte nie ruszała się jednak. Po raz pierwszy mogłem zobaczyć siłę jej charakteru.

– Powiedziałabym: „Proszę, nie róbcie mu krzywdy" – mówiła dalej. – Powiedziałabym: „Kimkolwiek jesteście, cokolwiek zrobiliście, proszę, zrozumcie, że Bradley jest małym chłopcem, który nigdy nikogo nie skrzywdził i nie zasługuje na to, by go krzywdzić…".

Opuściła głowę. Twarz Nilsa Gatlinga była nieruchoma jak maska. Nie próbował już ciągnąć siostry za sobą.

– Powiedziałaby: „Proszę, pozwólcie Bradleyowi wrócić do domu".

Potem konferencja prasowa dobiegła końca, a komendant Swire ruszyła do pokoju operacyjnego numer jeden, by wyjaśnić nam, dlaczego Bradley nigdy nie wróci do domu.

. . .

– Byliście na wojnie – powiedziała komendant Swire, wchodząc do pokoju. – Pozwól, że ci się przyjrzę, Pat.

Obejrzała oparzenie na szyi komisarz. Kwas wypalił za jej lewym uchem płat skóry wielkości spodka. Teraz widniała tam świeża, różowa rana, która miała zamienić się w rozległą bliznę i towarzyszyć Whitestone do końca życia. Swire uściskała naszą szefową, a ta skrzywiła się lekko, obolała i zakłopotana jednocześnie.

Wren i ja spojrzeliśmy po sobie. Nigdy dotąd nie widzieliśmy, by Swire kogokolwiek obejmowała. Wren uśmiechnęła się nerwowo, jakby w obawie, że może być następna.

Whitestone trzymała opuszczone bezwładnie ręce, po chwili jednak łagodnie poklepała komendant po plecach, jakby chciała jej podziękować i dać do zrozumienia, że wystarczy już tych czułości.

Swire odsunęła się o krok.

– Jak się miewa podkomisarz Gane? – spytała.

– Nieszczególnie – odparła Whitestone.

Swire skinęła posępnie głową. Była chłodną, opanowaną kobietą, która nie budziła sympatii wśród podwładnych. Ale teraz po raz pierwszy zobaczyłem, jak bardzo zależy jej na każdym z nas.

– A ty, jak sobie radzisz, Pat? – spytała.

Widziałem, jak Whitestone przygryza wargę, zmagając się z emocjami. Nie powiedziała, że powinna była poczekać – na wsparcie, na mundurowych, na antyterrorystów. Swire wiedziała jednak, że komisarz właśnie o tym myśli.

– Podjęłaś właściwą decyzję, Pat – rzekła cicho.

Whitestone z trudem przełknęła ślinę i bezskutecznie próbowała się uśmiechnąć.

– Naprawdę? – Westchnęła, zdjęła ze złością okulary i otarła wierzchem dłoni załzawione oczy. Przez tę krótką chwilę wydawała się wyjątkowo bezbronna i krucha. Pociągnęła nosem i z powrotem założyła okulary, wracając do swej zwykłej postaci. Potem z kamiennym wyrazem twarzy spojrzała na komendant, jakby czekała na ciąg dalszy.

– Gdybyś zwlekała z decyzją, straty mogłyby być większe – przemówiła ponownie Swire. – Mogłoby zginąć więcej dzieci. Zrobiłaś to, co należało. Chociaż gdybyś poczekała, może by was tak nie sponiewierali.

– Sponiewierali – powtórzyła Whitestone beznamiętnym tonem.

Wszyscy byliśmy mistrzami niedomówień. Jednak ze względu na Gane'a określenie „sponiewierani" wydawało się tym razem wyjątkowo nieadekwatne.

Komendant skinęła głową. Nie zamierzała dłużej pocieszać Whitestone. Powiedziała już, co uważała za stosowne. Komisarz podjęła właściwą decyzję, a my wykonaliśmy swoje zadanie. Tak właśnie uważała.

– Dobrze się zaopiekujemy podkomisarzem Gane'em – powiedziała Swire. – Zawsze to robimy. Troszczymy się o swoich. Wiesz o tym, prawda?

– Tak jest.

Komendant odwróciła się do mnie i Wren.

– Rozbiliście jeden z największych gangów pedofilskich w północnej Europie. Wielu złych ludzi trafi do więzienia na bardzo długi czas. Uratowaliście też wiele dzieci.

Pomyślałem o Michaelu McCarthym. Wiedziałem, że zawsze będę już myślał o Michaelu McCarthym.

– Wiecie wszyscy, co jest teraz waszym priorytetem? – upewniła się Swire.

– Znaleźć chłopca – odparła Whitestone. – Znaleźć Bradleya Wooda.

Komendant pokręciła głową.

– Chłopiec nie żyje – powiedziała cicho.

Nie wierzyliśmy własnym uszom.

– Co? – spytała Whitestone.

– Bradley Wood na pewno nie żyje – wyjaśniła Swire. – Przepadł i nigdy już nie wróci. Może jest w promieniu kilometra od swojego domu w Highgate. Może jest w rzece, może w kontenerze na gruz, a może w kanale ściekowym w Essex. Ale jakim cudem mógłby wciąż żyć? Czy przychodzi wam do głowy jakiś scenariusz, który pozwoliłby nam wierzyć, że dzieciak jeszcze nie zginął?

Milczeliśmy.

Bo Swire miała rację.

Trudno było przypuszczać, że Bradley Wood nie rozstał się z życiem.

Charlotte i jej brat chcieli wierzyć, że ich siostrzeńcem opiekuje się jakiś normalny, dobry człowiek. Być może musieli w to wierzyć, żeby zostać przy zdrowych zmysłach. Być może tylko dzięki tej wierze udawało im się co noc zasnąć na kilka godzin.

Ale w realnym świecie takie rzeczy się nie zdarzały.

W realnym świecie źli ludzie porywali dzieci, by je wykorzystać seksualnie, a potem się ich pozbyć.

Albo by na zawsze je uciszyć, a potem się ich pozbyć.

Nigdy nie porywano ich po to, aby dać im szczęśliwy, pełen miłości dom. Ludzie, którzy pragną kochać dziecko, nie zabierają go innym –

choć takiej właśnie nadziei trzymają się zrozpaczone rodziny. Doskonale to rozumiałem.

Sam trzymałbym się takiej nadziei.

– Bradley nigdy nie wróci do domu – kontynuowała komendant. – Już po nim. Jeśli miał szczęście, odbyło się to w miarę szybko. A jeśli my będziemy mieli szczęście, znajdziemy ciało, które oddamy rodzinie. Ale nie oszukujmy się. Historie dzieci, które zaginęły na tak długi czas, nigdy nie kończą się szczęśliwie. Więc dopadnijcie chociaż sprawcę. Złapcie Petera Nawkinsa. Żywego albo martwego, to nie ma dla mnie znaczenia. Dorwijcie go, żebyśmy mogli w końcu zamknąć ten cyrk.

Więc pojechaliśmy do Oak Hill Farm.

I przewróciliśmy to miejsce do góry nogami.

19

Tysiąc twarzy Mary Wood uśmiechało się z góry do łóżka Petera Nawkinsa.

Jeden z techników kryminalistycznych stał na drabinie i fotografował ten mały ołtarzyk, a inny technik w tym samym czasie go filmował. Kiedy już skończyli, zajęli się ściąganiem zdjęć z sufitu. Układali je starannie w foliowych torebkach na dowody, opatrując każdą numerem.

Sean Nawkins przyglądał się temu z grymasem odrazy.

– Po prostu nie mogę w to uwierzyć – mruknął do siebie tonem człowieka, który jednak właśnie uwierzył w niewygodną prawdę.

– Chcesz powiedzieć, że nic o tym nie wiedziałeś? – spytałem.

Wciąż spoglądał na zdjęcia Mary.

– Skąd miałem wiedzieć?

– Nigdy nie wchodziłeś do tego pokoju?

– Był moim bratem, a nie żoną.

– Ale we wszystkich innych kwestiach kłamałeś – zauważyłem. – Nie powiedziałeś nam, że pracowałeś dla Woodów. Nie mówiłeś, że twój brat był w Ogrodzie. Nie wspomniałeś, że poznał Mary Wood. Spójrz na mnie.

Sean Nawkins oderwał w końcu wzrok od sufitu. Po raz pierwszy dojrzałem w jego oczach wyraz rezygnacji.

Członkowie specjalistycznej jednostki poszukiwawczej usuwali panele ze ścian, odrywali deski z podłogi, odkręcali stałe elementy wyposażenia. Whitestone i Wren przycupnęły w rogu zatłoczonej przyczepy i obserwowały, jak jeden z funkcjonariuszy odkręca gniazdko elektryczne.

– Próbowałem go chronić, to wszystko – powiedział cicho Sean Nawkins.

– Próbowałeś udaremnić działania wymiaru sprawiedliwości – odparłem.

Parsknął lekceważąco, przybierając na chwilę dawną wyzywającą pozę.

– W najgorszym wypadku możecie mi zarzucić odmowę składania zeznań.

– Odmowę składania zeznań? A co to, bawisz się teraz w prawnika? Przecież twoja firma pracowała dla tej rodziny!

– Kilka miesięcy temu! Pół roku przed tym… jak to się stało.

Zbliżyłem się do niego o krok. Mała sypialnia Petera Nawkinsa, w której tłoczyli się technicy kryminalistyczni, jednostka poszukiwawcza i reszta naszego zespołu śledczego, coraz bardziej przypominała puszkę sardynek.

– Ty i twój brat poznaliście rodzinę Woodów i zatailiście przed nami ten fakt – wycedziłem.

– Spotkaliśmy ich tylko raz! – zaprotestował. – A właściwie tylko ją. Nie widzieliśmy ojca ani dzieci. Tylko matkę. Panią Wood. Mary. Pewnego bardzo upalnego dnia w sierpniu. Przyniosła nam lemoniadę. A większość tych bogatych londyńskich typków nie robi takich rzeczy. – Jego oczy zasnuła mgła wrogości i starych uraz. – Prędzej podadzą wodę psu niż ludziom.

Oczami wyobraźni widziałem ich na podjeździe, grupę półnagich, spoconych mężczyzn pochylonych nad gorącym asfaltem. I Mary

Wood wychodzącą do nich z lemoniadą na tacy. I Petera Nawkinsa, który podnosi wzrok i gapi się na nią, jakby była najpiękniejszą kobietą, jaką widział w życiu.

– Czy twój brat rozmawiał z panią Wood?

– Nie. – Pokręcił jednoznacznie głową, jakby w końcu postanowił mówić prawdę. – Trzymała tacę, a Peter wziął szklankę i napił się lemoniady domowej roboty. Podziękował jej. Ona uśmiechnęła się do niego.

Czekałem.

– To wszystko?

– Tak.

– Czy twój brat kiedykolwiek o niej wspominał?

– Nie widzieliśmy jej już więcej. I nigdy o niej nie mówił. Szklanki zebrała później inna kobieta, gosposia.

– Jak wam zapłacono?

– Gotówką. Była w kopercie, którą zostawił dla nas Wood. Same pięćdziesiątki. Gosposia dała mi ją ostatniego dnia.

– Widzieliście dziecko? Bradleya Wooda? – Wyjąłem z portfela zdjęcie i pokazałem mu. Paszportowa fotografia uśmiechniętego chłopca. Sean Nawkins nie spojrzał na nią. Patrzył gdzieś za mnie.

– Już to widziałem – burknął.

– Więc popatrz jeszcze raz – powiedziałem. – Grzecznie proszę.

Spojrzał na zdjęcie i wykrzywił usta.

– Chłopczyk był z nią – przyznał. – Co jeszcze mogę ci powiedzieć? To wszystko. Mały chłopiec ze swoją matką, która przyniosła picie kilku facetom.

Opuścił głowę.

– Spójrz na to, Max – odezwała się Whitestone.

Wszystkie gniazdka zostały już wyjęte ze ściany i leżały rozrzucone na podłodze. Funkcjonariusze jednostki poszukiwawczej znaleźli coś

za jednym z nich. Na okrytej rękawiczką dłoni Wren leżało pudełko zapałek i zestaw kluczy. Podniosłem pudełko i obróciłem je w dłoni, na którą również nałożyłem wcześniej lateksową rękawiczkę. Czerwone słowa na białym tle.

Full English
Holloway Road, Holloway, N7
„Dobre" jedzenie. I „zdrowe".

– Chodź tutaj – przywołałem Seana Nawkinsa. Gdy stanął przy mnie, pokazałem mu pudełko.

– Znasz ten lokal? – spytałem. – Full English przy Holloway Road? Gdzie to jest? Niedaleko Highbury Corner?

Nawkins wyglądał tak, jakby miał zwymiotować.

– Full English jest po drugiej stronie Holloway Road – powiedział.

– W okolicy Archway?

– Tak.

– Można tam też dojść z Ogrodu, prawda?

Skinął głową.

– I robiliście to. – Nie było to pytanie.

– Wpadaliśmy tam po drodze do pracy – wyjaśnił Nawkins.

Otworzyłem pudełko. W środku widniały cztery cyfry zapisane długopisem. Pokazałem je Whitestone i Wren.

1010

– Tysiąc dziesięć? – spytała Wren.

– Dziesięć dziesięć – odparłem.

– Kiedy urodziła się Mary Wood? – spytała Whitestone.

Wren sięgnęła po telefon. Wcisnęła kilka klawiszy i odczekała parę sekund.

– Dziesiątego października – oznajmiła. – Więc to data urodzin.

– Nie tylko. – Pokręciłem głową. – Jaką liczbę wybiera większość ludzi, kiedy ustala tajny kod? Swoje urodziny. Niech wsparcie taktyczne sprawdzi alarm antywłamaniowy w Ogrodzie. Założę się, że ten kod ciągle działa.

– Więc tak udało mu się wejść. – Whitestone pokiwała głową. – Znał kod. Domyślił się albo ktoś mu powiedział, albo po prostu widział, jak ktoś go wpisuje. No i ukradł zestaw kluczy.

Wyciągnąłem rękę, a Wren podała mi klucze. Prawie nie czułem ich ciężaru. Jeden do zwykłego zamka, drugi do zamka z zasuwą. Przyjrzałem im się uważniej. Były nowe i lśniące, pozbawione choćby najmniejszej rysy.

– Pewnie pożyczył je na kilka godzin i dorobił – powiedziałem. – Te nie wyglądają na skradzione. To nowiutkie kopie.

– Czy ludzie z tej firmy korzystali z toalety w domu? – zastanawiała się głośno Whitestone. – Często właściciele takich dużych domów wynajmują dla robotników przenośną ubikację, ale jeśli tutaj tego nie zrobili…

Podniosłem wzrok na Seana Nawkinsa, który wymykał się cicho z przyczepy. Poszedłem za nim. Całą osadę Oak Hill Farm otaczał kordon funkcjonariuszy w mundurach, którzy powstrzymywali tłum okolicznych mieszkańców.

Przez środek osady przemaszerowała Echo Nawkins otoczona stadem wściekle ujadających psów. Po drodze przerzucała się obelgami z ludźmi stojącymi za ogrodzeniem.

– Już to kiedyś widziałem – powiedział Nawkins bardziej do siebie niż do mnie. – Wiem, co stanie się potem. Zawsze nas nienawidzą.

A później coś się dzieje. Wystarczy mała iskra, która podpali to wszystko. I nagle zaczynają umierać ludzie.

Wiedziałem, że myśli o zmarłej żonie, spalonej żywcem w przyczepie po drugiej stronie miasta.

– Musicie szybko złapać mojego brata – rzekł. – Jeśli tego nie zrobicie, ludzie puszczą nas z dymem.

– Więc trzymaj za nas kciuki – poradziłem.

Ktoś z tłumu stojącego za ogrodzeniem rzucił cegłą. Rozbiła się pośród psów Echo, które zaczęły ujadać jak oszalałe. Echo pokazała gapiom środkowy palec i obrzuciła ich stekiem wyzwisk. Potem podniosła resztki cegły i odrzuciła je. Odpowiedział jej grad butelek.

Widziałem, jak drobiny rozbitego szkła spadają na buty młodych policjantów w mundurach, którzy stali tam, gdzie zawsze stoją.

Pośrodku całego zamieszania.

. . .

Po drodze do domu wstąpiłem do szpitala.

Choć dochodziła już północ, matka Gane'a wciąż tam była.

– Pani Gane? Jestem detektyw Wolfe. Pracowałem z pani synem.

Starsza pani, pochodząca z Karaibów, poprawiła kapelusz i ostrożnie podniosła się z krzesła. Potem uścisnęła moją dłoń i uśmiechnęła się. Włożyła najlepsze ubrania, by czuwać u boku syna w Homerton. Jego łóżko otoczone było parawanami. Wydawało mi się, że słyszę zza nich jego oddech.

– Przyjaciel – powiedziała z akcentem wciąż bliższym angielszczyźnie z Trynidadu niż z Londynu, choć spędziła w Anglii niemal całe życie. – Był pan jego przyjacielem z pracy. Dobrym przyjacielem.

Uśmiechnąłem się i skinąłem w milczeniu głową.

W rzeczywistości podkomisarz Gane nigdy nie był moim przyjacielem.

Kiedy zaczynałem pracę w wydziale zabójstw, Curtis Gane traktował mnie jak kompletnego żółtodzioba. I miał rację. Gane widział już rzeczy, których ja miałem dopiero doświadczyć. Myślę, że mimo to wcześniej czy później rzeczywiście byśmy się zaprzyjaźnili. Temu nie mogłem zaprzeczyć. Ale teraz wszystko się skończyło. Teraz nie mieliśmy już czasu.

– Chciałbyś go zobaczyć, kochanie? – spytała pani Gane, a ja kiwnąłem głową.

Wsunęliśmy się za plastikowe parawany. Na widok Curtisa wstrzymałem mimowolnie oddech. Jego szyję otaczał sztywny kołnierz, z ust wystawała rurka. Nie wyglądał jak człowiek, którego próbują utrzymać przy życiu. Wyglądał jak trup.

– Złamał pierwszy i drugi krąg szyjny – powiedziała cicho pani Gane.

Zachłysnąłem się z szoku i przerażenia.

– Nie wiem, co to oznacza – wyszeptałem.

– To oznacza, że jego kręgosłup i głowa nie są już ze sobą połączone. – Delikatnie dotknęła czoła syna. – Ale to wciąż on, prawda? To wciąż mój Curtis. Ustabilizują go, a potem sprawdzą, czy da się z tym coś zrobić.

Nie mogłem znaleźć właściwych słów. Nie było takich słów. Nagle uświadomiłem sobie, że pani Gane jest wyczerpana.

– Jeśli chce pani pójść do domu, ja zostanę tu do rana – zaproponowałem.

Spojrzała na mnie z powątpiewaniem.

– Wolałabym go nie zostawiać, ale Molly jest sama – powiedziała. – Powinnam do niej zajrzeć.

Skinąłem głową. Nie miałem pojęcia, kim jest Molly.

– To kotka – wyjaśniła, po czym roześmiała się cicho. – Wiem, że to absurdalne. Mojego syna spotkało coś takiego, a ja martwię się o kota.

– To wcale nie jest absurdalne – zaprotestowałem.

– Poza tym tu nie ma się jak umyć.

– Proszę iść, pani Gane. – Uśmiechnąłem się do niej. – Śmiało. Nie odejdę stąd, dopóki pani nie wróci. Będę tu przez cały czas. Obiecuję.

Wyszła. Usiadłem na plastikowym krześle. Miałem ochotę się pomodlić. Miałem ochotę się rozpłakać. Zrozumiałem jednak, że nie stać mnie ani na jedno, ani na drugie.

Patrzyłem więc przez chwilę na jego twarz, a potem zamknąłem oczy. Szpitalne odgłosy przenikały do umysłu, łącząc płytki sen z jawą.

Odezwał się nad ranem, gdy w szpitalu zrobiło się całkiem cicho, a nad dachami East Endu pojawiły się pierwsze promienie wschodzącego słońca.

Powiedział tylko cztery słowa. Nie wiedziałem, czy kierował je do mnie, czy do siebie, czy może też do życia, które za sobą zostawił. Jednak te cztery słowa ścisnęły mnie mocno za serce i sprawiły, że z przerażeniem myślałem o tym, jak będzie wyglądała reszta jego życia.

Bo mówił, że jego matka bardzo się myliła.

– To nie jestem ja – powiedział podkomisarz Curtis Gane.

20

Nazajutrz wyszedłem z pracy wcześniej, żeby wstąpić do Czarnego Muzeum i obejrzeć raz jeszcze nieświęte relikwie Rzeźnika. Jednak zardzewiały pistolet do uboju bydła i pożółkłe wycinki z gazet nie przynosiły inspiracji. Mimowolnie zacząłem oglądać zdjęcia policjantów, którzy zginęli na służbie.

NASI ZAMORDOWANI KOLEDZY – głosił napis nad zdjęciami.

W gablocie wisiały fotografie zgromadzone na przestrzeni ponad stu lat, same portrety. Niektóre twarze wydawały się całkiem pozbawione wyrazu, inne lekko uśmiechnięte.

Były tam portrety z początku dwudziestego wieku, czarno-białe i nieco wyblakłe ze starości, były też młodsze, na których widniały niemodne już fryzury i brody, ale wciąż lśniące świeżością barw.

Znałem część z wypisanych tu nazwisk, bo okoliczności śmierci niektórych policjantów były tak szokujące, że pisano o nich na pierwszych stronach gazet.

Posterunkowa Yvonne Joyce Fletcher. 17 kwietnia 1984. 25 lat. Zastrzelona.

Zabrakło wzmianki o tchórzliwym gnojku, który strzelił do niej z ambasady libijskiej.

Posterunkowy Keith Henry Blakelock. 6 października 1985. 40 lat. Pchnięty nożem.

Ani słowa o tchórzliwym tłumie, który próbował uciąć mu głowę.

Ale nie było też takiej potrzeby. Wśród wymienionych w muzeum ofiar był także człowiek, którego znałem i kochałem. *Komisarz Victor*

Mallory. Widziałem go w piwnicy pośród płomieni, obok krzyczącej kobiety, z nożem wbitym w szyję tuż nad kevlarową kamizelką.

50 lat. Pchnięty nożem.

Jednak większość nazwisk nic nie mówiła zwykłym ludziom. Może kiedyś przez dzień lub dwa pisały o nich gazety, a może nie. Umierali na różne sposoby, lecz wśród przyczyn śmierci wciąż pojawiały się te same frazy.

Zastrzelony. Pchnięty nożem. Zastrzelony. Pchnięty nożem. Potrącony. Potrącony. Zatłuczony na śmierć podczas próby aresztowania. Pchnięty nożem. Zatłuczony na śmierć.

– Skończyłeś? – spytał sierżant John Caine.

Zamykał już Czarne Muzeum. Nikły blask zimowego słońca odbijał się w nożach, mieczach i broni palnej zgromadzonych w pokoju 101 Nowego Scotland Yardu i ułożonych niczym towary na jakiejś piekielnej wyprzedaży.

Wróciłem do eksponatów Rzeźnika. Porysowany i zardzewiały pistolet do uboju bydła. Pożółkły artykuł z gazety.

UBÓJ RYTUALNY NA FARMIE W ESSEX
Rzeźnik w morderczym szale zabija ojca i trzech synów

Wczoraj skazano na dożywocie mężczyznę, który pistoletem do uboju bydła zabił ojca i jego trzech dorosłych synów.

Siedemnastoletni Peter Nawkins był zaręczony z jedyną córką Iana Burnsa z Hawksmoor Farm w hrabstwie Essex. Kiedy dziewczyna zerwała zaręczyny, Nawkins wdarł się do gospodarstwa Burnsów i zabił ojca rodziny oraz jego trzech synów, dwudziestotrzyletniego Iana juniora, dwudziestoletniego Martina oraz siedemnastoletniego Donalda, po czym podpalił dom. Czterdziestoośmioletnia Doris Burns oraz jej szesnastoletnia córka Carolyn również przebywały wtedy na farmie, zdołały jednak uciec przed zabójcą, którego prasa nazwała Rzeźnikiem.

I dwa zdjęcia.

Roześmiana rodzina pod choinką. Krzepki ojciec i jego drobna żona. Trzej synowie wychowani na tej samej farmie.

I Peter Nawkins uznany za winnego zabójstwa ojca i trzech synów, poczwórny morderca o urodzie gwiazdora filmowego i chwytliwym przezwisku. Patrzyłem na to wszystko przez długi czas, ale wciąż nic nie przychodziło mi do głowy.

Mimowolnie wróciłem myślami do Curtisa Gane'a leżącego w szpitalu Homerton, a moje spojrzenie znów powędrowało ku szklanej gablocie ze zdjęciami naszych kolegów poległych na wojnie, którą prowadzimy codziennie, wojnie bez końca, wojnie, której nie można wygrać ani przegrać.

– Nie ma słowa o tych, którzy nie umarli – powiedziałem. – Którzy wszystko stracili, ale muszą żyć dalej.

– Rzeczywiście, tu nic o nich nie ma – odparł sierżant Caine z nutą irytacji w głosie. – Czy to oznacza twoim zdaniem, że o nich zapomniano?

Pokręciłem głową zawstydzony.

– Nie.

Wyłączał światła.

– Jeszcze go nie dopadliście – powiedział. I nie było to pytanie.

– Dokąd ucieknie, John? Doktor Joe, nasz psycholog sądowy, powiedział, że ucieknie tam, gdzie go kochają.

Sierżant Caine parsknął.

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Po chwili zastanowienia dodał jednak: – Ale prawdą jest, że zwykle przestępcy uciekają do kobiety. Do kobiety, którą oni kochają. A to, co one o nich myślą, raczej nie ma znaczenia.

Pomyślałem o Mary Wood uśmiechającej się nad łóżkiem Petera Nawkinsa i o jej martwym ciele ułożonym na stole ze stali nierdzewnej w prosektorium.

– W tym przypadku to niemożliwe.

– Dlaczego?

– Bo kobieta, którą kochał Peter Nawkins, nie żyje.

John Caine znów parsknął lekceważąco.

– Nie mówię o Mary Wood. On jej nie kochał. Miał może obsesję na punkcie Mary, ale nawet jej nie znał. Mówię o córce farmera.

– O córce farmera?

– O tej, z którą chciał się ożenić, dopóki jej bracia i ojciec nie doszli do wniosku, że wolą mu raczej obciąć jaja. Od tego się zaczęła cała ta paskudna historia, prawda? Chłopak poznaje dziewczynę. Potem ojciec i bracia dziewczyny dochodzą do wniosku, że kastracja będzie miłym prezentem zaręczynowym.

– John, to było dawno temu. Nawkinsa zamknęli w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku.

– No i co z tego? Jak ci się wydaje, o czym myślał przez te dwadzieścia lat? O kobiecie, dla której to zrobił.

Uśmiechnąłem się do niego.

– Prawdziwy romantyk z ciebie, John. Naprawdę myślisz, że mężczyzna może kochać kobietę tak długo?

Wydawał się urażony.

– Myślę, że jeśli nie potrafi jej kochać tak długo, to nie jest to miłość.

Spojrzeliśmy na stary artykuł z gazety i na roześmianą dziewczynę w towarzystwie rodziny.

Dziewczynę, którą kochał Peter Nawkins.

– Carolyn Burns, szesnaście lat – przeczytał John Caine. – Ciekawe, co się z nią stało?

. . .

Po drodze do domu zatrzymałem się w klubie bokserskim Freda. Wiedziałem, że muszę się porządnie zmęczyć, żeby potem zasnąć. Włożyłem więc czternastouncjowe rękawice, by obijać ciężki worek, dopóki nie będę już w stanie dłużej ruszać rękami.

Wyprowadzałem ciosy z bioder, trzymałem się swojego rytmu, który nie miał nic wspólnego z muzyką płynącą z głośników. Nie docierały do mnie inne odgłosy z sali, słyszałem jedynie rytmiczne uderzenia skóry o skórę, aż Fred rzucił krótko:

– Dość.

Klub powoli się wypełniał. Tłum mężczyzn, którzy nie mieli wcale zamiaru ćwiczyć, zajmował miejsca wokół pustego ringu. Zawsze tak to wyglądało, gdy zbliżał się poważniejszy sparing. Faceci ściągali tu z ulicy niczym stado ptaków zwabionych sygnałem słyszalnym tylko dla nich.

– Rozciągnij się – polecił Fred. – Nie zapominaj o odwodzicielach.

Do ringu podszedł Rocky.

Natarł twarz wazeliną, włożył do ust ochraniacz i wspiął się na ring. Nie zakładał kasku. Jego przeciwnikiem był znacznie większy czarny chłopak. Rozległ się gong, zawodnicy zaczęli tańczyć wokół siebie. Zrozumiałem teraz, że to szybkość czyni z Rocky'ego tak wyjątkowego zawodnika. I wyczucie chwili. Szybkość jest ważniejsza od siły. Ale wyczucie chwili jest ważniejsze od szybkości. Przeciwnik Rocky'ego był silnym i szybkim zawodowcem, który nie poniósł jeszcze żadnej porażki. Brakowało mu jednak fantastycznego wyczucia czasu, a takim właśnie wyczuciem dysponował Rocky. Ten chłopak potrafił zamarkować uderzenie, sprowokować kontrę, a potem błyskawicznie skrócić dystans, uderzyć kombinacją trzech, czterech, a nawet pięciu ciosów, po czym zrobić skuteczny unik i wymknąć się przeciwnikowi. Zadać cios i samemu pozostać

nietkniętym. Było to niemożliwe. Graniczyło z cudem. A jednak on to robił.

Nagle u mojego boku pojawiła się Echo Nawkins.

– Jest świetny, prawda? – powiedziała. – Rocky.

– Co ty tutaj robisz, Echo?

Potem zobaczyłem, jak patrzy na Rocky'ego, i natychmiast zrozumiałem. Była w nim zakochana do szaleństwa.

– On tego nie zrobił – powiedziała, nie odwracając się do mnie. – Mój wujek Peter. Wszyscy gliniarze w kraju go szukają. Ale on nie zabił tych ludzi.

Wciąż na mnie nie patrzyła.

– Skąd ta pewność? – spytałem. – Widziałaś sufit w jego przyczepie, prawda? Nie możesz mu bezgranicznie ufać tylko dlatego, że jest twoim wujem. Nie bądź naiwna.

– Po prostu to wiem. I już. Dlaczego myślicie, że on to zrobił? Bo znaleźliście parę zdjęć?

– Trochę więcej niż parę! I wszyscy w Oak Hill Farm od samego początku mnie okłamywali. Twój ojciec. Twój wuj. Twój chłopak, który bije się teraz na ringu. Wszyscy starali się mnie przekonać, że nie mieli nic wspólnego z Ogrodem. A było inaczej, prawda?

– Rocky nie jest moim chłopakiem – odrzekła, czerwieniąc się gwałtownie. Położyła ręce na ringu i oparła o nie głowę, starając się ukryć zakłopotanie. – I nikt pana nie okłamał. Po prostu nie mówili całej prawdy. Dlaczego mieliby to robić? Jest pan policjantem, a policja nas nienawidzi.

– To nieprawda, Echo. A twój wuj jest mordercą, udowodniono mu zabójstwo czterech osób. Miał nad łóżkiem setki zdjęć Mary Wood. Ktoś zabił Mary Wood i jej rodzinę taką samą bronią, jaką kiedyś zabił twój wuj. To nie wygląda najlepiej, prawda?

– Założę się, że wielu facetów miało jej zdjęcia. Na pewno podobała się wielu facetom, którzy w ogóle jej nie znali.

– Nie chodzi tylko o zdjęcia. – Pokręciłem głową. – Ani o to, że znał kod do alarmu i miał klucze do domu Woodów.

– Więc o co?

– Uciekł – wyjaśniłem. – Niewinni ludzie nie uciekają, Echo.

Pokręciła głową i roześmiała się gorzko.

– I kto tutaj jest naiwny? – spytała. – Uciekają, jeśli wystarczająco się boją. – Zmierzyła mnie zimnym spojrzeniem. – Jeśli myślą, że chce się ich wrobić w coś, czego nie zrobili.

Na ringu przeciwnik Rocky'ego opierał się o liny. Zakrywał żebra, podczas gdy Rocky zasypywał go gradem ciosów w tułów. Potem młody Cygan uderzył sierpowym prosto w szczękę. Głowa czarnego chłopaka odskoczyła do tyłu tak szybko, że publiczność skrzywiła się odruchowo.

Nogi znokautowanego boksera ugięły się pod nim w ten przerażający sposób, w jaki uginają się w momencie, gdy mózg nagle przestaje panować nad ciałem. Ułożone pod dziwnym kątem, nie są w stanie utrzymać człowieka, którego pozbawiono przytomności.

Nim jeszcze czarny zawodnik osunął się na ziemię, Fred już wchodził na ring i pokazywał, że walka dobiegła końca.

Rocky patrzył na nieprzytomnego przeciwnika z obojętnością człowieka, który urodził się po to, by zmuszać innych do uległości.

Pomyślałem, że w klubie bokserskim można się nauczyć wielu rzeczy – ale nie można wyrobić w sobie instynktu zabójcy. Z tym trzeba się urodzić.

Rocky uśmiechnął się do mnie szeroko, odsłaniając niebieski ochraniacz na zęby. W tym samym momencie zawibrował mój telefon.

Dzwoniła Wren.

– Widzieliśmy Nawkinsa – powiedziała.

21

Niebieskie światła radiowozów można było dostrzec z odległości kilometra.

Kręciły się i migotały na stacji paliw przy autostradzie M11, na długim prostym odcinku między Londynem i Cambridge. Zapadał już zmierzch, a błękitny blask kogutów oświetlał zaśnieżone pola.

Na stacji parkowało około dwudziestu radiowozów, zarówno policji Essex, jak i Metropolitalnej. Pokazałem legitymację, podpisałem listę i przeszedłem pod taśmą. Whitestone i Wren były już na miejscu, rozmawiały z trzema mężczyznami, którzy zostali niedawno pobici. Wyglądali na braci – wszyscy trzej mieli azjatyckie rysy i około dwudziestu lat, byli też potężnie zbudowani, jakby większość wolnego czasu spędzali w siłowni. Jeden z nich miał złamaną rękę. Drugi przyciskał kawałek papierowego ręcznika do zmiażdżonego nosa. Ich twarze były posiniaczone i podrapane.

– Powiedzcie mojemu koledze to samo, co mówiliście mnie – poprosiła Whitestone.

Mężczyzna ze złamaną ręką westchnął ciężko. Świadkowie myślą, że wystarczy, jeśli tylko raz opowiedzą swoją historię. Ale my chcemy, by powtarzali ją wielokrotnie. Na wypadek, gdyby coś się w niej zmieniło.

– Dziś rano facet próbował uciec bez płacenia – mówił mężczyzna, lekko sepleniąc, jakby pozbył się niedawno większości zębów. –

Próbowaliśmy go zatrzymać.

– Mamy nagranie z monitoringu – dodała Wren.

Na czarno-białym obrazie zobaczyłem Petera Nawkinsa, który stoi nieruchomo przy samochodzie i czeka, aż bak wypełni się benzyną.

– Widać rejestrację – zauważyłem.

– Tak, sprawdziliśmy numery – potwierdziła Wren. – Tego nissana micrę skradziono dziś z parkingu pod supermarketem w Brentwood. Właścicielka wrzuciła do bagażnika zakupy na cały tydzień. Nawkins miał więc samochód i tyle chipsów, ile tylko zechciał, ale nie miał pieniędzy na paliwo.

Tymczasem na ekranie Peter Nawkins skończył tankować i próbował usiąść szybko na fotelu pasażera nissana. W tym momencie pojawił się obok niego mężczyzna, z którym właśnie rozmawialiśmy. Trzymał w ręce młotek. Spojrzałem na niego znacząco.

– Widzę, że ostro pogrywacie – powiedziałem.

– Przyjeżdżają tu młodzi ścigacze z Essex swoimi escortami i capri – odparł. – Przyjeżdżają kowboje z Camden Town, którzy sprzedają trawę studentom z Cambridge. Niech was nie zwiedzie widok tych kilku krów przy drodze. Nie odwiedzają nas tutaj poczciwi chłopi na traktorach. Musimy grać ostro.

Na nagraniu z monitoringu mężczyzna zamierzył się młotkiem na Petera Nawkinsa, celując w głowę. Ten złapał go za nadgarstek, obrócił w miejscu i wykręcił rękę do tyłu tak mocno, że złamał mu kość. Twarz ochroniarza wykrzywił grymas straszliwego bólu. Wtedy na Nawkinsa rzucili się dwaj pozostali mężczyźni, wymachując przy tym młotkami. Nawkins powalił jednego ciosem w twarz, miażdżąc mu nos. Potem złapał drugiego za kołnierz i uderzał nim o samochód tak długo, aż ciało ochroniarza osunęło się bezwładnie na ziemię, obok lusterka bocznego samochodu oderwanego podczas

szamotaniny. Nawkins wsiadł do auta i natychmiast odjechał, pozostawiając trzech nieruszających się mężczyzn na podjeździe.

Wren zatrzymała nagranie.

– Czego to ludzie nie zrobią, żeby za darmo zatankować – mruknęła. Potem wskazała na pobitych pracowników stacji. – Ci panowie nie zajrzeli do wnętrza samochodu.

Spojrzałem na nich ze zdumieniem.

– Jak mogliście nie zajrzeć do samochodu?

Wydawali się zawstydzeni.

– Byli zbyt zajęci wymachiwaniem młotkami. – Wren westchnęła. – Choć niewiele im z tego przyszło.

Ponownie spojrzeliśmy na ekran.

– Wsiadł po stronie pasażera – zauważyłem. – Ktoś go wiózł.

Wren skinęła głową.

– Więc nie jest sam. Dokąd może jechać?

Odwróciłem się w stronę autostrady M11. W miarę przyzwoity samochód pozwala przemieszczać się po niej bardzo szybko, ale kierując się na południe, można tędy dojechać tylko do jednego miejsca.

– Do Londynu – powiedziałem.

. . .

Obok stacji rósł niewielki zagajnik. Kępa małych drzew na pustkowiu. Przeszedłem tam po twardej, zmarzniętej na kamień ziemi i przeciskałem się między drzewami, aż natrafiłem na pozostałości ogniska na małej polanie.

Obok zwęglonych kawałków drewna leżały kości i skóra młodego królika. Patrzyłem na nie przez chwilę, trzęsąc się z zimna. Zima była tutaj bardziej surowa niż w mieście.

Wyjąłem iPhone i zrobiłem zdjęcia.

Kiedy wróciłem na stację, Whitestone i Wren rozmawiały ze starszym mężczyzną w przybrudzonym płaszczu nieprzemakalnym. Skarżył się na coś.

– Zgłosiłem włamanie na miejscowym komisariacie, ale powiedzieli, że nic nie mogą z tym zrobić – mówił. – Do niczego się nie nadają. Zobaczyłem wasze światła i pomyślałem, że może mi pomożecie. Jesteście z Londynu, prawda? Nie z tego cholernego wiejskiego komisariatu?

– Ten pan mieszka niedaleko stąd, jest właścicielem gospodarstwa – wyjaśniła Wren. – Wczoraj miał włamanie.

Spojrzał na mnie tak, jakbym był rozwiązaniem jego problemów.

– Co zginęło? – zapytałem.

– Już im mówiłem.

– Proszę powtórzyć – poleciła Wren.

– Ubrania, gotówka, kilka sztućców – wymieniał. – I broń na polowania.

Wzdrygnąłem się mimowolnie, przeszyty zimnym dreszczem.

– Jaka broń?

– Strzelba kalibru dwanaście milimetrów – odparł z dumą. – Remington model tysiąc dziewięćset. Należała do mojego ojca, a wcześniej do dziadka. Jest w rodzinie od ponad stu lat. Pierwsza dubeltówka Remingtona bez kurka. Sporo warta. Chciałbym wiedzieć, czy ją odzyskacie.

– Zginęły jakieś naboje?

Wydawał się urażony tym pytaniem.

– Naboje trzymam w sejfie – odpowiedział wyniośle. – Ma mnie pan za durnia? Nie zginęły żadne naboje. – Po krótkim zastanowieniu dodał pokorniejszym tonem: – Oczywiście oprócz tych, które były w strzelbie.

– Więc była naładowana? – upewniłem się. – Obie lufy?

– Nie byłoby z niej żadnego pożytku, gdyby nie była naładowana, prawda? – odburknął.

Wren dzwoniła już do głównego z informacją i ostrzeżeniem, że Nawkins jest uzbrojony w strzelbę kalibru 12 milimetrów. Zadrżałem ponownie, choć nie miało to nic wspólnego z dojmującym chłodem.

Czułem się tak, jakby ktoś chodził po moim grobie.

22

Gdy dzień dobiegał końca, minęły godziny szczytu, a ruch na Savile Row wreszcie osłabł, Whitestone spojrzała na zegarek, zrobiła sobie kawę i zabrała laptop do cichego zakątka pokoju operacyjnego numer jeden, by porozmawiać przez Skype'a z synem.

Widziałem go przez moment na ekranie – nastolatek z modnie rozczochranymi włosami, posępny i atrakcyjny chłopak – i starałem się nie słuchać ich rozmowy. Whitestone pytała go głównie o szkołę, obiad, obowiązki domowe, a Justin – bo tak miał na imię – odpowiadał półsłówkami, które brzmiały jak znużone westchnienia.

Zakończywszy rozmowę, Whitestone spojrzała na mnie i poprawiła okulary, jakby przypomniała sobie, że ja też jestem samotnym rodzicem.

– Wystarczy na dzisiaj, Max – powiedziała. – Wracaj do domu, do Scout.

– Nie ma pośpiechu – odparłem. – Scout ma przyjaciółkę.

Scout miała prawdziwą, ukochaną przyjaciółkę. Taką, którą pamięta się doskonale po pięćdziesięciu latach, przyjaciółkę, z którą można spędzać całe dnie i śmiać się razem z reszty świata.

Mia była jasnowłosą dziewczynką mówiącą z australijskim akcentem. Poznałem ją pewnego dnia po powrocie z pracy, gdy krzycząc radośnie, biegała ze Scout i Stanem po lofcie. Od tej pory zagościła w naszym życiu na dobre. Nie wyobrażałem sobie, by to miało się kiedykolwiek zmienić. Nie poznałem rodziców Mii osobiście, rozmawiałem z nimi tylko przez telefon, zrobili jednak na mnie jak

najlepsze wrażenie. Byli ciepłymi, przyjaznymi Australijczykami, którzy ani przez moment nie traktowali mnie z typowym dla Anglików lodowatym dystansem. Dziś moja córka miała spać właśnie u nich.

– Scout zostaje na noc u przyjaciółki – oznajmiłem, bezskutecznie ukrywając dumę.

Czułem, że odkąd Scout ma tę wyjątkową przyjaciółkę, przypominamy bardziej inne, kompletne rodziny. Miałem wrażenie, że dzięki temu wygrywamy.

– Sprawdziłam córkę zamordowanego farmera w głównym systemie komputerowym policji – oznajmiła Wren. – Nazywa się Carolyn Burns. – Napisała coś na klawiaturze, a ja zauważyłem, że wciąż jest chorobliwie blada, jakby jeszcze nie otrząsnęła się po tym, co spotkało nas w ostatnich dniach. – Znalazłam dwa zdjęcia, a właściwie jedno, w dwóch miejscach, w biurze paszportowym i w wydziale komunikacji. Trochę to trwało, bo nigdy nie złamała prawa.

– Dzięki. Prześlij je, dobrze?

Na ekranie pojawiła się twarz wynędzniałej kobiety. Wyglądała na znacznie więcej niż czterdzieści kilka lat. Wren przyglądała się zdjęciom. Trudno było doszukać się na nich jakiegoś podobieństwa do ładnej, uśmiechniętej szesnastolatki, której ojciec i trzej bracia zginęli z ręki jej narzeczonego Petera Nawkinsa.

– O kurczę… – mruknęła Wren. – Przypomnij mi, żebym się nie starzała.

Chodziło jednak o coś więcej niż wiek. Caroline Burns przypominała do pewnego stopnia modelkę Christine Keeler, miała ten sam typ urody, jakby znużonej nieco życiem. Ale to nie upływ czasu zaszkodził jej najbardziej.

Był to raczej los, przeznaczenie czy też jakakolwiek inna siła kierująca naszym życiem. Szesnastoletnia dziewczyna, która stała

uśmiechnięta pod choinką obok rodziców i rodzeństwa, nigdy nie dorosła. Została unicestwiona wraz z ojcem i braćmi.

Niektóre zbrodnie nie odchodzą w przeszłość tylko dlatego, że ktoś trafia do więzienia, ofiary zostają pogrzebane, a ich nazwiska znikają z pierwszych stron gazet.

Spojrzałem na biały ślad po oparzeniu na szyi Whitestone. Na zestresowaną twarz Wren. I na puste miejsce przy komputerze Gane'a.

Pomyślałem, że niektóre zbrodnie ciągną się przez całe życie.

. . .

Kiedy wychodziłem z pracy, Charlotte Gatling stała pod niebieską latarnią przed Savile Row 27. W jej stronę pędziło kilkunastu dziennikarzy, wszyscy mierzyli do niej z aparatów i zasypywali ją pytaniami. Charlotte nerwowo kręciła prawą dłonią wokół lewej ręki, szukając jednocześnie drogi ucieczki.

– Charlotte! Spójrz tutaj! Charlotte!

– Charlotte, Charlotte, Charlotte!

– Czy Bradley jeszcze żyje?

– Dlaczego on to zrobił, Charlotte? Dlaczego Peter Nawkins ich zabił?

Powinno jej strzec kilku młodych barczystych policjantów w mundurach, powinien jej towarzyszyć sprawny rzecznik prasowy albo funkcjonariusz odpowiedzialny za kontakty z rodzinami ofiar. Była jednak sama, cofała się w górę schodów, pod ścianę, po chwili uniosła ręce przed twarz, jakby próbowała się bronić.

– Proszę – powiedziała cicho.

Przedarłem się do niej, gotów odtrącić każdy aparat i kamerę, które wycelują w moją twarz. Kiedy wziąłem Charlotte za rękę,

spojrzała na mnie ze zdumieniem, nie rozpoznawszy mnie w pierwszej chwili.

Bmw X5 stało przy krawężniku. Posadziłem Charlotte na miejscu pasażera. Zakryła twarz, a obiektywy kamer natychmiast skierowały się na okno. Właśnie to zdjęcie jutro wykorzystają, pomyślałem. Nieświadomie dawała im to, czego chcieli.

– Już dobrze – powiedziałem, włączając niebieskie światła i syreny, sygnał o prostym i jednoznacznym przekazie: Dlaczego, do cholery, włazisz mi w drogę? Wyłączyłem je, gdy tylko skręciliśmy w Regent Street.

– Dziękuję – szepnęła.

– Żaden problem. Ale…

– Wiem – przerwała mi, podnosząc rękę. – Nie powinnam stać tam sama, tyle że pańscy koledzy mieli nowe zdjęcia dzieci, nowe zgłoszenia, i chcieli, żebym je obejrzała.

Czekałem.

– Jednak na żadnym nie było Bradleya – dodała. – Nigdzie.

Skinąłem głową.

– Ludzie chcą pomóc, ale tylko przeszkadzają – powiedziałem. – Społeczeństwo. Nawet prasa. W większości przyzwoici ludzie. Oni też mają dzieci. Jeszcze gorzej jest wtedy, gdy nic ich to nie obchodzi. Tak też się zdarza.

– Mówią w taki sposób, jakby Bradley już nie żył. A on żyje. Czuję to.

Milczałem, choć miałem dość tych pewników. Charlotte była pewna, że jej siostrzeniec żyje. Sean Nawkins był pewny, że wrabiamy jego brata. Echo była pewna, że jej wuj jest niewinny. Wszyscy byli pewni swoich racji do momentu, gdy udowodniono im czarno na białym, że się mylą. Oczywiście doskonale rozumiałem, dlaczego Charlotte trzyma się kurczowo nadziei, że jej siostrzeniec nadal żyje

i jest dobrze traktowany. Na jej miejscu zachowywałbym się zapewne tak samo.

– Nie wie pan, jak to jest – powiedziała, jakby czytając w moich myślach. – Gdybym nie wierzyła, że on żyje… Gdybym nie wierzyła, że ktoś się nim opiekuje, troszczy się o niego… Oszalałabym. – Patrzyła niewidzącym wzrokiem za okno. – Złapiecie… tego człowieka? – spytała.

– Gwarantuję to pani – odparłem. – Dokąd jedziemy?

– Do Fitzrovii. Ale mogę tam dojść na piechotę.

– Będę się czuł lepiej, jeśli odwiozę panią pod same drzwi.

– Dziękuję. Wie pan, gdzie jest Fitzroy Square?

– Jasne. – Zawsze lubiłem Fiztrovię. Lubiłem historię tego miejsca – George Orwell i Karol Marks śnili tu wielkie sny, w małych klubach grali między innymi Rolling Stonesi, Bob Dylan i Sex Pistols. Podobały mi się też wszystkie te piękne domy, choć wiedziałem, że nigdy nie zamieszkam w żadnym z nich.

– Myślałem, że mieszka pani poza miastem.

– Moja rodzina mieszka w Lower Slaughter, w Gloucestershire, gdzie się wychowałam. Ale teraz tam nie jeżdżę. – Zawahała się na moment. – Mój tata i ja nie utrzymujemy bliskich kontaktów. – Zabrzmiało to jak klasyczne angielskie niedopowiedzenie. – Wolę nasz londyński dom przy Fitzroy Square. – Roześmiała się gorzko. – Ojciec chyba też go woli. Mamy ten dom od ponad pięćdziesięciu lat.

– Założę się, że nadano pani imię na cześć Charlotte Street.

Prawie się uśmiechnęła. Pierwszy raz.

– Skąd pan wie?

– Zgadywałem – odparłem z uśmiechem.

Milczeliśmy przez chwilę. Samochód posuwał się w korku na Oxford Circus, a ja myślałem o możliwościach, jakie mają bogaci ludzie. Przypominałem sobie Fitzrovię, chyba najmniej znaną część

centralnego Londynu, położoną między Bloomsbury od wschodu i Marylebone od zachodu. Sam Fitzroy Square był dużym, pełnym zieleni placem, przy którym mieszkały stare rodziny londyńskich bogaczy.

– Jak pańska rana? – spytała po chwili Charlotte.

Na wzmiankę o zranionym brzuchu poczułem dojmujący ból.

– Goi się – odparłem wymijająco. – A jak pani sobie radzi?

Pokręciła głową.

– Nie śpię. Nie jem. Nie pracuję. Wciąż myślę o siostrze. I o jej dzieciach.

Nie wspomniała o szwagrze. Pomyślałem, że może to całkiem normalne. A może nie.

– Czym się pani zajmuje?

– Piszę. Dla dzieci.

Byłem pod wrażeniem.

– Bajki dla dzieci? Moja pięcioletnia córeczka Scout uwielbia bajki.

– Nie, nie bajki. Piszę aplikacje.

– Na telefony?

– Telefony. Tablety. Można je instalować na różnych urządzeniach. Słyszał pan o aplikacji Ludzka Natura? To jedna z moich. Chyba najbardziej znana. A o Shazam?

– Ta aplikacja podaje tytuł i wykonawcę piosenki, której akurat słuchamy? – upewniłem się, zadowolony, że nie wyjdę na kompletnego idiotę.

– Ludzka Natura działa na podobnej zasadzie, tyle że podaje nazwy elementów świata przyrody, na które patrzymy. Drzew, kwiatów, roślin…

– Pani to wymyśliła?

Skinęła głową.

– Ja to napisałam. To moja aplikacja.

Zatrzymałem się przy Fitzroy Square. To duży plac, ale nie można na niego wjeżdżać.

– Scout zawsze pyta mnie o nazwy drzew, kiedy wychodzimy z psem na spacer – powiedziałem. – A ja nigdy nie umiem ich podać.

– Więc proszę zainstalować aplikację Ludzka Natura – zaproponowała.

Spojrzałem na jej twarz. Mógłbym patrzeć na nią bez końca. Jej uroda nie była jedynie wynikiem szczęśliwego doboru genów. Charlotte Gatling była człowiekiem przyzwoitym, dzielnym i inteligentnym, i wszystkie te cechy znajdowały również odbicie na jej twarzy.

– Pańska żona pewnie o niej słyszała – dorzuciła.

Skinąłem głową.

– Może.

Odgarnęła włosy z czoła.

– Dziękuję za podwiezienie, detektywie Wolfe.

Odprowadziłem ją spojrzeniem, a gdy zniknęła w domu po drugiej stronie placu, wyjąłem telefon i zainstalowałem aplikację Ludzka Natura. Był to tak prosty i tak ciekawy zarazem koncept, że pojechałem od razu do Regent's Park i wybrałem się na spacer w blasku księżyca, poznając po drodze nazwy różnych drzew. Myślałem o tym, jak bardzo Scout będzie ze mnie zadowolona, gdy wybierzemy się ze Stanem na spacer po Hampstead Heath. Patrzyłem przez telefon na cyprysy, buki, wiązy, brzozy i jesiony, z zachwytem rozmyślałem o wiśniach japońskich, surmiach bignoniowych i o tym, jak Charlotte Gatling odgarnia włosy z czoła.

23

Sierżant Ross Sallis z komisariatu w Tottenham miał dziewięćdziesiąt kilogramów mięśni i piętnaście lat doświadczenia. Był jednym z tych wielkich, zaprawionych w bojach twardzieli, którzy tworzą niewzruszony fundament Policji Metropolitalnej.

– Naprawdę myślisz, że Rzeźnik jest na naszym terenie? – spytał.

Wiózł mnie ulicą Tottenham High Road w mglisty, choć słoneczny poranek. Niebiesko-żółta szachownica służbowego forda fiesty – samochodu o wiele za małego dla takiego olbrzyma jak sierżant Sallis – sprawiała, że wyróżnialiśmy się na tej ponurej ulicy w co najmniej takim samym stopniu jak furgonetka lodziarza na Saharze.

– Nie wiem – odparłem szczerze. – Chociaż jest to na tyle prawdopodobne, że muszę odwiedzić Carolyn Burns. Może jej grozić naprawdę poważne niebezpieczeństwo.

– To było bardzo dawno temu.

– Owszem. Ale w pewnych okolicznościach faceci dostają bzika na punkcie swoich byłych dziewczyn.

Sierżant Sallis zachichotał. Śmiał się chętnie i często, co prawdopodobnie było całkiem rozsądne w przypadku gliniarza, który przez tyle lat pracował w Tottenham.

– A w jakich to konkretnie okolicznościach? – spytał z uśmiechem.

– Kiedy są zdesperowani.

Sierżant Sallis postanowił mi towarzyszyć, bo ta rodzina – jak się u nas mówi – była mu znana.

– Bardziej jej syn niż ona sama – tłumaczył. – Eddie Burns. Mieliśmy z nim do czynienia, kiedy był nastolatkiem. Dziesięć la temu, może trochę więcej. Zadawał się wtedy z nieodpowiednim towarzystwem. Trochę wagarował, popalał trawkę. Nic wielkiego. Jak to chłopaki w jego wieku. Ale Eddie zawsze trochę się tu wyróżniał.

– Dlaczego?

– Bo jest biały.

Carolyn Burns i jej syn mieszkali nad warzywniakiem przy Tottenham High Road, niemal w cieniu stadionu White Hart Lane. Na parking przy stadionie wjeżdżały eleganckie nowe merce i beemki z przyciemnianymi szybami.

Burns mieszkała w całkiem innego rodzaju Tottenham.

Wejście na klatkę schodową blokowała metalowa krata. Kobieta musiała do nas zejść, żeby ją otworzyć. Była zadziwiająco drobna, jakby przestała rosnąć tej nocy, gdy Peter Nawkins przyszedł po jej ojca i braci.

– Carolyn, to jest detektyw Wolfe z komisariatu głównego na West Endzie – przedstawił mnie sierżant Sallis.

Pokazałem jej legitymację. Zerknęła na nią przelotnie, przygryzając w zamyśleniu dolną wargę.

– Detektyw Wolfe chciał zamienić z tobą kilka słów, jeśli nie masz nic przeciwko – mówił sierżant, który wręcz emanował spokojem i pogodą ducha. – To tylko krótka, grzecznościowa wizyta.

– Chodźcie lepiej na górę – powiedziała Carolyn. Próbowałem dopatrzyć się w niej tej dziewczyny sprzed kilkudziesięciu lat, dziewczyny, która uśmiechała się ze zdjęcia, stojąc z rodziną pod choinką. Miałem jednak wrażenie, że to już całkiem inny człowiek.

Zaprowadziła nas do małego mieszkania wypełnionego zapachem kociego jedzenia i marihuany. W telewizji pokazywano relację z jakiegoś meczu odbywającego się przy pustym stadionie, a więc

najpewniej za granicą. Sierżant Sallis z nieodłącznym uśmiechem na ustach przeszedł przez pokój i wyłączył telewizor.

Potem skinął na mnie głową, pokazując w ten sposób, że mogę zaczynać.

– Właściwie to coś więcej niż grzecznościowa wizyta – przemówiłem. – Muszę panią poinformować, że grozi pani śmiertelne niebezpieczeństwo. Uważamy, że może pani paść ofiarą człowieka, którego szukamy w związku z prowadzonym przez nas śledztwem. Gromadzimy już odpowiednią dokumentację. Jeśli uznamy oficjalnie, że danej osobie grozi śmierć albo inne poważne niebezpieczeństwo, ostrzegamy ją i oferujemy ochronę policji.

– Znam tę procedurę – odpowiedziała. – Kiedyś już dostałam od was taką propozycję. Kiedy byłam dziewczynką. Kiedy stało się to wszystko. W tamtych czasach.

W tamtych czasach.

Dałem jej wizytówkę.

– Tutaj są wszystkie moje dane kontaktowe – wyjaśniłem. – Jeśli będzie pani miała jakieś obawy…

– Peter nigdy by mnie nie skrzywdził – przerwała mi w pół zdania. – Nie skrzywdził mnie wtedy i nie zrobi tego teraz.

W drzwiach pojawił się chłopiec. Nie, nie chłopiec – mężczyzna pod trzydziestkę, ale ubrany jak chłopiec. Jeden z tych współczesnych mężczyzn, którzy jakby zatrzymują się w rozwoju, bo nie mają żadnej pracy, nie wyprowadzają się od rodziców i choć mijają kolejne lata, wciąż patrzą na świat spod daszka czapki bejsbolowej.

– Cześć, Eddie – przywitał go Sallis, najwyraźniej ucieszony z tego spotkania. – Jak leci? Robisz dalej ten kurs w college’u?

Zdawkowy gest zaprzeczenia.

Eddie Burns prawdopodobnie nie był złym dzieciakiem, ale pod względem umiejętności zachowania się w towarzystwie dorównywał

co najwyżej główce kapusty.

– Peter nigdy by nas nie skrzywdził – odezwała się ponownie Carolyn Burns. – Więc niech pan lepiej wraca na… – Spojrzała na wizytówkę i uśmiechnęła się drwiąco. – …Savile Row i przestanie marnować mój czas.

– Peter Nawkins jest recydywistą, proszę pani. Spędził dwadzieścia lat w więzieniu. Poszukujemy go w związku z niedawnym zabójstwem czterech osób.

Roześmiała się.

– Nie obchodzi mnie to. Peter nie zrobi mi krzywdy. Nigdy. Nie znacie go. Nic o nim nie wiecie. Myślicie, że będę wam wdzięczna, bo przyszliście tu do mnie bez zaproszenia? Chcę, żebyście dali mi spokój. Nic dla mnie nie zrobiliście. I nigdy nie zrobicie.

– Czy Nawkins próbował się z panią kontaktować?

– Nie.

– Kiedy ostatnio go pani widziała?

– Na jego procesie. Jak go skazano.

– A potem już nigdy? Nie odwiedzała go pani w więzieniu? Nie spotykała się pani z nim, kiedy już wyszedł na wolność? Nigdy nie była pani w Oak Hill Farm?

– A co przed chwilą powiedziałam?

Spojrzałem na sierżanta Sallisa. Uśmiechał się ze współczuciem.

Ale jego spojrzenie mówiło, że czas już iść.

. . .

Gdy zeszliśmy na ulicę, sierżant powiedział:

– Trudno pomagać ludziom, którzy nie chcą twojej pomocy.

– To prawda – odparłem, zły na siebie, że poddaję się uczuciu upokorzenia.

– Carolyn jest zgorzkniałą kobietą – kontynuował sierżant. – Życie nie było dla niej łaskawe. A jak się nad tym zastanowić, to właściwie nigdy nie zrobiła niczego złego.

Skinąłem głową. Wszystko to było prawdą.

Podniosłem wzrok na okno mieszkania Carolyn Burns. Eddie patrzył na nas z góry, na rękach trzymał grubego kocura.

Wróciliśmy z sierżantem Sallisem do forda fiesty. Wydawało mi się, że policjant wzdycha ciężko, jakby wzdragał się przed wciskaniem swojego potężnego ciała do tego maleńkiego samochodu. Znieruchomiał na moment, oparty o drzwi, i spojrzał na mnie nad dachem samochodu.

– Naprawdę myślisz, że Peter Nawkins do niej przyjdzie? – spytał. – Nie widziała go przez pół życia.

– Może i nie – odparłem. – Ale może zechce zobaczyć własnego syna.

24

Czasami płakała.

Zwykle pani Gane siedziała przy łóżku syna i mówiła – o miłych pielęgniarkach, kiepskiej herbacie w szpitalnej stołówce, operacji Curtisa, a potem, gdy lekarze powiedzieli, że nie będzie żadnej operacji, bo obrażenia kręgosłupa są zbyt poważne, mówiła o domu, kościele i kotce Molly, o zmianach w dzielnicy Lewisham, w której spędziła dorosłe życie.

Jednak czasami płakała.

Opowiadała o kłótni z rumuńskimi sąsiadami, dotyczącej zwyczajów Molly i pamiątek, które kotka pozostawiała w ich ogrodzie, i nagle jej oczy wypełniły się łzami, a rozmowa urwała się, ustępując miejsca krępującej ciszy. Wren i ja spojrzeliśmy po sobie bezradnie, a Whitestone nieudolnie objęła starszą panią ramieniem.

– Nie płacz, mamuś – mówił Curtis z krzywym uśmiechem.

– Już dobrze – powtarzała Whitestone. – Chodźmy sprawdzić, czy herbata się poprawiła, dobrze?

Wren poszła z nimi. Kiedy zostaliśmy sami, Curtis Gane spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

– Musisz mnie stąd zabrać, Max.

Potwierdziłem ruchem głowy i również uśmiechnąłem się do niego.

– Jak już będziesz się czuł dość dobrze, żeby zacząć fizjo…

Poruszył lekko głową, przerywając mi w pół słowa.

– Mówię poważnie. Musisz mnie stąd zabrać.

Już się nie uśmiechał. Dotąd stałem w rogu małej salki, teraz podszedłem bliżej i przysiadłem na łóżku. Wciąż nie rozumiałem, do czego zmierza.

– Zrobię, co tylko mogę – obiecałem.

– Jak myślisz, co się ze mną stanie? – spytał. – Nie wrócę do pracy, prawda? Nigdy już nie będę chodził, tak? Jestem jak kłoda. Niczego nie czuję. Nigdy nie będę się kochał z kobietą, nigdy nie spłodzę dziecka, nigdy nie będę spacerował po Savile Row.

Oczami wyobraźni ujrzałem go takim, jakim był podczas naszego pierwszego spotkania. Pewny siebie policjant w eleganckim garniturze, z ogoloną głową i dziwnym kompleksem wyższości, rezultatem dzieciństwa spędzonego w dzielnicy Lewisham. Wygolona zwykle głowa teraz pokryta była krótkimi włosami, dostrzegłem dzięki temu zakola, które starał się wcześniej ukryć.

Zrobiło mi się słabo, gdy uświadomiłem sobie nagle, o co mnie prosi.

Wstałem i odsunąłem się od łóżka.

Kołnierz ortopedyczny nie pozwalał mu obrócić bardziej głowy, ale powiódł za mną spojrzeniem.

– Mówiłem ci już – powiedział. – To nie jestem ja.

– Niektórzy ludzie całkiem dobrze żyją. – Zdawałem sobie sprawę, jak łatwo przychodzą mi te słowa i jak puste się wydają, choć wcale nie mijałem się z prawdą. – Wracają z wojny, zdarzają się im okropne wypadki, żyją bez rąk i nóg…

– Bohaterowie – odpowiedział Curtis spokojnym, niemal beznamiętnym tonem. – Wszyscy. Podziwiam ich. Żołnierzy, którzy żyją bez kończyn. Mężczyzn i kobiety, którzy potrafią się dostosować do życia na wózku. – Nie mógł wzruszyć ramionami, wyraził jednak ten gest znaczącym skrzywieniem ust. – Cóż mogę ci powiedzieć? Nie chcę, żeby mama woziła mnie do toalety. O to właśnie chodzi. Nic

więcej nie musisz wiedzieć. Nie jestem dość silny, żeby się na to zgodzić. Jestem dorosłym mężczyzną i nie chcę na powrót stać się dzieckiem, Max. Nie mogę jej tego zrobić. I nie mogę zrobić tego sobie.

Zerknąłem na zamknięte drzwi. Czułem, jak pulsuje moja rana brzucha.

– To niemożliwe – powiedziałem cicho.

– Wręcz przeciwnie, to bardzo łatwe – odparł. – Nie proszę o bilet w jedną stronę do jakiejś luksusowej kliniki w Szwajcarii. Wystarczy poduszka i kilka minut, jak będziemy sami. Jesteś silnym facetem, Max. Przykryjesz mi twarz poduszką i potrzymasz ją mocno przez kilka minut, aż przestanę oddychać. Zorientujesz się, kiedy będzie już po wszystkim. Wyświadczyłbyś mi naprawdę wielką przysługę. I mojej matce. – W jego oczach pojawiły się w końcu łzy. – Proszę – wyszeptał. – Nikogo innego nie mogę o to poprosić.

Otworzyły się drzwi, do sali weszły pani Gane, Whitestone i Wren. Wszystkie śmiały się radośnie.

– O czym rozmawialiście, chłopcy? – spytała pani Gane, uśmiechając się do nas.

– O starych, dobrych czasach, mamo – odpowiedział jej syn.

. . .

Pojechałem po Scout. Jej przyjaciółka Mia mieszkała w domu jednorodzinnym przy cichej uliczce w Pimlico, tak blisko rzeki, że słyszałem szum wody – a przynajmniej miałem takie wrażenie. Stałem na progu, wciąż poruszony wizytą w szpitalu, i patrzyłem przez okno na wnętrze normalnego, prawdziwego domu.

Ojciec odpoczywający po pracy, gdzie nikt nie odnosi ran, które dokuczają do końca życia. Matka wołająca rozbawione dzieci. Rodzice wciąż razem. Starszawy golden retriever, który włazi leniwie na sofę

i układa się do snu. Wszystko to wyglądało tak cudownie normalnie, że chciało mi się płakać z zazdrości i podziwu.

Widziałem obrazy na ścianach, książki, słyszałem rozbawione głosy. Wysoki, szczupły mężczyzna koło trzydziestki zdjął krawat i włączył wiadomości w telewizji, kobieta podeszła do niego od tyłu i objęła go w pasie. Zobaczyli mnie, uśmiechnęli się i pomachali.

– Tata Scout! – powiedziała kobieta.

Skinąłem głową i uśmiechnąłem się szeroko. Pomyślałem, że może Scout i ja też jesteśmy normalni, tyle że w inny sposób.

Kiedy wpuścili mnie do środka, Scout zbiegła z Mią po schodach. Na piętrze została mała siostrzyczka Mii, młodsza od niej może o dwa lata.

– Musimy od razu wychodzić? – spytała zdyszana Scout, nawet się ze mną nie przywitawszy.

– Dziewczynki upiekły trochę ciastek – wyjaśniła Lissy. – Świetnie smakują z kawą.

Dałem się zaprosić na kawę z ciasteczkami, a moja uradowana córeczka z powrotem popędziła z przyjaciółką na piętro. Lissy i Roger zaprowadzili mnie do kuchni. Wiedzieli, że jestem policjantem. Roger pracował w City, zajmował się jakimiś operacjami finansowymi, ale nie bardzo rozumiałem, o co chodzi, natomiast Lissy szkoliła się na psychoterapeutkę.

– Mia uwielbia waszego psa – rzekł Roger. – Stan, tak? – Uśmiechnął się do żony. – Namawia nas teraz na cavaliera.

– Nasz stary kundel nie chce się już w ogóle ruszać – dodała Lissy, podając mi talerz z bezkształtnymi brązowymi okruchami, które miały zapewne udawać ciastka. Usiadłem przy stole kuchennym.

Nagle oboje zrobili dziwne, jakby wystraszone miny.

Szeroko otwartymi oczami patrzyli na mój brzuch i rosnącą czerwoną plamę na koszulce. Nigdy nie widzieli czegoś podobnego

w swoim szczęśliwym, normalnym życiu.

– Pan krwawi – powiedziała Lissy.

Wstałem szybko i z ustami wciąż pełnymi ciastek zawołałem Scout. Moja rana pulsowała bólem jak żywe stworzenie, a twarz paliła mnie ze wstydu.

25

Rano popijałem potrójne espresso z baru Italia i przeglądałem doniesienia o Bradleyu, które napłynęły w ciągu nocy, gdy do pokoju weszła Wren i usiadła na moim biurku.

– Przejrzałam twój raport ze spotkania z córką farmera – powiedziała.

– Może nie powinniśmy już tak jej nazywać – odparłem. – Nie mieszka na farmie od trzydziestu lat.

– W porządku, niech będzie po prostu Carolyn Burns, dawniej córka farmera. Okłamała cię.

Położyła na biurku cienki zielony plik.

Więzienie Belmarsh
Dorośli mężczyźni – kategoria A

– Od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku brytyjskie więzienia o zaostrzonym rygorze muszą odnotowywać wszystkie odwiedziny – tłumaczyła. – Od roku, w którym IRA omal nie wysadziła brytyjskiego rządu w powietrze podczas zamachu w Brighton. Nie pytaj mnie, dlaczego zmienili zasady właśnie wtedy… chodziło chyba o ogólne zaostrzenie środków bezpieczeństwa po groźnym ataku terrorystycznym.

– Zawsze tak jest – przytaknąłem. – Jakiemuś brodatemu frajerowi nie uda się wysadzić samolotu i nagle wszyscy musimy zdejmować buty przy bramkach na lotnisku.

– W osiemdziesiątym czwartym Rzeźnik odsiadywał piąty rok – kontynuowała Wren. – Nie wiemy, co działo się przez pierwsze cztery lata, ale przez szesnaście następnych odwiedzało go tylko dwoje gości.

Podniosłem plik i zajrzałem do środka. Litery były już wyblakłe, ale na tyle wyraźne, bym poczuł się oszukany.

– Carolyn Burns patrzyła mi prosto w oczy i mówiła, że nie widziała go, odkąd skończyła szesnaście lat. – Westchnąłem. – Z tych dokumentów wynika, że odwiedzała go raz w miesiącu. Przez wszystkie te lata. – Pokręciłem głową. – Peter Nawkins zabił jej ojca i trzech braci pistoletem do uboju bydła. A potem ona odwiedza go regularnie co miesiąc?

– Może go kochała. Może ich nienawidziła. Zobacz, kto był jego drugim gościem.

Kolejne wyblakłe nazwisko. S. Nawkins. Te wizyty były rzadsze niż w przypadku Carolyn Burns i ustały na kilka lat przed wyjściem Petera Nawkinsa na wolność. Przerzuciłem kilka pożółkłych stron.

– Brat – powiedziałem.

– Przyjrzyj się uważniej, detektywie.

(Pani) S. Nawkins

– Nie brat, tylko żona – wyjaśniła Wren. – Umarła, zdaje się?

Skinąłem głową.

– Ktoś spalił ją żywcem – odpowiedziałem.

. . .

Carolyn Burns patrzyła na nas zza żelaznej kraty, krzywiąc twarz w pogardliwym grymasie. Powiodła spojrzeniem od Whitestone do Wren i do mnie, zwróciła się jednak do sierżanta Sallisa.

– Jeszcze raz? – spytała z irytacją. – Nie muszę z nimi rozmawiać, jeśli nie chcę.

– Lepiej będzie, jeśli to zrobisz – odparł sierżant łagodnym tonem. – Muszą wyjaśnić parę spraw.

Przyglądała mu się podejrzliwie, wciąż nieprzekonana.

Whitestone postąpiła krok do przodu.

– Pani Burns? Komisarz Whitestone. Wiemy, że regularnie odwiedzała pani Petera Nawkinsa, gdy przebywał w więzieniu Belmarsh.

– Znam swoje prawa.

Teraz nie wydawała się już tak pewna siebie.

– Jako oficer prowadzący śledztwo mogę uznać panią za ważnego świadka – mówiła Whitestone. – Jeśli to zrobię, zostanie pani oficjalnie przesłuchana, a zeznania zostaną nagrane. A jeśli skłamie pani podczas takiego przesłuchania, przekona się, że żadne prawo w takiej sytuacji nie ratuje przed naprawdę poważnymi kłopotami. Dlatego może jednak otworzy pani tę kratę i porozmawiamy jak cywilizowani ludzie?

Burns otworzyła kratę i poszła na górę, nie czekając na nas. Sierżant Sallis odsunął się na bok i przepuścił nas przodem, uśmiechając się uprzejmie.

Drzwi mieszkania były otwarte.

Carolyn Burns i jej syn siedzieli na sofie. Młody mężczyzna zerkał niepewnie na matkę, która nie odrywała wzroku od Whitestone. W mieszkaniu wciąż unosił się zapach kota i marihuany.

– Chyba niełatwo żyje się tutaj wiejskiej dziewczynie – powiedziała Whitestone, uśmiechając się po raz pierwszy. – Mam na myśli to, że spędziła pani całe dzieciństwo na wsi, a teraz musi gnieździć się w mieście.

Carolyn Burns parsknęła śmiechem.

– To ta część przesłuchania, kiedy udaje pani moją najlepszą przyjaciółkę? Nigdy nie znała pani mojego ojca. Nie znała pani moich braci. Podłe sukinsyny, wszyscy. To życie z nimi na jednej farmie było najtrudniejsze. Skończyliśmy już pogaduszki? Możemy przejść do sedna?

– Jasne. – Whitestone usiadła na krześle naprzeciwko Burns i jej syna. – Koniec pogaduszek. Dlaczego okłamała pani detektywa Wolfe'a i nie powiedziała mu o wizytach w więzieniu?

Burns wzruszyła ramionami.

– Nie muszę odwalać za was roboty – odparła. – Przecież wszystko jest w dokumentach, prawda?

– Więc nie znienawidziła pani Petera Nawkinsa? – spytała Wren.

Burns spojrzała na nią i prychnęła.

– Dlaczego miałabym go nienawidzić?

– Za to, co zrobił. Za wymordowanie pani rodziny.

– Kto powiedział, że on kogoś zabił?

– Sąd. Sędzia. Ława przysięgłych. Sugeruje pani, że został niesłusznie skazany?

– Sugeruję, że oni go nie znają. Nigdy go nie znali. Nie tak, jak znam go ja. – Przeciągnęła drżącą dłonią po ustach. – Jak go znałam – poprawiła się.

Podszedłem do okna i wyjrzałem na ulicę. Samochody jechały powoli zakorkowaną Tottenham High Road. Funkcjonariusz służby parkingowej szedł wzdłuż chodnika jak w zwolnionym tempie. Przyglądałem mu się, gdy przystanął, wypisał mandat i wsunął go za wycieraczkę nissana micry.

Zauważyłem, że nissan nie ma lusterka bocznego.

Zamarłem, wciąż wpatrzony w samochód, podczas gdy policjant poszedł dalej.

Przypomniałem sobie czarno-białe nagranie z kamer monitoringu, mężczyznę, którym Nawkins uderzał w samochód z taką siłą, że w końcu pozbawił go przytomności, a przy okazji oderwał lusterko boczne. Pamiętałem rozbite kawałki szkła, które lśniły w blasku lamp na stacji paliw.

I widziałem przed sobą nissana micrę bez lusterka bocznego.

Wiedziałem, że musimy stąd jak najszybciej wyjść.

Natychmiast.

Odwróciłem się i spojrzałem na pokój.

Carolyn Burns i Eddie siedzieli tak blisko Whitestone, że ich kolana niemal stykały się ze sobą, Wren przycupnęła na oparciu fotela.

Sierżant Sallis stał z boku i uśmiechał się łagodnie, jakby wierzył, że dobra wola wszystkich stron pozwoli nam przebrnąć szczęśliwie przez to nieprzyjemne doświadczenie.

Spojrzał na mnie, uśmiechnął się jeszcze szerzej i skinął głową, podczas gdy ja spoglądałem na drzwi innych pomieszczeń.

Wszystkie były zamknięte. Dwie sypialnie i łazienka.

Carolyn Burns i jej syn patrzyli na mnie.

– Szefowo – powiedziałem – powinniśmy się przenieść do głównego. Natychmiast.

Carolyn Burns wstała, trzymając sztywno ręce wzdłuż tułowia. Wydawało się, że ma problemy z oddychaniem. W maleńkim mieszkaniu jakby zabrakło nagle powietrza.

– Mamo? – odezwał się jej syn.

W jednym z zamkniętych pomieszczeń rozległ się dźwięk. Potem otworzyły się drzwi pokoju, a do małego salonu wszedł Peter Nawkins z dubeltówką w rękach.

Ktoś krzyknął, Wren zerwała się na równe nogi, ale Whitestone nie zdążyła wstać z krzesła. Jeśli ja się poruszyłem, nawet nie byłem tego

świadomy, gdy Nawkins przyłożył kolbę strzelby do ramienia, skierował lufę w głowę sierżanta Sallisa i pociągnął za spust.

Wydawało się, że w maleńkim pokoju eksplodowała bomba. Huk był tak ogromny, że przez moment nie słyszałem niczego oprócz głuchego dzwonienia gdzieś za uszami, we wnętrzu głowy.

Sierżant Sallis leżał na podłodze.

Spojrzałem na niego z góry, pewien, że zamiast głowy zobaczę krwawą miazgę, a tania tapeta na ścianie za jego plecami będzie zbryzgana kawałkami mózgu i kości.

Ale sierżant Sallis wpatrywał się we mnie z otwartymi ustami. Mrugał oszołomiony. Żywy.

W ścianie za nim widniała dziura wielkości pięści.

Nawkins chybił. Ale jak mógł chybić?

W końcu dotarły do mnie jakieś dźwięki, nie do końca jednak odzyskałem słuch. Ogłuszający strzał rezonujący w tej małej, zamkniętej przestrzeni sprawił, że wszystko brzmiało teraz tak, jakby wydobywało się spod wody albo zza grubej ściany.

Ludzie poruszali ustami. Krzyczeli. Zachwiałem się, jakbym wraz ze słuchem utracił zmysł równowagi. Peter Nawkins ze zbolałą miną patrzył na policjanta siedzącego na podłodze.

Wciąż przyciskał do ramienia kolbę strzelby.

Minęło zaledwie kilka sekund.

Spojrzałem ponownie na sierżanta Sallisa, próbując zrozumieć, jakim cudem przeżył. Potem, poruszając nogami niczym z waty, zrobiłem krok w stronę Petera Nawkinsa.

Odwrócił się do mnie, jakby dopiero teraz mnie zobaczył. Patrzyłem, jak kieruje lufę dubeltówki w moją pierś, cel, w który znacznie łatwiej trafić niż w głowę.

Wszystko dokoła zastygło w bezruchu.

Wpatrywałem się w wylot lufy, a gdzieś z oddali docierały do mnie przekleństwa chłopaka. Wren i Whitestone patrzyły na sierżanta Sallisa, zdumione, że wciąż żyje, choć Nawkins strzelił do niego z odległości zaledwie kilku kroków. Wszystko to wydawało się pozbawione sensu.

Poruszyłem w końcu nogami. Zacisnąłem dłonie w pięści. Krótki lewy hak, pomyślałem. Złam mu szczękę. Masz tylko jedną szansę. Nie zmarnuj jej.

Zatrzymałem się jednak, gdy Nawkins zrobił krok do tyłu i podniósł strzelbę na wysokość mojej głowy, jakby nie mógł się zdecydować, gdzie powinien strzelać.

Patrzyliśmy na siebie. Wszyscy krzyczeli. Bolały mnie uszy. Potem Nawkins poderwał strzelbę prawą ręką i zamachnął się szeroko, a stara drewniana kolba uderzyła mnie w lewą kość policzkową.

Poczułem się tak, jakby ktoś przywalił mi młotkiem.

Osunąłem się na podłogę. Kręciło mi się w głowie i zbierało na wymioty. Czekałem na huk drugiego wystrzału.

Leżałem bez ruchu, czekając na koniec, ale ten nie nadchodził.

Słyszałem jedynie krzyki i wołanie o pomoc.

Słyszałem trzask otwieranych drzwi.

Słyszałem kroki uciekającego człowieka, który nie miał już dokąd uciec.

26

Podniosłem się powoli na nogi, w czym bardziej niż ból przeszkadzały mi zawroty głowy, te dokuczliwe i osłabiające mdłości, jakie odczuwa człowiek uderzony mocno w twarz.

Chciałem zasnąć, osunąć się w ciemność, ale stałem wytrwale, oparty o krzesło, i patrzyłem na sierżanta Sallisa.

Wciąż siedział na podłodze, sparaliżowany szokiem. W ścianie za jego plecami ziała dziura wielkości pięści, lecz on żył.

– Nic ci nie jest – zwróciłem się do niego, z trudem utrzymując równowagę.

Spojrzał na mnie błędnym wzrokiem.

– Nie słyszę cię – powiedział. – Widzę, że ruszasz ustami, ale niczego nie słyszę.

Osunąłem się na kolana i położyłem mu dłonie na ramionach. Ciągle myślałem o tym, że cały pokój powinien teraz cuchnąć krwią i śmiercią. Fakt, że sierżant doznał jedynie szoku, graniczył z cudem. Wiedziałem jednak, że nie ma tu mowy o żadnym cudzie.

– Co się stało? – spytał w końcu Sallis.

– Nawkins spudłował – odparłem.

– Co? Spudłował? Jak mógł spudłować?

– Bo nie miał powodu, żeby cię zabijać.

Wstałem. Tym razem poszło mi znacznie łatwiej.

Carolyn Burns i Eddie stali tuż obok mnie, wskazywali na dziurę w ścianie i krzyczeli na siebie. Powoli odzyskiwałem słuch, ale wciąż nie mogłem zrozumieć ani słowa z tego, co do siebie wrzeszczeli.

Rozejrzałem się po małym pokoju. Whitestone i Wren zniknęły. Potem usłyszałem ich krzyki dochodzące z ulicy. Poklepałem sierżanta Sallisa po głowie, by dać mu znać, że jestem żywy, po czym wyszedłem chwiejnym krokiem z mieszkania.

Przez otwartą kratę na klatce schodowej zobaczyłem, jak Whitestone i Wren wsiadają na tylne siedzenie radiowozu. Zastanawiałem się, zdumiony, jak zdołały tak szybko ściągnąć posiłki, gdy dojrzałem dwie młode policjantki z przodu auta, obie wyraźnie wystraszone, co najprawdopodobniej oznaczało, że moja szefowa po prostu zatrzymała przejeżdżający tędy przypadkiem radiowóz.

Samochód odjechał z piskiem opon, gdy Whitestone zamykała jeszcze drzwi i wykrzykiwała polecenia do młodych funkcjonariuszek. Natychmiast zapaliły się niebieskie światła na dachu auta i zawyła syrena.

Stałem na chodniku i przeklinałem głośno. Czułem, jak moja kość policzkowa pokrywa się opuchlizną wielkości jajka.

Nagle dostrzegłem Petera Nawkinsa.

Biegł po chodniku, jakieś sto metrów dalej, zmierzając na południe, w stronę Tottenham Hale. Co jakiś czas spoglądał przez ramię na radiowóz, który przeciskał się przez zakorkowaną ulicę.

Nie widziałem broni.

Nagle pojawiła się w jego rękach.

Między samochodami przejeżdżały powoli rowery i motocykle. Nawkins wyszedł na ulicę i wymierzył ze strzelby do kuriera na motocyklu.

Motocyklista wjechał na chodnik i dodał gazu, uciekając na bezpieczną odległość. Nawkins spróbował ponownie.

Wciąż stał między samochodami, z których patrzyły na niego przerażone twarze, i celował do następnego motocyklisty. Ten podniósł ręce i poleciał do tyłu, na ulicę. Nawkins wsiadł na motocykl,

obejrzał się za siebie i ruszył gwałtownie, włączając się do jednokierunkowego ruchu obowiązującego w Tottenham. Słysząc głośne przekleństwa i klaksony dobiegające z tamtego miejsca, zrozumiałem, że uciekinier jedzie pod prąd.

Samochody pełznące zakorkowaną High Road usuwały się przed radiowozem na sygnale, zjeżdżały na chodniki, niektóre zderzały się ze sobą. Widziałem, jak Edie Wren wychyla się przez okno i próbuje namierzyć Nawkinsa.

Zniknęła z powrotem we wnętrzu radiowozu, który nabrał prędkości i ruszył pod prąd śladem podejrzanego.

Ja poderwałem się do biegu.

. . .

Wkrótce zostałem z tyłu.

Nim dotarłem do wielkiego ronda przy dworcu Tottenham Hale, samochody, które rozstąpiły się wcześniej przed radiowozem, wróciły na swoje miejsca i jechały dalej. Biegłem po ulicy, pod prąd, nie zważając na przekleństwa i trąbienie. Kierowcy z twarzami wykrzywionymi grymasem wściekłości skręcali gwałtownie, by mnie wyminąć, a ja wciąż pędziłem przed siebie, przekonany, że lada moment usłyszę pisk opon i znajdę się na masce któregoś z aut.

Nie spotkało mnie jednak nic złego. Nie mnie.

Po chwili zobaczyłem unieruchomiony radiowóz, wbity w słup fotoradaru, który przechylił się i upadł prosto na przednią szybę.

Whitestone wciąż siedziała na tylnym siedzeniu i trzymała się za czoło. Wren stała obok auta, cała i zdrowa, ale oszołomiona, z telefonem w ręce. Zza poduszek powietrznych z przodu auta wyglądały posiniaczone i podrapane twarze dwóch młodych policjantek.

– Max! – krzyknęła Wren. – Ucieka w stronę zbiornika!

Pobiegłem za nim.

Nawkins również miał wypadek. Częściowo zgnieciony motocykl leżał pod przednimi kołami wielkiej ciężarówki. Potężny samochód wyszedł z tego starcia praktycznie bez szwanku, ale jego kierowca stał na poboczu zgięty wpół i wymiotował.

Tymczasem na zablokowanej ulicy tworzył się olbrzymi korek, auta wjeżdżały w siebie, kierowcy wysiadali, krzyczeli i wygrażali sobie nawzajem, niektórzy pokazywali coś palcami. Spojrzałem w lewo, na rozległą połać systemu sztucznych zbiorników Walthamstow, dziesięć połączonych ze sobą jezior, które ciągnęły się na przestrzeni wielu kilometrów.

Wspiąłem się na ogrodzenie i przeskoczyłem na drugą stronę. Powierzchnia wody była gładka jak stół, wydawało się, że miejski zgiełk i chaos nie mają tu wstępu. Dokoła panowały niesamowity spokój i cisza, odgłosy ruchu ulicznego, choć wciąż bliskie, należały już do innego świata.

Zobaczyłem dwóch mężczyzn w kaloszach biegnących niezdarnie w moją stronę. Dwaj wędkarze, którzy porzucili swój sprzęt obok dwóch zielonych namiotów.

– Tam! – wołali, wskazując na kępę krzaków odległą o jakieś pięćdziesiąt metrów. – Facet ma strzelbę!

Pobiegli dalej.

Usłyszałem syreny. Coraz więcej. Kiedy się obejrzałem, wzdłuż ogrodzenia stała cała armia radiowozów. Zastanawiałem się, czy przyjechała też brygada antyterrorystyczna – i w tym samym momencie zobaczyłem ich samochody, bmw X5, lśniące karabinki szturmowe Heckler & Koch, snajperki G3K, pistolety maszynowe MP5. W brygadzie antyterrorystycznej policji metropolitalnej służy około

550 funkcjonariuszy – wydawało się, że przyjechali tu wszyscy, co do jednego.

Wahałem się. Obserwowałem, jak antyterroryści zajmują pozycje, zastanawiałem się, czy obstawili wszystkie wyjścia i czy w tej sytuacji powinienem kontynuować pościg za Nawkinsem, czy też się wycofać. Jednak już po kilku sekundach okazało się, że nie mam wyboru, bo Peter Nawkins wyszedł z krzaków, wciąż trzymając w dłoni naładowaną strzelbę.

Zastygłem w bezruchu.

Żadnej drogi ucieczki, żadnej kryjówki. Dokoła nierealna martwota, nieruchoma tafla wody.

Nawkins ruszył w moją stronę.

– Rzuć broń! – zawołałem.

Nie zatrzymał się. Czterdzieści metrów.

– Aresztuję cię za zamordowanie rodziny Woodów – mówiłem dalej. – Mary. Brada. Marlona. Piper.

Pokręcił głową i spojrzał na niebieskie światła radiowozów za ogrodzeniem.

Dwadzieścia metrów.

– Nie musisz niczego mówić – recytowałem wyuczoną formułkę.

Dziesięć metrów.

– Ale możesz zaszkodzić swojej obronie…

Podniósł strzelbę.

– Odłóż broń i odsuń się od niej! – powiedziałem z naciskiem. Serce waliło mi jak szalone, rana brzucha pulsowała bólem, krew tętniła w żyłach. – Nie masz wyjścia.

– Znów się mylisz – odparł, po czym obrócił strzelbę tak, by włożyć lufę do ust. Potem wsunął palec przed cyngiel i nacisnął.

W tym samym momencie eksplodował tył jego głowy. Strzał i śmiertelne dzieło zniszczenia nastąpiły jednocześnie, nie dzieliły ich

nawet ułamki sekund. Huk wystrzału brzmiał tutaj zupełnie inaczej niż w mieszkaniu Carolyn Burns. Niósł się echem nad połacią wody, ponad kolejnymi zbiornikami tego śródmiejskiego oceanu. Odruchowo podniosłem wzrok, gdy wystraszone stado czarnych ptaków wzbiło się ku niebu.

Nawkins runął do wody jak kłoda.

Z resztek jego zmasakrowanej głowy wypływała krew i drobiny tkanki.

Spojrzałem na swoje dłonie. Były pokryte krwią.

Czułem, jak wypełnia mnie radość, a do oczu napływają łzy wdzięczności.

Bo tym razem nie była to moja krew.

. . .

Kobieta zaatakowała mnie od tyłu.

Stałem przy drodze, w dłoni trzymałem papierowy kubek z kiepską kawą. Podniosłem kubek do ust, choć kawa była niemal wrząca, nie nadawała się jeszcze do picia, ale i tak ją piłem, pozwalając, by parzyła mi gardło, by przypominała, że wciąż żyję, napełniała tą radosną świadomością. Przyglądałem się, jak ratownicy medyczni opatrują rozcięte czoło Whitestone, patrzyłem na tłum uzbrojonych antyterrorystów, na zwykłych policjantów w mundurach, na pulsujące niebieskie światła, gdy nagle kobieta zaszła mnie od tyłu i obrzucając stekiem obelg, przeciągnęła paznokciami po mojej twarzy.

Chciała wydrapać mi oczy. Chciała je wyłupić. Próbowała mnie oślepić.

Kiedy wrząca kawa chlusnęła na moje buty, pomyślałem, że rozwścieczona kobieta całkiem nieźle sobie radzi.

Jej palce wbiły się w moje czoło, przesunęły w dół, na brwi, sięgnęły oczodołów, próbowały się w nie zagłębić, a wszystko to przy akompaniamencie ogłuszającego wrzasku.

Myślałem, że to Carolyn Burns chce mnie ukarać.

Kiedy jednak ręce w końcu się odsunęły, dostrzegłem tatuaż na wewnętrznej stronie nadgarstka, wizerunek akity, który wyglądał jak owczarek niemiecki, poplamiony teraz krwią spływającą z mojej twarzy.

To była Echo Nawkins.

Koszulka bez rękawów. Różowa minispódniczka. Letnie ubranie w środku zimy. Obracała głowę i wciąż do mnie krzyczała, gdy dwaj umundurowani policjanci odciągali ją na bok.

– Masz krew na rękach! – wyła. – Masz krew na rękach! Masz krew na rękach!

– Zamknąć ją? – spytał sierżant. Zastanawiałem się przez moment, czy jest z tutejszego komisariatu i czy zna sierżanta Sallisa. – Oskarżyć ją o czynną napaść na policjanta?

Pokręciłem głową. Nie miałem serca jej zamykać. I nie chciałem dokładać sobie papierkowej roboty. Poza tym Echo Nawkins zszokowała mnie tą napaścią. Zachowywała się tak, jakby wiedziała, że Peter Nawkins nie zabił rodziny Woodów. Nie tylko chciała w to wierzyć – bo tak często zachowują się zaślepieni miłością bliscy zbrodniarzy – ale wiedziała to z całą pewnością.

Pomyślałem o sierżancie Sallisie siedzącym na podłodze w mieszkaniu wypełnionym wonią kota i marihuany. Przypomniałem sobie jego zdumioną minę, niedowierzanie, że wciąż żyje, i dziurę w ścianie, ślad po strzale, który miał nas jedynie nastraszyć, a nie skrzywdzić.

Zupełnie, jakby wiedziała to z całą pewnością.

Peter Nawkins nie zabił nikogo od trzydziestu lat.

MARZEC

Śmiertelne szczątki

27

Niełatwo ukryć zwłoki ofiary morderstwa.

Z dwóch powodów.

Mordercy są głupi.

A ciała się rozkładają.

Dwadzieścia cztery godziny po tym, jak Peter Nawkins odebrał sobie życie, stałem przed planem Londynu zakrywającym całą ścianę pokoju operacyjnego numer jeden. Cofnąłem się o krok, by przyjrzeć mu się lepiej, i pomyślałem po raz kolejny: Nie, niełatwo ukryć zwłoki, nawet tutaj.

Nawet w dziesięciomilionowym mieście.

Nawet w metropolii, która ciągnie się na przestrzeni pięćdziesięciu kilometrów po obu stronach ponad trzystukilometrowej rzeki. Nawet w Londynie, mieście pełnym zieleni i błękitu, parków, lasów, błoni, ogrodów i wrzosowisk, stawów, kanałów, rzek, jezior i sztucznych zbiorników.

W mieście, które ma sześćdziesiąt tysięcy ulic i trudną do określenia liczbę garaży, kontenerów na gruz, nowiutkich dziedzińców i starych wilgotnych piwnic. Choć nie brakuje miejsca pod podłogami, w studzienkach włazowych, w całej sieci rur, rynsztoków i kanałów, które odprowadzają nieczystości z miasta, wcale nie jest łatwo pozbyć się zwłok. Bo mordercy są głupi, a ciała się rozkładają.

Stałem sam w pokoju operacyjnym numer jeden, wpatrzony w mapę mojego miasta. Za mną, z monitora mojego komputera

uśmiechał się Bradley Wood, czterolatek z figurką Hana Solo w małej piąstce.

Cofnąłem się jeszcze o krok. Czasem z większej odległości łatwiej coś dostrzec.

Pomyślałem, że sam akt morderstwa to najłatwiejsza część zbrodni. Znacznie trudniej jest pozbyć się ciała.

Mordercy są nabuzowani adrenaliną, boją się, że ktoś ich złapie na gorącym uczynku, pocą się ze strachu. Nie mają czasu. Ich ręce i ubrania są pokryte materiałem dowodowym, który pozwala skazać ich na dożywocie. Każda cząstka ich ciała każe im uciekać.

Ci, którzy próbują ukryć swoje ofiary, nigdy nie myślą jasno. Nie biorą pod uwagę nieuchronnych konsekwencji śmierci i rozkładu.

Procesu gnilnego, jak nazywają to patolodzy.

Właśnie dlatego chcę, by po śmierci mnie skremowano.

Tempo rozkładu zależy od wielu czynników, takich jak temperatura otoczenia, ciężar ciała, ubranie, jakim jest okryte, zawartość żołądka w chwili śmierci, rodzaj obrażeń. Inaczej przebiega proces gnilny w powietrzu, inaczej w wodzie, jeszcze inaczej w ziemi.

Jeśli jednak ciało nie jest przechowywane w temperaturze poniżej zera, nic nie może powstrzymać tego procesu.

Zerknąłem w stronę okna. Wciąż było okropnie zimno, ale zima już odchodziła w przeszłość. Śnieg topniał. Zbliżała się wiosna. Jednak pośród tego budzącego się życia wciąż kryły się okrutne fakty śmierci, a te nigdy nie są ładne.

W chwili śmierci wszystko przestaje działać. Nie bije serce. Nie płynie krew. Płuca nie napełniają się powietrzem. Popularny mit głosi, że po śmierci nadal rosną włosy i paznokcie, ale to nieprawda – po śmierci kurczy się otaczająca je tkanka, co może sprawiać wrażenie, że włosy i paznokcie rzeczywiście nadal rosną. Ale tak nie jest. Po śmierci włosy mogą jedynie wypadać, a paznokcie odpadać.

Po śmierci tkanki zostają zniszczone przez bakterie wydostające się z układu pokarmowego. Zniszczeniu ulegają kolejne organy wewnętrzne: najpierw jelita, potem wątroba, nerki, płuca i mózg, a na samym końcu prostata lub macica.

Po trzydziestu sześciu godzinach od chwili śmierci głowa, ramiona i brzuch przybierają zieloną barwę. Potem gazy gromadzące się w różnych jamach rozdymają ciało. Zaczyna się od twarzy. Oczy wychodzą na wierzch. Obrzmiały język wysuwa się z ust. Puchnie głowa. Proces ten dotyka żołądka, a potem skóry, która pokrywa się pęcherzami.

Nos i usta wyglądają tak, jakby wypływała z nich krew, ale w rzeczywistości to ciecz powstała w wyniku całkowitego wyniszczenia tkanek przez bakterie. Hemoglobina zawarta we krwi reaguje z siarkowodorem, w związku z czym naczynia krwionośne przyjmują czarnozieloną barwę i są widoczne na ciele w postaci tak zwanych smug dyfuzyjnych. Wkrótce całe ciało staje się ciemnozielone, niemal czarne.

W końcu ciało otwiera się niczym owoc, który zgnił na słońcu i pękł, by uwolnić zamknięte w nim gazy.

Zmarli nigdy więc nie śpią spokojnie.

Znajdują ich ludzie, którzy wybrali się z psem na spacer, czyściciele kanałów, majsterkowicze zrywający podłogi, kopiący w ogródku albo wybijający otwory w ścianach. Bywa, że prawdę odkrywają również sąsiedzi, do których przenika okropny smród zgnilizny.

Albo ludzie tacy jak ja, którzy wchodzą do jakiejś przerażającej meliny i wyważają drzwi.

Choć nie zawsze. Pomyślałem o Winnie Johnson, matce Keitha Bennetta, jednej z ofiar morderstw na wrzosowiskach. Winnie zmarła niemal po pięćdziesięciu latach bezskutecznych poszukiwań ciała

syna, które zostało ukryte na wrzosowiskach Saddleworth w okolicach Manchesteru. Pomyślałem o Winnie, o tych długich latach, kiedy to pozostawiała w różnych częściach wrzosowisk kwiaty, zabawki i inne symbole miłości.

Tak, zdarzają się i takie sytuacje. Tak, łatwiej ukryć zwłoki dziecka niż dorosłego.

Ale mordercy są głupi.

A ciała się rozkładają.

Z całego serca wierzyłem, że gdyby Bradley Wood zginął, znaleźlibyśmy już jego ciało.

Czubkami palców dotknąłem mapy Londynu.

– On żyje – wyszeptałem.

– Detektywie Wolfe?

Odskoczyłem od mapy jak oparzony.

W drzwiach stała Charlotte Gatling.

Przygryzła dolną wargę.

– Dlaczego on to zrobił? – spytała.

Nie wiedziałem, co jej powiedzieć. Szukałem jakiejś prawdy, którą mogłaby zrozumieć.

– Nie umiem pani wyjaśnić, co dzieje się w głowie szaleńca – tłumaczyłem łagodnie. – Nawkins był obłąkany. Miał obsesję na punkcie pani siostry. Gdyby nie trafiło na Mary i jej rodzinę zabiłby kogoś innego. Nigdy nie powinien był wyjść na wolność. Po tych pierwszych morderstwach, sprzed wielu lat, powinien był trafić do zamkniętego zakładu psychiatrycznego. Powinien trafić do Broadmoor, a nie do Belmarsh, i tam dożyć swoich dni. – Zawahałem się. Dostrzegła to.

– Proszę mówić dalej – powiedziała.

Myślałem o Wren.

– Moja koleżanka stwierdziła, że Nawkins był bardzo nieszczęśliwym człowiekiem, którego do wściekłości doprowadzało szczęście innych. Zobaczył szczęśliwą rodzinę i poczuł, że musi ją zniszczyć. Koleżanka nie jest psychologiem ani psychiatrą, jest policjantką, jak ja, ale jej teoria wydaje mi się równie prawdopodobna jak każda inna.

Nie miałem pojęcia, co jeszcze mógłbym jej powiedzieć.

– Przykro mi – dodałem po krótkiej pauzie.

– Co się stanie z tymi dziećmi? Tymi, które znaleźliście w domu przy Bishops Avenue?

Pokręciłem głową.

– Opieka społeczna spróbuje odesłać je do domu, nawet jeśli niektóre właśnie stamtąd uciekły. Większość trafi do ośrodków opiekuńczo-wychowawczych. Nie mogę pani zapewnić, że wszystkie czeka świetlana przyszłość. Chciałbym, żeby tak było.

Skinęła powoli głową.

– Świat jest rynsztokiem wypełnionym tym, czego chcą ludzie – stwierdziła.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Wciąż stała w drzwiach pokoju operacyjnego numer jeden.

– Co pani tu robi? – spytałem w końcu.

– Rozmawiałam z funkcjonariuszką zajmującą się rodzinami ofiar. Przeglądałam nagrania wideo. Niektóre zrobione telefonem. Czytałam raporty. Przychodzę tu co tydzień. Przedtem wydawało mi się, że dzięki temu robimy jakieś postępy, jesteśmy coraz bliżej celu. Teraz już tak nie uważam. Właściwie to nie ma żadnego sensu. – Widziałem, że zachowała tylko resztki nadziei i wcale mi się to nie podobało. Pokręciła głową. – Wszystkie te absurdalne zgłoszenia do niczego nie prowadzą.

Miałem wrażenie, że zarumieniła się lekko. Być może dlatego, że – jak oboje doskonale wiedzieliśmy – biuro funkcjonariuszki od kontaktów z rodzinami ofiar znajdowało się na pierwszym piętrze. Nie miała żadnego konkretnego powodu, by przychodzić tutaj. I z pewnością nie pomyliła drogi.

– Chciałam panu podziękować – powiedziała w końcu. – I pańskim współpracownikom, oczywiście. Wiem, że sporo ryzykowaliście, żeby schwytać Nawkinsa. Ale na szczęście wszyscy wrócili do domu.

Miała rację. W każdym sensie. Kolejny dzień pracy dobiegł końca. Śledztwo w sprawie morderstwa Woodów również było bliskie zamknięcia.

Komisarz Whitestone i detektyw Wren były w swoich domach, gdzie w towarzystwie najbliższych wracały do zdrowia. Nasz jedyny podejrzany zginął z własnej ręki i – chociaż nigdy nie przyznalibyśmy tego otwarcie – Policja Metropolitalna nie zamierzała zajmować się bez końca poszukiwaniami czteroletniego chłopca, który przepadł bez śladu ponad dwa miesiące wcześniej.

– Wiem, że poświęcacie mojemu siostrzeńcowi mnóstwo uwagi – mówiła Charlotte Gatling. – I znam wszystkie statystyki. Średnio co trzy minuty dochodzi do zaginięcia dziecka. Co roku jest sto tysięcy takich przypadków. Prawdopodobnie kolejne zaginięcie zgłoszono już w trakcie naszej rozmowy. I wiem, że mało które dziecko może liczyć na tyle uwagi co Bradley. – Odetchnęła głęboko, starając się zapanować nad emocjami. – Dlatego właśnie chciałam panu podziękować.

– To moja praca.

– Ale robi pan znacznie więcej, niżby pan musiał, prawda?

Wskazała na zdjęcie uśmiechniętego Bradleya Wooda widoczne na monitorze mojego komputera. Miałem nadzieję, że go nie zauważy. Zastanawiałem się, jak dyskretnie przejść do biurka i wyłączyć

monitor, nim dostrzeże to zdjęcie. Zobaczyła je jednak, gdy tylko stanęła w progu pokoju.

– Zrobiliście już, co do was należało – ciągnęła. – Wasz zespół śledczy zajmuje się morderstwami, a ta sprawa została już rozwiązana. Oboje dobrze wiemy, że każdy upływający dzień zmniejsza szanse na odnalezienie Bradleya żywego. Ale pan wciąż go szuka. Wszyscy poszli już do domu, a pan ciągle tu jest, myśli pan o nim, nie poddaje się, próbuje. Mam rację, prawda?

– Tak.

Zbliżyła się do mnie o krok.

– Dlaczego pan to robi?

– Tato?

Scout podniosła głowę znad biurka. Przetarła zaspane oczy i obróciła się kilka razy na fotelu, nie dotykając nogami podłogi. Stan, który leżał na podłodze pod fotelem, poruszył się na dźwięk jej głosu, ziewnął głośno i zaczął się przeciągać.

Scout zeskoczyła na podłogę.

– Siusiu – oznajmiła, ruszając do drzwi.

– Dasz sobie radę z zamkiem? – spytałem.

– Pewnie, to proste – odpowiedziała, wychodząc z pokoju w towarzystwie zadowolonego psa.

Spojrzałem na Charlotte Gatling.

– Robię to dla niej – powiedziałem.

28

Nie powiedziałem Charlotte Gatling, że napływa do nas coraz mniej informacji dotyczących Bradleya. Wariaci, detektywi amatorzy i zwykli obywatele pełni dobrych intencji zajęli się innymi sprawami.

Z parku w Notting Hill zniknęły dwie pięciolatki, bliźniaczki, które przebywały tam pod opieką włoskiej niani uzależnionej od Twittera. Podczas gdy młoda Włoszka przeglądała nowe wpisy, dziewczynki zaginęły. Rodzice bliźniaczek pracowali w City, a zaginięcie dzieci sprowokowało całą lawinę artykułów o zapracowanych rodzicach, zachwianej równowadze między zarabianiem i wychowaniem dzieci oraz o powierzaniu potomstwa obcym ludziom.

Bradley Wood był już przebrzmiałym tematem.

Jako że Wren i Whitestone wciąż przebywały na urlopie, następnego dnia przejrzeliśmy z posterunkowym Greene'em ostatnie doniesienia o Bradleyu. Rozesłaliśmy mundurowych, by dokonali lokalizacji, przesłuchań i eliminacji. Przepuściliśmy wszystkie dane przez HOLMES-a. Jednak żadna z informacji nie wydawała się godna większej uwagi, więc bez skrupułów zostawiłem to zadanie Billy'emu, gdy nad Savile Row zapadła ciemność.

Byłem umówiony w Czarnym Muzeum.

. . .

Stałem obok sierżanta Johna Caine'a w cichym zakątku muzeum poświęconym Rzeźnikowi.

Nic się tu nie zmieniło. Po tylu wysiłkach, naszej ciężkiej pracy, bólu i krwi wszystko wyglądało tak samo. Nie wiem, czego właściwie oczekiwałem, ale byłem niemal zszokowany faktem, że fragment wystawy poświęcony Rzeźnikowi nie zmienił się ani trochę od mojej ostatniej wizyty.

Na małym stoliku wciąż leżał pistolet do uboju bydła przypominający ręczną wiertarkę. Pod zakurzonym szkłem tkwił ten sam pożółkły kawałek gazety z artykułem sprzed trzydziestu lat:

UBÓJ RYTUALNY NA FARMIE W ESSEX
Rzeźnik w morderczym szale zabija ojca i trzech synów

Wczoraj skazano na dożywocie mężczyznę, który pistoletem do uboju bydła zabił ojca i jego trzech dorosłych synów…

Dwie fotografie towarzyszące artykułowi wyglądały tak samo jak przedtem. Potężnie zbudowany, przystojny młodzieniec o kompletnie pozbawionej wyrazu twarzy, skuty kajdankami i prowadzony przez umundurowanego policjanta.

– Będziesz to aktualizował? – spytałem kustosza Czarnego Muzeum. – Skoro Nawkins już nie żyje…

John Caine pokręcił głową.

– A historia Rzeźnika dobiegła końca? Nie będę się tym zajmował. Szczerze, tutaj nie chodzi o takich jak on. – Wskazał głową na znacznie większą i czystszą gablotkę w pobliżu. – Chodzi o takich jak oni.

Z wnętrza gabloty patrzyły na mnie twarze opatrzone napisem: NASI ZAMORDOWANI KOLEDZY. Oficjalne fotografie do dokumentów, lecz niemal na każdej z nich widać było uśmiech skryty pod mniej lub bardziej poważną miną.

– A jak zachowywał się Peter Nawkins przed śmiercią? – spytał John Caine.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę.

– Dziwnie – stwierdziłem w końcu. – Patrzył na mnie tak, jakby nigdy w życiu nikogo nie zabił.

Sierżant Caine roześmiał się gorzko.

– Tak, więzienia są pełne niewinnych ludzi, prawda?

Szliśmy przez opustoszałe Czarne Muzeum, John Caine gasił po drodze światła. Mieści się tu prawdopodobnie jedna z największych kolekcji narzędzi zbrodni na świecie, ja jednak przystanąłem przed zdjęciem kobiety, która nigdy w życiu nie posłużyła się bronią. Maisy Dawes, wiktoriańska pokojówka z Belgravii, która została wrobiona we włamanie, a potem wtrącona do więzienia za przestępstwo, którego nie popełniła.

– Maisy Dawes – powiedziałem głośno. – Co stało się z ludźmi, którzy ją wrobili?

– O ile mi wiadomo, wszyscy umarli ze starości w swoich łóżkach – odparł sierżant John Caine. – To była bardzo dobra zmyłka. Co cię trapi, Max?

– Sierżant Sallis. Miejscowy gliniarz, który przyszedł z nami do mieszkania, gdzie ukrywał się Nawkins. – Pokręciłem głową. – Nawkins go nie zabił, John. Nie strzelał do niego z jakiejś śmiesznej pukawki, która robi więcej huku niż szkody. Miał strzelbę kalibru dwanaście milimetrów. Z tej odległości łatwiej było mu trafić w Sallisa niż w ścianę. A jednak chybił. Dlaczego?

John Caine wzruszył ramionami.

– Nie wiem, synu. Może się spietrał. Mordercy zwykle nie są odważni. Mordercy to zwykle tchórze. Chcesz się napić i pogadać o tym? Zamówisz sobie potrójne espresso, ja zrobię herbatę i poszalejemy.

– Innym razem, John.

– Masz randkę, co?

– Tak. Swego rodzaju randkę.

. . .

Szukałem Ginger Gonzalez w American Bar w Savoyu, ale nie było jej tam.

Szukałem jej w Coburg Bar w Connaught, w Rivoli Bar w Ritzu, w Fumoir w Claridges i w Promenade Bar w Dorchesterze. Ale tam też jej nie było.

Jechałem do domu obok Broadcasting House przy Portland Place, gdy zobaczyłem światła w oknach Langham Hotel. Co prawda nie było go na liście Ginger, ale wcale nie miałem pewności, że podała mi całą listę.

Artesian Bar w Langham pachniał pieniędzmi. Dyskretnymi, dużymi pieniędzmi. Wielkie okna wychodzące na ulicę paradoksalnie pogłębiały wrażenie przytulności, sprawiały, że goście czuli się wyjątkowo dobrze w tym miejscu pełnym przytłumionych świateł, śmiechu i wygodnych siedzeń obitych fioletowym pluszem, które zachęcały do dłuższego odpoczynku.

Ginger Gonzalez siedziała przy oknie i uśmiechała się nad kieliszkiem szampana do swojego towarzysza. Kiedy ten pochylił się, by coś jej powiedzieć, dojrzałem w blasku świecy jego twarz.

Był to Nils Gatling.

Usiadłem przy barze, zwrócony plecami do sali. Widziałem ich wyraźnie w lustrze zawieszonym nad barem. Po chwili podszedł do mnie barman.

– Czym mogę panu służyć?

– Poproszę potrójne espresso.

Dostrzegłem wyraz zdumienia na jego twarzy i zerknąłem na zegarek. Zbliżała się północ.

– No dobrze, niech będzie podwójne. – Westchnąłem.

– Tak jest.

To był dobry bar.

Nils Gatling i Ginger Gonzalez zachowywali się ze swobodą właściwą dobrym znajomym. Ale Ginger zawsze się tak zachowywała. Równie dobrze mogła go poznać przed pięcioma minutami.

Barman podał mi kawę. Wypiłem ją, gdy Nils Gatling przechodził właśnie za moimi plecami, zmierzając do wyjścia. Ginger została przy stole. Kiedy zobaczyła, że do niej idę, jej oczy zapłonęły gniewnym blaskiem. Szybko jednak opanowała emocje i przybrała obojętną minę.

– Detektywie Wolfe – przywitała mnie.

– Twój towarzysz już sobie poszedł? – spytałem.

– Wrócił do swojego pokoju. Wynajmuje tu apartament.

– Nils Gatling wynajmuje apartament w Langham? Przecież jego rodzina ma dom przy Fitzroy Square! To zaledwie kilometr stąd. Dlaczego płaci jeszcze za apartament?

Ginger spojrzała na mnie z politowaniem. Cóż mogłem wiedzieć o zwyczajach bogaczy?

– Bo może – wyjaśniła krótko.

Usiadłem naprzeciwko niej, na wciąż ciepłym krześle.

– Potrzebuję dziewczyny – powiedziałem.

Roześmiała się gorzko, jakby właśnie utwierdziła się w przekonaniu, że wszyscy mężczyźni są tacy sami.

– Jakiej dziewczyny? – spytała.

– Miłej – odparłem. – Musi być miła. To bardzo ważne. I inteligentna. Naprawdę bystra. Z wyższym wykształceniem. Aha, i musi jeszcze być bardzo ładna. Piękna.

Ginger Gonzalez dokończyła szampana i westchnęła.

– Nic dziwnego, że nie masz szczęścia w miłości.

. . .

Ginger wysłała SMS-a, a potem oboje cierpliwie czekaliśmy. Ja wypiłem następne espresso, a ona jeszcze jeden kieliszek szampana. Po raz pierwszy, odkąd ją poznałem, wydawała się lekko pijana.

– Długo znasz Nilsa Gatlinga? – spytałem.

– Jakiś czas.

Zrozumiałem, że nie chce o tym rozmawiać. Pewnie czuła się w obowiązku zachować dyskrecję. Może alfonsów i ich klientów łączy coś w rodzaju tajemnicy zawodowej, podobnej do tajemnicy lekarskiej.

– Jesteś zaskoczony, detektywie? – spytała po chwili.

Skinąłem głową.

– On ma żonę, prawda? – upewniłem się.

Uśmiechnęła się, szczerze rozbawiona.

– A jakie to ma znaczenie? Brad Wood też miał żonę, prawda?

– Tak właśnie poznałaś Nilsa Gatlinga? Przez jego szwagra?

Pokręciła szybko głową.

– Nie, skąd. Najpierw poznałam jego ojca, Victora Gatlinga. – Zawahała się na moment. – Victor Gatling był pierwszym prawdziwym mężczyzną, jakiego poznałam po przyjeździe do Stanów.

– Czyli pierwszym bogatym mężczyzną – domyśliłem się.

– Czyli pierwszym mężczyzną, który wiedział, jak radzić sobie w tym świecie. Pierwszym mężczyzną, który wiedział, jak należy traktować kobietę. Byłam bardzo młoda. Lubił mnie. A właśnie umarła jego żona.

– Jednak nic z tego nie wyszło.

– Nie byłam tym, czego potrzebował.

– A czego potrzebował?

– Więcej czasu spędzonego z rodziną. Ale utrzymywaliśmy kontakty. Nilsa znam od lat. Współpracowałam też z jego firmą, Gatling Homes.

– Nie wiedziałem, że zajmowałaś się nieruchomościami. Choć chyba rzeczywiście byłabyś dobrą agentką…

– Mają wielu klientów, którymi trzeba się należycie zająć.

– Na pewno.

– Jest już twoja dziewczyna.

Zina była wysoka, ładna i zmęczona. Wstałem, by uścisnąć jej dłoń. Nie usiadła. Zostawiłem na stole pieniądze za kawę i wszyscy wyszliśmy.

W drodze do bmw X5 dowiedziałem się, że Zina jest Rumunką, choć minęło już dziesięć lat, odkąd wyjechała z Bukaresztu. Miała teraz dwadzieścia sześć lat. W innym świecie byłaby bizneswoman albo matką.

Nie dopytywałem o jej dyplom magisterski.

. . .

Jechaliśmy we troje na wschód.

Ginger i Zina siedziały na tylnych fotelach X5. Zerkałem na nie w lusterku wstecznym, ale głównie słuchałem ich rozmowy – typowej londyńskiej dyskusji o tym, gdzie powinny zamieszkać. Jakie okolice były modne, a jakie dopiero miały się takie stać, gdzie najłatwiej o dobre restauracje i kawiarnie, gdzie jest bezpiecznie, a gdzie nie, gdzie drogo, a gdzie jeszcze ciągle w miarę przystępnie, gdzie można coś utargować.

– Zastanawiam się nad Shoreditch – powiedziała jedna z kobiet.

Odchrząknąłem dyskretnie.

– Co z pieniędzmi? – spytałem. Nie miałem na myśli Shoreditch.

Zina patrzyła na ulicę. Mijaliśmy właśnie dworzec Liverpool Street. Ostatni, podchmieleni pasażerowie zajmowali miejsca w pociągu do Essex.

Ginger dotknęła lekko mojego ramienia.

– Możesz zapłacić mi później – odparła. – Gotówką, kartą kredytową albo przelewem. Nie musisz się tym teraz przejmować. Wiem, że zapłacisz.

Skinąłem głową. Kilka następnych kilometrów pokonaliśmy w milczeniu.

– To tutaj – powiedziałem w końcu.

Przed wejściem do szpitala Homerton stało kilku skulonych, owiniętych szlafrokami pacjentów, którzy wyszli na papierosa. Jeden z nich nosił ze sobą coś w rodzaju butli tlenowej. Inny miał opuchnięte dłonie, co zwykle było efektem ubocznym chemioterapii.

Nikt nawet na nas nie spojrzał, kiedy weszliśmy do środka.

Policjant, stręczycielka i prostytutka.

Bez trudu wmieszaliśmy się w tłum.

Curtisa Gane'a przeniesiono do innej sali, również jednoosobowej. Stanęliśmy przed drzwiami, a ja po raz pierwszy zastanowiłem się, czy to dobry pomysł.

– Ciągle bardzo go boli – zwróciłem się do Ziny. – Jest wściekły. I przygnębiony. Wie, że nigdy już nie będzie chodził. Więc nie będzie też…

Zina pocałowała mnie lekko w policzek.

– Rozumiem – powiedziała. – Nie martw się. Dobrze zrobiłeś.

Wsunęła się cicho do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Ginger i ja pochyliliśmy głowy, nasłuchując.

– …kim pani jest?

Sięgnąłem do klamki, usłyszawszy niepokój w jego głosie. Ginger położyła mi dłoń na ramieniu i pokręciła głową.

– Już to robiłyśmy – powiedziała cicho.

– Ale ja nic nie mogę zrobić – odezwał się ponownie Gane z zawstydzeniem, od którego krajało mi się serce.

– Nie przejmuj się – odpowiedziała Zina. – Przyszłam, żeby cię przytulić.

. . .

Milczeliśmy oboje, dopóki nie znaleźliśmy się na zewnątrz, obok pacjentów palących papierosy.

– *Salamat po* – powiedziałem. – Mówię szczerze, Ginger. Dziękuję ci bardzo.

– Mówisz po tagalsku.

– Jestem policjantem, który pracuje w Londynie – odparłem. – Znam kilka słów w pięćdziesięciu różnych językach.

Przesunęła czubkiem palca po mojej twarzy.

– A znasz słowo *gwapo*? – spytała. – Po tagalsku to „przystojny”.

– Znam słowo *bola-bola* – odparłem. – Po tagalsku to „bzdura”.

Roześmiała się.

– A co z tobą, detektywie? Chcesz, żebym gdzieś zadzwoniła? A może ktoś już na ciebie czeka?

Robiło się późno.

Czas odciążyć panią Murphy.

– Tak, ktoś na mnie czeka – potwierdziłem.

29

Patrzyłem na śpiącą Scout.

W drzwiach pojawił się Stan, który węszył w powietrzu i zerkał na łóżko, zastanawiając się pewnie, czy zdoła zakraść się do Scout i pospać obok niej kilka godzin. Pogroziłem mu palcem, wyszedł więc za mną pokornie, i cicho zamknąłem za sobą drzwi sypialni.

Pani Murphy wkładała płaszcz.

– Scout chce sukienkę – powiedziała.

Stan wskoczył na sofę i przysłuchiwał się z zainteresowaniem. Pani Murphy podrapała go za uszami, a psiak przymknął oczy, uszczęśliwiony.

– Sukienkę? – powtórzyłem w osłupieniu. Za wielkimi oknami naszego loftu lśniły światła Smithfield. Pod srebrnym księżycem pyszniła się kopuła katedry Świętego Pawła.

– Sukienkę Belli – wyjaśniła pani Murphy. – Z *Pięknej i Bestii*.

Pokręciłem głową. Wciąż nie miałem pojęcia, o czym mówi.

– Jej przyjaciółka Mia, ta mała Australijka, wydaje przyjęcie dla księżniczek – tłumaczyła cierpliwie opiekunka Scout.

To było dla mnie zupełnie nowe i obce terytorium. Czułem się jak człowiek, który znalazł się nieoczekiwanie na scenie i jako jedyny nie znał swojej kwestii.

– Co mam z tym zrobić? – spytałem.

– Poszukać sukienki w internecie – odparła pani Murphy.

Tak też zrobiłem.

Stan spał u moich stóp, gdy siedziałem w kuchni z laptopem i oglądałem uśmiechnięte dziewczynki w wieku Scout wystrojone w suknie z różowo-złotymi falbanami. Zrozumiałem już, że będę musiał kupić nie tylko suknię, ale i rękawiczki Belli, buty Belli i diadem Belli.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

Scout naprawdę chciała nosić to wszystko?

Nagle poczułem dojmujący smutek i uświadomiłem sobie, że to ból samotności rodzica, który musi w pojedynkę wychowywać dziecko. Pojawił się znikąd i uderzył z szokującą siłą, był niczym nieoczekiwany cios w pierś.

Pomyślałem, że w samotnym wychowaniu dziecka trudne są nie tylko te złe, ale i te dobre chwile.

. . .

– Rocky ma w sobie złość – mówił Fred. – Szybkość, wyczucie chwili, siła, to wszystko ma znaczenie, ale bez złości niczego nie osiągniesz.

Staliśmy przy ringu w Amatorskim Klubie Bokserskim Smithfield i obserwowaliśmy, jak Rocky rozprawia się ze swoim sparingpartnerem. Był to zawodnik wagi półciężkiej, ubrany w sfatygowaną koszulkę Wild Card i ochraniacz na głowę ze specjalnym paskiem na dole. Takie kaski mają za zadanie chronić usta, ale Rocky uderzał tak mocno, szybko i często, że ochraniacz co chwila zsuwał się z głowy przeciwnika.

Teraz dostrzegałem tę mroczniejszą stronę natury Rocky’ego, widziałem, że jest głęboko schowana, ukryta za przyjaznym uśmiechem i ujmującymi manierami. Przypomniałem sobie, jak patrząc mi prosto w oczy, powiedział, że nikt z Oak Hill Farm nie

pracował w Ogrodzie. Prawdę mówiąc, ucieszyłbym się, gdyby jego sparingpartner sprawił mu porządne lanie.

Jednak zawodnik w kasku miał coraz większe trudności. Dyszał ciężko, coraz wolniej się poruszał, wydawał się lekko oszołomiony. Rocky wciągnął go w wyniszczającą walkę, choć sam wydawał się zadziwiająco świeży i zwinny. Teraz gołym okiem widać było jego drapieżną naturę.

Zaatakował przeciwnika kombinacją siedmiu uderzeń. Lewy prosty, prawy prosty, lewy sierpowy na korpus, lewy sierpowy na głowę, prawy prosty, lewy hak, prosty i odejście na bezpieczną odległość, poza zasięg rąk rywala, który w akcie desperacji wziął szeroki zamach i nadział się na potężny prawy sierpowy Rocky'ego.

Skutki trafienia były przerażające. Prawy sierpowy zachwiał ciałem boksera i choć ten, wsparty na silnych nogach, nie upadł, była to jedna z tych chwil, gdy każdy wielbiciel boksu pyta: „Co właściwie mi się w tym podoba?". Zadźwięczał gong, a przeciwnicy uścisnęli się na zakończenie walki. Wokół ringu rozległy się oklaski.

Fred spojrzał na mnie znacząco. W Amatorskim Klubie Bokserskim nie klaskano. Tutaj nigdy nie chodziło o brawa.

Jednak w miarę jak zbliżała się jego pierwsza zawodowa walka, sparingi Rocky'ego przyciągały coraz więcej kibiców. Otaczało go coraz większe zainteresowanie. Jakiś dziennikarz przygotowywał notatki, dwaj fotoreporterzy robili mu zdjęcia – aparatami, a nie telefonami. W klubie pojawili się ludzie, których nie widzieliśmy tu nigdy przedtem – biali mężczyźni w garniturach i krawatach, eleganccy i bezwzględni promotorzy boksu zawodowego.

Podobała im się historia życia tego chłopaka, podobały im się jego styl i jego złość. Choć poza ringiem nigdy tego nie okazywał, w czasie walki budziły się w nim drapieżność, brutalność i okrucieństwo,

najlepsi przyjaciele każdego boksera, który na poważnie myśli o karierze zawodowej.

– Zarobi dla kogoś kupę kasy – powiedział Fred. – Mam nadzieję, że uszczknie też coś dla siebie i rodziny.

Echo Nawkins siedziała na stopniach ringu, obok Rocky'ego, gdy ten rozmawiał z dziennikarzem. Siedziała przy swoim mężczyźnie i od czasu do czasu przesuwała dłonią po brzuchu, jakby głaskała rosnące w niej dziecko.

Oak Hill Farm, pomyślałem. Tam pobierają się bardzo młodo.

Ani Rocky, ani Echo nie okazywali, że są świadomi mojej obecności. Jednak gdy wywiad dobiegł końca, oboje podeszli do mnie.

– Wiem, że jesteś na mnie zły – zaczął Rocky. – Bo nie powiedziałem ci, że pracowaliśmy w Ogrodzie.

– Mówisz o tym tak, jakbyś zapomniał o moich urodzinach – odparłem. – A to coś znacznie poważniejszego.

Rocky ściągał z dłoni owijkę, rozwijał przepocony pasek z czarnej bawełny.

– Problem w tym – mówił dalej – że patrząc na Petera Nawkinsa, widziałeś zabójcę. Ja widziałem przyzwoitego człowieka, który zapłacił za swoje grzechy i próbował prowadzić normalne życie.

– Problem w tym – odparłem – że zataiłeś ważne informacje podczas śledztwa w sprawie morderstwa. Problem w tym, że to naruszenie prawa. Utrudnianie pracy policji. Mogę jeszcze oskarżyć cię o współudział w zbrodni.

– Próbowałam powiedzieć wam prawdę – odezwała się Echo, podchodząc bliżej. – Ale was nie interesowała prawda! – W jej oczach pojawiły się łzy, usta wykrzywił grymas gniewu. – A teraz już go nie ma. – Zaczęła bezradnie szlochać.

– Przepraszam – powiedział Rocky, tuląc ją do siebie. – Za wszystko. Naprawdę.

Odwrócił się i odprowadził Echo. W tym samym momencie zawibrował mój telefon.

DZWONI POKÓJ NR 1 – głosił napis na ekranie, choć Wren i Whitestone wciąż były na urlopie. Nie przypuszczałem nawet, że ktoś tam jeszcze pracuje.

– Przyszła do nas pewna starsza pani – poinformował mnie Billy Greene. – Mówi, że widziała Bradleya Wooda w NP z NM.

Omal się nie roześmiałem. Kolejne doniesienie o dziecku widzianym w nieznanym pojeździe z nieznanym mężczyzną.

– Dlaczego po prostu nie spiszesz jej zeznań? – spytałem.

– Bo wydaje mi się, że mówi prawdę – odparł.

. . .

– Mam troje dorosłych dzieci i siedmioro wnuków – powiedziała Margaret Duffy ze Stow-on-the-Wold.

– To wspaniale. – Pokiwałem głową.

Spojrzała na mnie tak, jakby chciała mi rozszarpać gardło.

– Nie przyszłam tu na pogawędki, młody człowieku – wycedziła. – Chcę wyjaśnić, że wiem, jak zachowują się dzieci. Sama wychowałam troje i spędziłam mnóstwo czasu z wnukiem, kiedy moja córka się rozwiodła. Znam dobrze ich nastroje. Wiem, kiedy robią fochy, kiedy są zmęczone, a kiedy wystraszone. I nigdy dotąd nie widziałam chłopca takiego jak ten. Dlatego specjalnie przyjechałam pociągiem do Londynu. Dlatego wolałam powiedzieć o tym wam, zamiast tracić czas na rozmowy z kmiotkami z mojego komisariatu. – Zrobiła krótką pauzę i rozejrzała się dokoła. – Więc to jest główny pokój operacyjny? – spytała.

– Nie, to pokój, w którym prowadzimy przesłuchania – odparłem. Potem wskazałem na Greene'a stojącego w drzwiach. – Pani Duffy,

może po prostu powie mi pani to samo, co powiedziała posterunkowemu Greene'owi?

Starsza pani spojrzała na niego z czułością.

– Był bardzo uprzejmy – oznajmiła, kiwając głową z aprobatą. – Młody William. Powiedział, że powinnam porozmawiać z kimś bardziej doświadczonym i starszym stopniem. – Obrzuciła mnie taksującym spojrzeniem, a ponieważ przyjechałem prosto z klubu, wciąż ubrany w przepocony dres, nie zrobiłem na niej najlepszego wrażenia. – Czyli pewnie z panem.

Czekałem.

– Ponieważ zamknęli kiosk koło mojego domu, chodzę po gazetę na stację benzynową. Lubię poczytać poranną gazetę. Był tam mężczyzna z małym chłopcem. Nigdy nie widziałam tak zagubionego dziecka. Jakby miał wrażenie, że jego życie zamieniło się w sen. Albo koszmar.

Podsunąłem jej zdjęcie, na którym uśmiechnięty Bradley Wood siedzi na rękach u mamy i macha do aparatu ulubioną zabawką.

– Czy widziała pani właśnie to dziecko, pani Duffy?

– Dziecko, które widziałam, było starsze – odparła. – Kiedy zrobiono to zdjęcie? Powinniście mieć jakieś nowsze. Dzieci mogą się bardzo zmienić w ciągu kilku miesięcy, panie posterunkowy.

– Detektywie – poprawiłem ją, starając się przy tym nie wzdychać ciężko.

Kolejna wariatka. Kolejny ślepy trop. Wstałem, zbierając się do wyjścia.

– Och, najmocniej pana przepraszam, detektywie – powiedziała z przekąsem, grzebiąc w torebce. – Nie mogę powiedzieć, że z całą pewnością widziałam dziecko z tego zdjęcia, bo zdjęcie jest bardzo stare. Ale chłopczyk upuścił to, zanim mężczyzna wciągnął go do samochodu.

Położyła na biurku dwudziestocentymetrową figurkę Hana Solo.

Klasyczny Han Solo – biała koszula, czarna kamizelka, skórzane buty z cholewami. Bezczelny kapitan Sokoła Millennium. Podniosłem figurkę, wstrzymując odruchowo oddech.

– A to ta sama zabawka, prawda? – dorzuciła Margaret Duffy.

. . .

Zadzwoniłem do drzwi dużego domu przy Fitzroy Square.

– On żyje – powiedziałem, wyciągając przed siebie rękę.

Charlotte Gatling wpatrywała się w poobijaną figurkę Hana Solo, która leżała na mojej dłoni. Potem wzięła ją ode mnie. A potem mnie pocałowała.

Niezdarny, rozgorączkowany pocałunek, usta, które wyszły z wprawy, milczenie przerywane zdławionymi oddechami.

Ciepło jej ciała w moich ramionach. Chwila odwlekana tak długo, jakby już nigdy nie miała nadejść.

A jednak nadeszła – twarz Charlotte przy mojej twarzy, jej skóra pod moimi palcami, jej dłonie w moich włosach, jej cudowna piękna obecność, nagle pełna nadziei, oszalała z nadziei, upojona nadzieją, jej dłoń wciąż zaciśnięta na galaktycznym kowboju, oparta o tył mojej głowy.

Wciągnęła mnie do środka i zamknęła drzwi.

30

Staliśmy w holu, a ja mówiłem jej wszystko, co wiedziałem.

Potok słów, jej smak wciąż na moich ustach.

Telefon od posterunkowego Billy'ego Greene'a. Pani Duffy ze Stow-on-the-Wold w pokoju przesłuchań w komisariacie głównym na West Endzie. Dziecko, które zobaczyła na stacji paliw. Porzucona zabawka. I pewność – całkowita pewność – pani Duffy, że to chłopiec pokazywany w wiadomościach, choć teraz nieco starszy, a przecież pani Duffy to matka i babcia, która dobrze wie, jak szybko zmieniają się dzieci.

Mimowolnie posługiwałem się żargonem policyjnym, mówiłem o działaniach podejmowanych za pośrednictwem HOLMES2, o dyrektywie, która stawia w stan gotowości dodatkowe jednostki policji, o błyskawicznej akcji zatwierdzonej przez moją zwierzchniczkę, komisarz Whitestone, i zmierzającej do poinformowania wszystkich funkcjonariuszy w kraju o rozwoju wydarzeń. W końcu jednak przerwałem i powtórzyłem to, co najważniejsze:

– Bradley żyje.

Charlotte ponownie spojrzała na figurkę Hana Solo, skinęła głową i podeszła bliżej.

Potem przez dłuższy czas nie padło między nami ani jedno słowo.

Milczeliśmy w holu, gdy wzięła mnie za rękę, i na schodach, gdy prowadziła mnie na najwyższe piętro domu przy Fitzroy Square. Nie mówiliśmy nic w sypialni, gdzie wciąż nieco oszołomieni i cudownie

onieśmieleni, rozebraliśmy się szybko. Nie było też miejsca na słowa, gdy nasze usta szukały się nawzajem i odnajdywały w radosnym uniesieniu, nie wydawaliśmy żadnych dźwięków oprócz westchnień i tłumionych krzyków, gdy kochaliśmy się gwałtownie i czule zarazem. Za oknami zapadła noc, a sypialnię rozświetlały jedynie latarnie Fitzrovii.

Nie padły między nami żadne słowa, kiedy leżeliśmy przytuleni do siebie, zdyszani i odurzeni, tak sobie bliscy, że nie wiedziałem, gdzie kończy się ona, a gdzie zaczynam ja.

Pocałowałem ją delikatnie w usta, mógłbym całować ją tak bez końca, czując, jak wzbierają we mnie żar i szalona radość.

– Max – powiedziała cicho. – To dla mnie trudne.

– Rozumiem – odparłem. Nie chciałem żadnych słów, czułem, że są niepotrzebne.

Ponownie ucałowałem jej twarz, potem ramiona i dłonie, sycąc się jej smakiem i dotykiem. Dopiero teraz zauważyłem podłużną białą bliznę przecinającą jej nadgarstek, charakterystyczny ślad samookaleczenia.

– Nie. – Pokręciła głową, chowając rękę pod kołdrą. – Niczego nie rozumiesz. Ale jesteś miły, prawda? Jesteś dobry.

Pocałowała mnie w rękę. W jej oczach lśniły łzy. Zaczynała mnie przerażać.

– Nie chodzi o ciebie – powiedziała, a ja się wzdrygnąłem. Kiedy ktoś mówi: „Nie chodzi o ciebie”, zwykle oznacza to: „Chodzi właśnie o ciebie”.

Ale nie tym razem.

– Powiedz mi – poprosiłem. Kolejne pocałunki. – Zaufaj mi.

Nie wiedziałem, co się dzieje.

Nie rozumiałem, gdzie popełniłem błąd.

– O co chodzi? – pytałem dalej. – Powiedz mi, dlaczego to dla ciebie trudne. Bo mnie wcale nie wydaje się trudne. To najbardziej naturalna i najcudowniejsza rzecz na świecie.

Nie patrzyła na mnie. Mogła mi powiedzieć albo na mnie patrzeć. Ale nie mogła robić obu tych rzeczy jednocześnie.

– Chodzi o sprawy, które wydarzyły się wiele lat temu – zaczęła. – Kiedy byłam bardzo młoda. Po śmierci mojej matki. – Wzięła głęboki oddech, a potem powoli wypuściła powietrze. – Wszystko się wtedy rozpadło. Ojciec pił… o Boże, pił strasznie dużo. – W końcu na mnie spojrzała. – Nie wiedział, co się wokół niego dzieje.

Czułem, jak narasta we mnie strach.

Coś mrocznego weszło do tego domu, do tej sypialni, do tego łóżka.

– Co się wtedy stało? – spytałem. Nagle zrobiło mi się słabo, ogarnęła mnie fala nudności, bo domyśliłem się już, co ją wtedy spotkało.

Zobaczyłem, jak znów wykonuje ten charakterystyczny gest, obejmuje prawą dłonią lewy nadgarstek, i zrozumiałem wreszcie, że próbuje ukryć w ten sposób blizny, pozostałość po ranach, które przed laty sama sobie zadała.

– Wykorzystywano cię seksualnie – powiedziałem zszokowany i zrozpaczony.

Milczała.

– Kto to zrobił?

Wciąż milczenie.

Wiedziała, że chciałem zabić człowieka, który to zrobił.

Zabić go jeszcze tej nocy.

– W domu? – pytałem dalej.

Skinęła lekko głową. Nie patrzyła na mnie.

– W domu. Tak.

– A Mary?

– Ona miała jeszcze gorzej.

– Bo była starsza?

Charlotte roześmiała się ponuro.

Nigdy nie słyszałem takiego rozgoryczenia w czyimś śmiechu.

– Bo była ładniejsza.

W pokoju zapadła złowieszcza, gęsta cisza. Teraz chciałem wiedzieć wszystko. Chciałem poznać całą przerażającą prawdę.

– Dlatego twoja matka się zabiła?

Charlotte nagle się rozzłościła.

– Moja mama się nie zabiła. Wpadła… wpadła pod pociąg… moja mama…

Umilkła, jakby zawstydzona swoją reakcją.

– Kto? – spytałem.

– Nie rozmawiajmy już o tym. – Pocałowała mnie. – Dobrze? Niech będzie tak, jak przedtem – dodała, obejmując mnie mocno.

– Wiesz, kto wykorzystuje seksualnie dzieci? – spytałem. – Prawie zawsze członkowie ich rodzin. Statystyki są jednoznaczne. Owszem, zdarza się, że to ktoś obcy, ale nie tak często, jak się ludziom wydaje. Zwykle to ktoś zaufany. Ktoś, kto ma łatwy dostęp. – Pokręciłem głową. – Mówisz o swoim ojcu.

Ukryła twarz w poduszce.

– Nie – usłyszałem jej cichy, przytłumiony głos.

– Twoja matka się zabiła, prawda?

– Tak.

– Dlaczego?

– A dlaczego ludzie się zabijają? Bo życie jest nie do zniesienia.

Wstałem z łóżka.

– Przykro mi, Charlotte.

Mówiłem prawdę. Było mi przykro z wielu powodów. Z powodu jej matki. Jej bólu. I tego, co musiałem teraz zrobić.

Sam nie wiedziałem do końca, co się dzieje. Nie wiedziałem, co to oznacza. Byłem jednak pewien, że muszę jak najszybciej zobaczyć się z pewną osobą.

Pozbierałem rozrzucone na podłodze ubranie i zacząłem je wkładać.

Charlotte usiadła na łóżku.

– Proszę, posłuchaj mnie – powiedziała. – Mój ojciec był dobrym człowiekiem.

Nadal się ubierałem.

Wstała z łóżka, złapała mnie za rękę i odwróciła do siebie.

– Posłuchaj mnie!

Był to głos człowieka przywykłego do rozkazywania, kogoś, kto dorastał w otoczeniu służby.

– Nie możesz teraz wyjść – mówiła. – Nie wyjdziesz. Nie chcę, żebyś wychodził!

– I ja nie chcę nigdzie iść. Chcę zostać z tobą. Najchętniej zostałbym z tobą na zawsze. Ale muszę iść.

– To sprawa osobista.

Skinąłem głową. Jednak nie przestawałem się ubierać. Patrzyła na mnie udręczonym wzrokiem.

– Nie powiedziałam ci tego dlatego, że chcę, żebyś coś z tym zrobił. Powiedziałam ci, bo chcę, żebyś zrozumiał!

To był kluczowy moment. Jeśli miałem zostać, to właśnie teraz.

– Muszę pracować – powiedziałem.

Zaklęła głośno.

– Nie możesz nikomu o tym powiedzieć! Nie możesz tego wykorzystać!

Próbowałem ją pocałować po raz ostatni.

Odwróciła głowę.

– Nie.

– Muszę iść.

– Jeśli teraz wyjdziesz, nigdy już tu nie wracaj.

Słyszałem jej płacz, gdy schodziłem na dół.

Han Solo leżał w holu na parterze. Podniosłem go i schowałem do kieszeni swojej skórzanej kurtki.

Potem wyszedłem na Fitzroy Square i postawiłem kołnierz, jakbym chciał się w ten sposób osłonić przed ciemnością i przenikliwym zimnem.

31

– Wiem, dlaczego Mary Wood chodziła do pana na terapię – powiedziałem do doktora Joego. – I wiem, co działo się w tej rodzinie. Nie mówię o Woodach. Mówię o Gatlingach.

Byliśmy w księgarni w Notting Hill. Właściwie minęła już godzina zamknięcia sklepu, ale lokal pełen był wesołych, rozgadanych ludzi, którzy czekali na spotkanie autorskie z doktorem Joem w związku z jego najnowszą książką. Wyszliśmy z głównej sali, by porozmawiać spokojnie w wypełnionym książkami zaułku. Dochodziły nas strzępki intelektualnych dyskusji publiczności.

– Max – odpowiedział cicho. – Mary przychodziła do mnie z tych samych powodów co inni klienci. Próbowała się dowiedzieć, jak normalnie żyć w tym świecie.

– Wiem, że w dzieciństwie była wykorzystywana seksualnie. – Pomyślałem o białych bliznach na lewym nadgarstku Charlotte. – I wiem, że właśnie dlatego nie umiała normalnie żyć w tym świecie.

Widziałem po jego minie, że trafiłem w sedno.

– Ach, doktorze – westchnąłem. – Powinien pan nam powiedzieć.

– Powiedziałbym, gdyby to miało jakiś związek ze śledztwem – bronił się. – Ale nie miało. Człowiek, który to robił, zmarł wiele lat temu. – Zawahał się na moment. – To był trener Mary. Uczył ją jazdy na nartach.

Pokręciłem głową.

– To nieprawda. Okłamała pana. Przynajmniej w tej kwestii. W rzeczywistości sprawca był jej znacznie bliższy. To ta sama stara

historia, doktorze. Wykorzystywał ją jeden z członków jej rodziny.

Dostrzegłem na jego twarzy wyraz powątpiewania.

– Dlaczego przestała do pana przychodzić? – spytałem.

– Nie wiem.

– A ja wiem. – Skinąłem głową. – Bo musiała zrobić coś innego. Żeby jakoś sobie z tym poradzić. Mary uznała prawdopodobnie, że czas, by zajęło się tym prawo. Zamierzała opowiedzieć o wszystkim policji. Była gotowa ujawnić wszystko przed całym światem. Ale czasami trzeba długich lat, żeby znaleźć odpowiednie słowa, prawda? Trzeba długich lat, aby przyznać, że było się ofiarą wykorzystywania. Czasami ten właściwy moment nie nadchodzi nigdy.

– Tak – przyznał doktor Joe. – Czasami wcześniej przychodzi śmierć. Skąd pan o tym wie?

– Nie tylko Mary była wykorzystywana. Krzywdzono obie dziewczynki. Charlotte również. Kiedy ich matka popełniła samobójstwo, obie padły ofiarą swojego ojca. Victora Gatlinga.

– Nie. – Pokręcił głową Joe. – Mylisz się, Max. Mary kochała ojca.

. . .

Zapukałem głośno do drzwi apartamentu Nilsa Gatlinga w Langham, nie przejmując się zawieszką NIE PRZESZKADZAĆ, umocowaną na klamce.

Z wnętrza dobiegł kobiecy głos:

– Zostaw to na zewnątrz!

Pukałem nadal.

Drzwi otworzyła Zina. Dziewczyna, która tuliła Curtisa Gane’a w szpitalnym łóżku.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, oboje zaskoczeni tym spotkaniem. Czego się właściwie spodziewałem? Że będzie bez końca

obejmować Curtisa? Może w to właśnie chciałem uwierzyć, kupując jej czas.

Wszedłem za nią do hotelowego apartamentu, który przypominał raczej wnętrze domu.

Zina była pijana. Jak bela. Ale nie tylko. Kiedy mówiła, że Nils Gatling jest w drugim pokoju, jej słowa zlewały się w bełkotliwą całość. Nie zauważyła też, jak rozchyliły się poły jej szlafroka.

Musiała zażyć jakiś środek uspokajający lub narkotyk. Potem zauważyłem na toaletce kilka tabletek w plastikowym opakowaniu. Małe białe pastylki z krzyżykiem.

Rohypnol.

Do pokoju wszedł Nils Gatling okryty szlafrokiem.

– Porozmawiajmy o pańskiej siostrze – powiedziałem.

Przystanął i zmierzył mnie wzrokiem. Nie wyglądał na wystraszonego. Zignorowałem ten sygnał, choć powinien wzbudzić moją czujność.

– Mam dwie siostry – odparł. – O której chciałby pan porozmawiać, detektywie?

– O tej, która została zamordowana. Wiem, dlaczego Mary chodziła na psychoterapię. Jako dziecko była wykorzystywana seksualnie. I zamierzała powiedzieć o tym światu.

Przyglądał mi się przez chwilę.

A potem parsknął śmiechem.

– Nie. Tylko się panu wydaje, że odkrył pan powód, dla którego chodziła na terapię. W rzeczywistości potrzebowała pomocy, bo była niezrównoważona i miała urojenia. Podejmowała próby samobójcze. Okaleczała się.

Dostrzegł na mojej twarzy wyraz powątpiewania i uśmiechnął się.

– Nie da się zaprzeczyć, że mój szwagier był kanalią jakich mało, ale nie zazdroszczę mu pożycia małżeńskiego. Mary miała ogromne

problemy ze sobą. Gdyby nie zabił jej Peter Nawkins, prawdopodobnie sama by ze sobą skończyła. W mojej rodzinie dziedziczy się trzy rzeczy: jasne włosy, niebieskie oczy i schizofrenię paranoidalną. – Westchnął ciężko. – To nasz krzyż.

Pokręciłem głową.

– Nie wydaje mi się, by chciała się zabić. Gdyby nie zamordował jej Peter Nawkins, poszłaby ze swoim problemem na policję. Terapia pomogła jej na tyle, na ile było to możliwe. Doktor Joe zrobił wszystko, co w jego mocy. Ale ona potrzebowała konkretu.

– Mocne słowo – mruknął.

– I może nie do końca właściwe – odparłem. – Ale widziałem już zbyt wiele ofiar przestępstw. Chcą, aby prawda w końcu wyszła na jaw, bo inaczej drąży ich i niszczy jak rak. Pańska siostra chciała wyznać prawdę, bo pamięć o krzywdzie sprzed lat nie dawała jej żyć. Pragnęła sprawiedliwości.

– Ależ ona o tym mówiła. Mówiła całymi godzinami, podczas gdy powinna trenować. Przypuszczam, że to wszystko jest gdzieś udokumentowane. Wszystkie te okropne kłamstwa. Wszystkie jej chore fantazje. To samo dotyczy mojej matki. Wszystkie kobiety w mojej rodzinie cierpiały na jakieś straszliwe urojenia.

Kobiety w jego rodzinie.

Jego matka. Jego siostry.

Tak, założę się, że wszystkie cierpiały.

– Nikt jej nie słuchał – odparłem. – To również widziałem już wiele razy. Próbowała wyznać prawdę, ale nikt jej nie słuchał. I w końcu, po latach, gotowa była opowiedzieć o wszystkim ponownie.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Zostaw na zewnątrz!

Pukanie nie ustawało.

Twarz Nilsa Gatlina wykrzywił grymas wściekłości.

– Otwórz, ty głupia dziwko! – wrzasnął.

Zina weszła chwiejnym krokiem do pokoju. Spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Sam otwórz – wybełkotała.

Zbliżył się do niej o krok i uderzył ją w twarz. Chciał zrobić to ponownie, ale złapałem go za rękę.

– W porządku. – Roześmiał się. – Już jej nie ruszam.

– Lubi mnie krzywdzić – powiedziała Zina, zmierzając niepewnym krokiem do drzwi. – Za bardzo. Tylko wtedy mu staje.

Uśmiechnęła się, zadowolona ze swego małego triumfu. Ale Gatling tylko się śmiał.

– Dotknij jej jeszcze raz, a złamię ci rękę w trzech miejscach – ostrzegłem.

Uśmiechnął się do mnie.

– Proszę, proszę – powiedział. – Obrońca uciśnionych.

Puściłem jego rękę. Sytuacja wymykała się spod kontroli. Musiałem zabrać go do głównego na West Endzie. Musieliśmy nagrać jego zeznania. Czułem, że jeśli zostanę tu zbyt długo, zrobię mu krzywdę.

Zina otworzyła drzwi. Nie widzieliśmy boya hotelowego, nie wszedł do środka. Zina wróciła do nas, pchając przed sobą wózek.

Szampan. Wiaderko z lodem. Dwa kieliszki. Kolacja dla jednej osoby.

– Musi pan pojechać ze mną do komisariatu głównego na West Endzie – powiedziałem. – I złożyć zeznania. Zostanie pan oficjalnie przesłuchany.

– Pozwoli pan?

Trzymał w dłoni butelkę.

Zignorowałem go i wyjąłem telefon. Chciałem, żeby wszystko było gotowe na nasz przyjazd.

Uderzył mnie w czoło pełną butelką. Opadłem na kolana. Butelka uderzyła mnie ponownie, w tył czaszki. Coś pękło i nie było to szkło.

Zina krzyczała. Uświadomiłem sobie, że jestem mokry i zziębnięty. Nieświadomie złapałem się obrusu i ściągnąłem na siebie wiaderko z lodem. Wszędzie walały się kostki lodu. Coś eksplodowało w moim uchu. Pomyślałem, że pewnie mnie kopnął.

Potem, gdy krew zalała mi oczy, nagle przeniknął mnie trudny do zniesienia ból – czoła, potylicy, ucha.

Gatling rozmawiał przez telefon.

– Musisz tu przyjechać, natychmiast – mówił.

Później, starannie wymierzywszy, kopnął mnie w delikatną kość tuż nad uchem. Osunąłem się w słodką, wolną od bólu ciemność.

. . .

Ocknąłem się i zobaczyłem przed sobą Zinę.

Leżałem w tym samym miejscu, w którym zaskoczył mnie Gatling. Nie miałem pojęcia, jak długo byłem nieprzytomny, mogła to być zarówno minuta, jak i godzina. Ogarnęły mnie mdłości, skutek pobicia i utraty świadomości. Naprawdę porządnie oberwałem, choć i tak miałem więcej szczęścia niż dziewczyna, która dziesięć lat temu wyjechała z Rumunii.

Siedziała na krześle, z głową pochyloną do przodu.

Jej halka przesiąknięta była krwią, która wypłynęła z poderżniętego gardła.

– O Boże… o Jezu… – wyszeptałem.

Próbowałem się podnieść.

W pokoju był Sean Nawkins.

Spojrzał na mnie.

– Załatwmy go tutaj – powiedział, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Nie. – Gatling pokręcił głową. – I tak musimy się pozbyć tej dziwki. Chyba że chcesz, żeby znalazła ich oboje tutaj pokojówka.

W dłoni trzymał małą butelkę wody mineralnej, jaką zwykle zostawia się dla gości w pokojach hotelowych. Pomogli mi podnieść się na kolana. Był to tak nieoczekiwany gest pozornej dobroci, że do oczu napłynęły mi nagle łzy wdzięczności. Potem Nawkins wbił mi palce w brodę i otworzył moje usta.

– Wypij to – polecił Gatling.

Pokręciłem głową.

– Wypij to.

Wymamrotałem coś.

Pochylił się w moją stronę.

– Wal się – zdołałem wykrztusić.

– Otwórz mu gębę i przytrzymaj.

Nawkins chwycił mnie jedną potężną dłonią za brodę, a drugą za nos. Chcąc nie chcąc, otworzyłem usta. Gatling wlał do nich wodę. Przełykałem spazmatycznie, czując jednocześnie, jak zbiera mi się na wymioty.

Potem jednak Nawkins zamknął mi usta, a gorzkie wymiociny spłynęły wraz z wodą do żołądka.

– Poczekajmy dwadzieścia minut – powiedział Gatling.

Rzeczywistość odsuwała się ode mnie powoli.

Czas przystawał co chwila, jakby ktoś powycinał w nim dziury.

Chciałem się położyć i zasnąć na zawsze, ale ubrano mnie w za małą bluzę z kapturem, a potem sprowadzono do holu. Byłem oszołomiony i kręciło mi się w głowie, moje nogi były bezwładne. Podtrzymywany z obu stron przez moich nowych przyjaciół, zostałem zaprowadzony do windy towarowej, większej i znacznie mniej luksusowej niż ta, którą wjechałem na górę.

Wychodziliśmy tylnymi drzwiami. Na zewnątrz stał młody pracownik hotelu, który wymknął się na papierosa.

– O jeden kieliszek za dużo – powiedział Gatling, a dzieciak się roześmiał, chowając szybko papierosa.

– Wszyscy przez to przechodziliśmy! – odparł.

Czułem, jak zapadam w głęboki sen. Sen, od którego już tylko krok do śmierci. Wydawało się, że piłem jedynie wodę, bo rohypnol nie ma smaku ani zapachu.

I doskonale rozpuszcza się w wodzie.

Aby uzmysłowić sobie, jak działa na umysł i organizm człowieka, wystarczy wiedzieć, że jest dziesięć razy silniejszy od zwykłych środków uspokajających.

Gwałciciele uwielbiają ten środek.

Bo dzięki niemu mogą robić z tobą, co tylko zechcą.

32

Gdy się ocknąłem, ktoś stukał młotkiem w moje przednie zęby.

– Najpierw wybiję mu wszystkie zęby – mówił Sean Nawkins. – Potem odpiłuję mu czubki palców, to zajmie jakieś dwadzieścia minut. No, może pół godziny – poprawił się po krótkim namyśle.

Ostrzejsza część młotka nakreśliła krzywy owal na mojej twarzy. Przesunęła się po czole, policzku i żuchwie, dosięgła drugiego policzka.

– Potem zdejmę mu twarz – kontynuował. – Zrobię porządne, głębokie nacięcie i zedrę całą skórę. – Odwrócił się. – A potem go spalimy. Nie znajdą człowieka, tylko kawałek pociętego, spalonego mięsa.

Uświadomiłem sobie, że nie mogę się ruszać. Najpierw pomyślałem, że zawiodły mnie umysł i mięśnie, później zrozumiałem jednak, że unieruchomili mnie na krześle srebrną taśmą. Zapewne zużyli ładnych parę rolek.

Niedawno musiałem zwymiotować, bo z moich ust spływała strużka gorzkiej żółci.

Scout, pomyślałem albo powiedziałem, a może nawet wykrzyczałem.

Rohypnol wypełniał mój umysł gęstą mgłą, sam już nie wiedziałem, co było rzeczywistością, a co mi się tylko przyśniło.

W pomieszczeniu, do którego mnie przenieśli, było bardzo jasno, oślepiający blask przenikał przez moje powieki. Zastanawiałem się

przez moment, czy już umarłem i trafiłem do wyjątkowo jasnego zakątka piekła.

– O Boże, proszę… – szeptałem. – Jezu, proszę…

– Co on mówi?

– Coś tam bełkocze. To przez rohypnol. Pomieszało mu się w głowie.

Usłyszałem dzwon. Japoński dzwon świątynny.

Otworzyłem oczy.

Byłem w dużym domu w Highgate. Byłem w Ogrodzie.

Siedziałem w piętrowym atrium, które oglądałem wieki temu, wielką otwartą przestrzeń ze szklaną ścianą z tyłu. Na innej ścianie, a także na podłodze w jadalni i kuchni wciąż widniała wielka czarna plama, ślad po pożarze. Wciąż stał długi drewniany stół dla dwunastu osób. Za szklaną ścianą zalegał mrok.

Z ogrodu dochodził delikatny dźwięk japońskiego dzwonu.

Nils Gatling stał przy oknie i patrzył na swój telefon.

Nawkins wkładał moje ubranie do czarnego worka na śmieci. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że jestem nagi.

Rozdzielał nas stolik do kawy, na którym leżały metalowy kanister, młotek, piła do metalu i stał wysoki szklany wazon wypełniony świeżo ściętymi liliami.

Mój umysł nie funkcjonował normalnie. Przypuszczałem, że być może już nigdy nie wróci do pełnej sprawności. Rohypnol utrzymuje się we krwi osiem godzin, a do tej pory już prawdopodobnie będę martwy.

Nie mogłem myśleć. Źle widziałem. Przy każdym oddechu ogarniały mnie mdłości.

Ale zrozumiałem jedno.

Podniosłem wzrok na mężczyznę stojącego przy oknie i w końcu ujrzałem wszystko we właściwym świetle.

– To nie był twój ojciec – powiedziałem do Nilsa Gatlinga. – To byłeś ty.

Nie wiedziałem, czy te słowa rzeczywiście wypłynęły z moich ust, czy też pojawiły się tylko w mojej głowie, ale oczami wyobraźni ujrzałem bogatego chłopaka, który nie odmawiał sobie niczego, gdy jego ojciec pogrążał się w rozpaczy, gdy budził się pijany, gdy marzył o śmierci.

Widziałem, jak zakrada się do swoich sióstr i robi z nimi, co chce, a w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby go powstrzymać.

I widziałem zamordowaną Mary, która w końcu postanowiła powiedzieć o wszystkim policji, ujawnić wszystkie sekrety, bo wcześniej czy później prawda zawsze wychodzi na jaw, nawet jeśli trzeba na to czekać długie lata…

Zrozumiałem, że jednak wypowiedziałem te słowa głośno, gdy Nawkins, zawiązawszy czarny worek, podszedł do mnie, by znów postukać mnie młotkiem w zęby.

– Dużo gadasz jak na trupa.

Podniósł kanister i wylał jego cuchnącą zawartość na moją głowę, ramiona i nogi. Zwymiotowałem, oszołomiony intensywną wonią benzyny.

– Pij, detektywie, pij – drwił Nawkins. – Bo za chwilę będziesz ział ogniem.

Wydawało mi się, że już czuję zapach płonącego ciała.

– Jasne, spalić wszystko – parsknął pogardliwie Gatling, nie podnosząc wzroku znad telefonu. – To twoja rutynowa odpowiedź, co? Dość tego, Nawkins, nie będziesz niczego więcej podpalał.

To nie była prośba, lecz polecenie. Dostrzegłem wyraz rozczarowania na twarzy Nawkinsa. Lubił ogień. Przypomniałem sobie farmę, na której Rzeźnik nie zostawił żadnych odcisków, bo ktoś ją podpalił.

– Chcesz się go pozbyć, prawda? – mówił Nawkins. – Nikt nie może go znaleźć, tak? Więc po pożarze nikt go nie znajdzie.

Gatling wskazał na czarną plamę w kuchni i jadalni.

– Kiedyś już tego próbowałeś, prawda? I co z tego wyszło, kretynie?

– Twojej żony nie spalili wcale ludzie z miasta – zwróciłem się do Nawkinsa. – Nie zginęła podczas zamieszek. To bzdury. Ty spaliłeś ją żywcem, prawda? Czym sobie na to zasłużyła?

Zesztywniał na moment, nie spojrzał jednak na mnie.

– Chcesz, żeby zniknął, tak? – spytał ponownie.

– Są lepsze sposoby – odparł Gatling.

Nagle wszystko ułożyło się w całość.

Spojrzałem na Seana Nawkinsa i zobaczyłem kobietę uwięzioną w płonącej przyczepie kempingowej, przypomniałem sobie dokumentację z więzienia, w której odnotowano regularne wizyty żony Seana u jego brata Petera.

Przypomniałem sobie również zachowanie córki Seana Nawkinsa, która próbowała wydrapać mi oczy, bo z całą pewnością wiedziała, że jej wuj nie jest winien zarzucanej mu zbrodni.

– Na co się gapisz, psie?! – wrzasnął Nawkins.

Uśmiechnąłem się do niego.

– Patrzę na faceta, którego żona i córka sypiały z jego bratem.

Podniósł młotek, rozwścieczony.

– I właśnie dlatego go wrobiłeś – dodałem.

Uderzył.

Młotek odbił się od mojej kości policzkowej, zdzierając spory kawałek skóry tuż pod okiem.

Zwiesiłem głowę, próbując uspokoić oddech, zapanować nad bólem. Dopiero po kilku minutach mogłem znów normalnie mówić.

– Gatling? – zacząłem.

– Co?

Nawet na mnie nie spojrzał. Wciąż pochylał się nad telefonem.

– Oto jak to wszystko wyglądało – mówiłem dalej. – Sean Nawkins miał zamknąć usta twojej siostrze. Nie pozwolić, żeby Mary wszystko wypaplała. To teraz bardzo popularne. Przestępstwa seksualne sprzed lat. Można za to długo posiedzieć. Nieważne, kiedy się to działo. W przypadku gwałtu na dzieciach nie obowiązuje przedawnienie. A ofiary coraz częściej chcą o tym mówić. I dochodzić sprawiedliwości. W końcu. Na czym właściwie polegał twój plan? Chciałeś zabić całą rodzinę, żeby wyglądało to na dzieło szaleńca?

Gatling omal się nie uśmiechnął.

– I udało się, prawda?

– Wiedziałeś, że Nawkins zgwałcił Mary? Założę się, że tego nie było w planie, co? Przecież właśnie dlatego nienawidziłeś męża Mary. Nikt oprócz ciebie nie miał prawa jej dotykać. Ale on to zrobił, Gatling. Nawkins to zrobił. Zapytaj go. Nie ujawniono tej informacji. Ale to prawda. Spytaj go.

W pokoju zapadła głucha cisza. Gatling podniósł w końcu głowę i wbił wściekłe spojrzenie w Nawkinsa.

– To prawda?

– Nie! Ten sukinsyn próbuje tylko ratować skórę…

– Gatling? – odezwałem się ponownie.

– Co?

– Gdzie jest Bradley? – Zacząłem wykrzykiwać imię chłopca: – BRADLEY! BRADLEY! BRADLEY!

– Zamknij mu gębę, dobrze? – warknął Gatling, a Nawkins zaczął owijać moje usta taśmą. Potem zakrył nią nos, oczy i uszy. Nie przestawał, dopóki nie zużył całej taśmy.

Nagle nie mogłem oddychać. Ani przez usta, ani przez nos. Nie zostawił mi dostępu powietrza. Chciał mnie zabić już teraz.

Starałem się uspokoić oszalałe serce.

Zrozumiałem, że nie mogę oddychać wcale przez usta, a taśma zatyka również większość nosa. Szczęśliwie mogłem wciągać powietrze przez maleńki otwór w rogu jednego z nozdrzy. To wystarczyło. Przekonałem się także, że kiedy podniosę wzrok, jednym okiem widzę pokój przez szparę między zwojami taśmy.

I właśnie dzięki temu dojrzałem ochroniarza.

Był to młody Nepalczyk, zapewne Gurkha służący niegdyś w brytyjskiej armii, być może nawet ten sam, którego widziałem pierwszego dnia. Stał na końcu podjazdu i spoglądał niepewnie na dom. Gatling i Nawkins rozmawiali przy oknie wychodzącym na ogród. Nie widzieli go. Strażnik wciąż patrzył w stronę domu.

Moje nogi były skrępowane nad kolanami, mogłem jednak poruszać ich dolną częścią. Machnąłem prawą nogą, mierząc w wysoki wazon na stole. Nie trafiłem i uderzyłem palcami bosej stopy w bok szklanego blatu. Ból przeszył całą nogę, sięgnął jąder. Z najwyższym trudem powstrzymałem odruch wymiotny, świadom, że inaczej zakrztuszę się własnymi wymiocinami.

Kopnąłem raz jeszcze – tym razem celnie. Wazon poleciał do tyłu, rozbił się o gruby blat, rozpryskując dokoła wodę, drobiny szkła i rozrzucając kawałki lilii.

Przez maleńką szparę, moje jedyne okno na świat, dojrzałem strażnika zmierzającego w kierunku domu.

Zadzwonił do drzwi.

Nawkins pochylił się w moją stronę.

– Miałem zamiar wykończyć cię szybko – powiedział. – Ale teraz postaram się, żeby trwało to jak najdłużej.

Machnąłem nogą raz jeszcze, czułem, jak uderza w jakąś twardą część ludzkiego ciała. Nawkins wbił palce w moją szyję, wykrzywiając je niczym szpony, i zmusił mnie do pochylenia głowy. Poczułem

powiew chłodnego powietrza płynący od otwartych drzwi, z dala dobiegła mnie przytłumiona, grzeczna rozmowa.

– Dziękuję panu bardzo – mówił Gatling. – Tak, policja pozwoliła nam już przejąć dom… Zostanę tu na wieczór, dziękuję panu za czujność.

– Do widzenia – odparł Gurkha i odszedł.

Trzask zamykanych drzwi.

Oddalające się kroki na podjeździe.

Odgłos zapalanego silnika, odjeżdżający samochód ochroniarza.

Chciało mi się płakać.

Znów zostaliśmy sami w wielkim domu na szczycie najwyższego wzgórza w mieście. W pokoju zapadła cisza, która brzmiała w moich uszach jak zapowiedź końca świata.

Zmyłka, pomyślałem.

Peter Nawkins był zmyłką.

Peter Nawkins był Maisy Dawes.

I doskonale nadawał się do tej roli.

– Poczekaj, aż ten ochroniarz skończy zmianę – powiedział Gatling. – Wtedy się nim zajmiemy.

Poklepał mnie po głowie. Serce waliło mi w piersiach młotem. Brakowało mi powietrza. Miałem wrażenie, że jest go coraz mniej.

Dusiłem się.

– Wiem już, gdzie go pochowamy – dodał Gatling.

. . .

Mur na tyłach ogrodu był pokryty bluszczem. W pewnym miejscu wystarczyło rozsunąć pnącze, by zobaczyć podwójne drzwi – tajne przejście umieszczone tu w celu, który znali tylko ludzie zmarli sto lat temu.

Właśnie tędy wszedł do Ogrodu Nawkins tamtej nocy, by wymordować całą rodzinę, i właśnie tędy przedostał się z Gatlingiem na cmentarz Highgate, by pozbyć się mnie na zawsze i skutecznie ukryć moje ciało.

Nieśli mnie w głąb wiktoriańskiej dżungli. Starałem się zapamiętać trasę. Przez mur. Schodami do alejki egipskiej. Na prawo… Gdzie? Na ścieżkę Dickensa. A potem na lewo i w dół zbocza.

Jednak mój umysł wciąż był osłabiony i oszołomiony rohypnolem, wciąż wypełniała go narkotyczna mgła, więc nim w końcu położyli mnie na ziemi, nie miałem pojęcia, gdzie właściwie jestem.

Nic nie widziałem. Otaczała mnie gęsta ciemność.

Potem usłyszałem odgłosy kopania, po chwili stukot łopaty uderzającej w stare, spróchniałe drewno, skrzypienie przerdzewiałych zawiasów.

Tuż po tym, jak poczułem woń otwartego grobu, podniosły mnie dwie pary silnych rąk.

– Chcesz się przespać z dziwką? – wyszeptał mi do ucha Gatling. – Z tą będziesz spał całą wieczność.

Zanim osunąłem się w otchłań nieświadomości, poczułem jeszcze, jak opuszczają mnie do trumny, i usłyszałem trzask starych kości pękających pod ciężarem mojego ciała.

33

Dość.

Śpij już.

Zamknij oczy.

Nie myśl o niczym.

Wejdź w ciemność, kompletną, niezmienną, ostateczną.

Niech twój oddech dopełni dzieła.

Niech to się wreszcie skończy.

Oddaj się ciemności i połóż kres cierpieniu.

Skończ z tym. Zaśnij. Odejdź.

Ból przywrócił mnie do życia.

Nie miałem pojęcia, jak długo czekali, aż strażnik zakończy swoją zmianę, przypuszczałem jednak, że była to raczej kwestia godzin niż minut, bo ból okazał się ostatecznie silniejszy od odurzenia wywołanego rohypnolem.

Bolało mnie całe ciało, poobijane w wielu miejscach i na różne sposoby, lecz wybudziła mnie jedna konkretna rana – rozcięcie na kości policzkowej, gdzie Nawkins uderzył mnie młotkiem.

Ból – pieczenie świeżej, głębokiej rany otoczonej rozległym sińcem – był na tyle silny, że przeniknął przez narkotyczną mgłę i uświadomił mi, że zostałem pogrzebany żywcem.

Otworzyłem usta w niemym krzyku.

Szamotałem się jak pies ze zdychającym szczurem w pysku, stare kości pękały pode mną z trzaskiem, wbijały się w moje ciało, krępująca mnie taśma była coraz luźniejsza, jakby w tym strasznym

miejscu straciła swą moc. Szarpałem ją palcami, zębami, zrywałem ją z siebie, chciałem się jej pozbyć.

Byłem nią oplątany niczym mumia, wiedziałem jednak, że zbliżam się do końca, gdy poczułem, jak ciągnie mnie za skórę i włosy. Potem leżałem przez chwilę w bezruchu i dyszałem ciężko. Mój wszechświat ograniczały stare wilgotne deski zawieszone kilka centymetrów nad moją twarzą.

Odpoczywałem jeszcze trochę, otoczony gęstą, nieprzeniknioną ciemnością.

Potem zacząłem uderzać.

– Scout!

Pomyślałem o niej i wziąłem głęboki oddech. Pomyślałem o niej i poczułem przypływ sił. Pomyślałem o niej i wypowiedziałem głośno jej imię, a ten dźwięk napełnił mnie wściekłą, niepowstrzymaną wolą życia.

Uderzałem tak, jak uczono mnie uderzać miesiąc po miesiącu, rok po roku, nie tracąc na darmo sił, nie marnując ich na zbędne ruchy. Podnosiłem pięści, trzymałem je w odległości kilkunastu centymetrów od drewnianego wieka i uderzałem na przemian – lewa – prawa – lewa – prawa – waliłem w deski z całej siły, sapiąc jak zwierzę – lewa – prawa – lewa – prawa – pach! – pach! – pach! – pach! Trzymałem łokcie blisko ciała, jakbym bał się ciosów w korpus, które pozbawiają człowieka sił i są gorsze od uderzeń w twarz – lewa – prawa – lewa – prawa – pach! – pach! – pach! – pach! – aż otarłem kostki na dłoniach do krwi i musiałem na chwilę przestać, by zapanować nad bólem i uspokoić oddech.

Korzystając z przerwy, owinąłem dłonie kawałkami porzuconej taśmy, dzięki czemu mogłem uderzać mocniej. Po jakimś czasie – wydawało mi się, że minęła godzina, ale równie dobrze mogło to być zaledwie kilka minut – zacząłem od nowa.

Drewno zatrzeszczało. Wydało z siebie przeszywający dźwięk, przypominający nagły grzmot. Uderzałem jeszcze mocniej, ale nie przynosiło to żadnego rezultatu, bo nie usłyszałem już kolejnego trzasku, a coraz wyraźniej opadałem z sił. Leżałem w grobie, zlany potem, który wpływał mi do oczu i mieszał się ze słonymi łzami.

Wtedy zauważyłem, że coś niedobrego dzieje się z powietrzem.

W trumnie było go coraz mniej.

Zużywałem je.

Obróciłem się na bok, ogarnięty nagłą paniką, próbowałem nad nią zapanować, oddychać wolniej. Przekonałem się jednak, że nie mogę leżeć na boku. Brakowało mi miejsca. Trumna na to nie pozwalała. Chciała, bym ułożył się na plecach i już na zawsze pozostał w tej pozycji.

Zakląłem głośno i kopnąłem w wieko trumny. Moja stopa przebiła spróchniałe drewno i zanurzyła się w zimnej ziemi. Dopiero po chwili udało mi się ją wyswobodzić. Wiedziałem teraz, że jestem w stanie rozbić te deski. Musiałem tylko uderzać we właściwy sposób. I zrobić to, nim zużyję całe powietrze.

Ale byłem już bardzo zmęczony.

Zamknąłem oczy, choć tak czy inaczej niczego nie widziałem. Chciałem odpocząć tak długo, jak tylko było to możliwe. Gdy poczułem, że ciemność ciągnie mnie w dół, mówi mi, bym zasnął, bo zrobiłem już wszystko, co mogłem, i teraz nadszedł czas na sen, raz jeszcze zebrałem siły i przygotowałem się do ostatniej próby.

Nie byłem już w stanie uderzać pięściami, bo moje kostki zamieniły się w krwawą miazgę, postanowiłem więc wykorzystać broń, jakiej nie stosuje się w uczciwej walce.

Łokcie. Kolana. Czoło. Uderzaj wszystkim, czym możesz. Czymkolwiek. Wejdź w szalony, niepowstrzymany rytm.

– Scout! Scout! Scout!

Głośne stęknięcie przy każdym ciosie. Lewy łokieć w drewno – prawy łokieć w drewno – prawe kolano – lewe kolano – a potem uniesienie tułowia, trzask pękających kości po uderzeniu czołem w drewniane niebo.

Wciąż bez powodzenia. Deski skrzypiały i trzeszczały, a nawet pękały. Lecz ja wciąż leżałem w grobowcu, w którym miałem już zapewne pozostać, kompletnie wyczerpany. W końcu poddałem się gorącym, gorzkim łzom.

Wypowiedziałem głośno jedno słowo.

– Scout.

I zapewne szlochałbym dalej.

Ale wtedy poczułem szczura.

Wszedł do mojego małego drewnianego świata przez dziurę, którą wybiłem stopą. Przesunął się między moimi nogami i – w reakcji na mój okrzyk przerażenia – przemknął w górę, dotykając długim ogonem mojego nagiego ciała. Słyszałem, jak zgrzyta zębami obok mojej głowy, gdy przystanął, by powąchać i posmakować krwi na mojej twarzy.

Krzyczałem i wierzgałem, miotałem się jak ranne zwierzę, które w końcu zrozumiało, że walczy o życie.

Wieko trumny pękło i rozleciało się na kawałki.

Niebo zwaliło mi się na głowę. Zimna, twarda ziemia runęła na moją twarz i pierś, a potem na resztę ciała, niebo pełne ziemi zmrożonej długą zimą, która wypełniła moje usta i oczy, zatkała nozdrza.

Rozgarniałem ją połamanymi paznokciami. Wbijałem się w nią, rozdzierałem i kopałem. Próbowała mnie pogrzebać. Nie zamierzałem na to pozwolić. Ale zimny, wilgotny świat napierał na mnie z góry, bezlitośnie dusił. Zmagałem się z nim, świadom, że jeśli przestanę, zginę. Próbowałem się podnieść, lecz ziemia trzymała mnie na dole.

Teraz już nie tylko kopałem, ale siłowałem się z nią, walczyłem jak człowiek krańcowo zdesperowany, napędzany przerażeniem i wściekłością. Twarde, zimne grudy ciągnęły mnie w dół, uświadomiłem sobie nagle, że już nie oddycham, tonąłem, topiłem się w ziemi, krztusiłem się nią, miałem wrażenie, że za moment pękną mi płuca i serce.

Wreszcie ostatnim wysiłkiem podniosłem się niemal do pozycji siedzącej, ziemia wciąż mnie przygniatała, ale nie mogła już powstrzymać. Czułem, jak moja ręka wysuwa się na powierzchnię, w słodkie chłodne powietrze, zacząłem się podciągać, odpychać od dna trumny, rozgniatając na miazgę stare kości.

Najpierw dłoń, potem cała ręka, która oparła się o twardszą ziemię i podciągnęła resztę ciała, czubek głowy, wreszcie twarz. Wymiotowałem ziemią i łapczywie wciągałem powietrze, znów wymiotowałem, czułem, jak drobiny ziemi przywierają do języka, zębów i gardła, dyszałem jak topielec, który w ostatniej chwili zdołał wydostać się z wody. Leżałem przez jakiś czas nieruchomo, dysząc i wymiotując na przemian, do połowy zagrzebany w ziemi, cały obolały, pokryty warstwą ziemi, która zaklejała mi usta, oczy i nos.

Żywy.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem przed sobą parę żółtych ślepi. Stary, zaprawiony w bojach lis i ja patrzyliśmy na siebie z niedowierzaniem. Potem zwierzak uciekł. A ja zasnąłem. Albo zemdlałem. A może miałem jeszcze we krwi dość rohypnolu, by wtulić się w ciemność jak w kochankę.

Ocknąłem się, gdy zacząłem dygotać z zimna. Zrozumiałem, że jeśli nie będę się ruszał, zamarznę.

Otoczony przez anioły bez twarzy, wygramoliłem się z grobu. Dopiero wtedy zrozumiałem, że nie zdołam wstać. Nie zdołam nawet podnieść się na kolana. Dlatego zacząłem się czołgać.

Przesuwałem się powoli, czułem twardą, szorstką ziemię pod łokciami, kolanami, przedramionami, goleniami i stopami, przeniknięty trudnym do zniesienia bólem. Cieszyłem się, że tu i ówdzie pozostały na moim ciele kawałki taśmy, które choć trochę mnie chroniły.

Czołgałem się powoli przed siebie w nadziei, że wkrótce skończy się noc i nadejdzie ratunek. Ale noc nie miała końca, a ratunek nie nadchodził. Kiedy już zabrakło mi sił, leżałem na ziemi, dygotałem z zimna i pojękiwałem niczym ranne zwierzę.

Pamiętam, że zdołałem jeszcze podnieść wzrok na pomnik, przy którym się zatrzymałem. Między chwastami wznosił się posąg śpiącego psa. Był ogromny, rozmiarami zbliżony bardziej do samochodu niż zwierzęcia, a ja zastanawiałam się przez chwilę, czy jest tam rzeczywiście, czy to tylko wytwór mojej wyobraźni. Właściwie i tak nie miało to żadnego znaczenia. Za posągiem wznosił się kamienny cokół z napisem, który lśnił w blasku księżyca ostatniej zimowej pełni.

TOM SAYERS
PIĘŚCIARZ
MISTRZ ANGLII
UR. 1826
PIMLICO, BRIGHTON, SUSSEX
„TO MĘSKI SPORT.
TYLKO PRAWDZIWY MĘŻCZYZNA
MOŻE W NIM COŚ OSIĄGNĄĆ”.

Zamknąłem oczy i zemdlałem, trzymając rękę na głowie psa Toma Sayersa.

34

– O Boże wszechmogący – jęknął Rocky. – Co oni ci zrobili?

Na cmentarzu Highgate było okropnie zimno. Zbliżał się świt. Rocky wybiegł z przedporannej mgły, bo o tej właśnie porze bokserzy robią samotne przebieżki, budując wytrzymałość na długie, wyczerpujące walki.

Podniosły mnie ręce, które wydawały się silne i delikatne zarazem. Patrzyłem na pozbawione twarzy anioły, gdy Rocky zdzierał ze mnie resztę taśmy, okrywał bluzą dresową i zapinał ją po samą brodę, a potem naciągał spodnie. Pomógł mi wstać i podtrzymywał mnie, kiedy powoli szliśmy w dół zbocza, do bramy, przy której czekała jego stara biała furgonetka.

– Savile Row dwadzieścia siedem – powiedziałem, a gdy nie zareagował, powtórzyłem: – Savile Row dwadzieścia siedem. Komisariat główny na West Endzie.

– Nie – odparł krótko.

Potem jechaliśmy na południe, na drodze zaczynał się już poranny ruch, pewnie zasnąłem na chwilę, bo byliśmy przy Angel, gdy spojrzałem na jego twarz, na usta zaciśnięte w gniewnym grymasie. Skręciliśmy na wschód, w stronę City, East Endu i Essex, a ja zrozumiałem, że ostatnim miejscem, do jakiego Rocky mógłby mnie zawieźć, jest komisariat policji.

Przekląłem go głośno. Za to, że nie zabrał mnie tam, gdzie chciałem. Za wszystkie te rzeczy, których mi nie powiedział.

Uśmiechnął się ponuro i pokręcił głową, a ja zamknąłem oczy, świadom, że uratował mi życie.

Potem zasnąłem na dobre.

. . .

Obudził mnie miarowy świst skakanki.

Gruby rzemień przecinał powietrze, coraz szybciej i szybciej, bokserskie buty na cienkiej podeszwie lekko dotykały ziemi. Napiąłem mięśnie, szukając w nich różnych źródeł bólu, potem próbowałem się przeciągnąć, prostując ręce i nogi. Dotknąłem dłońmi ściany. Łóżko było maleńkie, podobnie jak pokój. Leżałem w małej przyczepie kempingowej. W rogu stał oparty o ścianę kij bejsbolowy. Sięgnąłem po niego.

– Tutaj jesteś bezpieczny – powiedziała Echo.

Stała w drzwiach. Jak zawsze była ubrana w letnie rzeczy. Białe szorty. Koszulka, która nie zakrywała kolczyka w pępku. Niezgrabne buty na wysokim obcasie. Jednak wydawała się teraz starsza i nie była już w stanie ukryć ciążowego brzucha.

– Nie potrzebujesz kija bejsbolowego – powiedziała bez cienia uśmiechu. – Rocky nie pozwoli, żeby znów cię skrzywdzili.

Opadłem z powrotem na łóżko, pomyślawszy, że kije bejsbolowe to zdecydowanie przereklamowany środek ochrony osobistej.

– Co ci się stało? – spytała.

Wziąłem głęboki oddech. Za oknem robiło się ciemno, co oznaczało, że przespałem prawie cały dzień. Po rohypnolu czułem się, jakbym miał kaca giganta, ale wszystko doskonale pamiętałem. I mogłem wreszcie jasno myśleć.

– Twój ojciec i Nils Gatling – odparłem. – Oni mi się stali. Dobrze się znają, prawda?

Echo wzruszyła ramionami.

– Mój tata pracuje dla niego od lat. Gatling ma nieruchomości w całym Londynie. Ciągle podrzucał ojcu jakąś robotę.

Omal się nie roześmiałem.

– I nie powiedziałaś mi o tym? – upewniałem się z niedowierzaniem. – Ani ty, ani Rocky?

Spojrzała na mnie bez emocji.

– Jesteś policjantem – odparła. – Staramy się nic wam nie mówić. – W jej oczach znów pojawiła się iskra gniewu. – Próbowałam powiedzieć ci o wuju, prawda? Mówiłam, że jest niewinny. Tyle że wy nie chcieliście mnie słuchać.

– Nie chcesz z nami rozmawiać, ale chcesz, żebyśmy cię słuchali – zauważyłem. – Rozumiesz chyba, że to może powodować różne problemy, prawda?

Westchnęła ciężko.

– Mój ojciec i Nils Gatling – odezwała się ponownie po kilku sekundach. – Co oni zrobili?

– Wyświadczyli sobie nawzajem przysługę. Gatling chciał uciszyć swoją siostrę. A twój ojciec chciał ukarać swojego brata.

Otworzyła szeroko oczy, zszokowana. Potem sięgnęła dłonią do brzucha, jakby chciała osłonić rosnące w nim dziecko.

Usiadłem i wyjrzałem przez okno. Rozebrany do pasa Rocky skakał na skakance. Wyglądało na to, że jest w świetnej formie. Byłem ciekawy, kiedy odbędzie się jego pierwsza zawodowa walka. Pewnie lada dzień.

– Dlaczego Nils Gatling chciał zabić swoją siostrę? – spytała Echo.

– Nie chciał, żeby powiedziała policji o wykorzystywaniu seksualnym z czasów dzieciństwa. Żeby ujawniła straszną historię. Jej rodzina zginęła niejako przy okazji.

Nie pytała, dlaczego jej ojciec chciał ukarać brata. Nie musiała.

– Wiedziałaś, że nie zabił ich Peter Nawkins, bo w sylwestra był z tobą – mówiłem dalej. – Powinienem był ci uwierzyć. I pewnie bym uwierzył, gdybyś wyznała całą prawdę.

Pomyślałem o sierżancie Sallisie z Tottenham Hale i o tym, jak wyglądał, gdy Nawkins wypalił mu ze strzelby niemal prosto w twarz. Pomyślałem też o rodzinie Burnsów, o ojcu i jego trzech synach, o tym, co zrobił z nimi Peter Nawkins, gdy próbowali go wykastrować.

– Twój wuj nie zabił Mary Wood i jej rodziny – powiedziałem. – Ale nazywać go niewinnym to chyba lekka przesada.

Roześmiała się gorzko.

– Więc to się nigdy nie kończy? Mój wuj odsiedział wyrok, ale wy nigdy o nim nie zapomnicie?

– Inni też nie zapomną, jeśli kiedyś pisały o nim gazety – odparłem. – Sława przychodzi i odchodzi. Niesława pozostaje na zawsze.

Zauważyłem, że ma świeży siniak pod okiem, i zrozumiałem, że jej ojciec musi być gdzieś w pobliżu. Spojrzałem ponownie na kij bejsbolowy. Przereklamowany, ale lepszy niż nic.

– Kiedy masz termin? – spytałem.

– Pod koniec lata.

– Kto jest ojcem?

Pokręciła szybko głową, gdy otworzyły się drzwi przyczepy, a do środka wszedł Rocky. Objął Echo wpół i pocałował ją w usta.

– Wrócili – powiedział. – Ci za ogrodzeniem. Jeden z nich rzucił we mnie butelką, więc się schowałem. Jest coraz gorzej, odkąd zginął twój wuj.

Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem dużą grupę miejscowych gromadzących się za ogrodzeniem. Była wśród nich samotna policjantka, która podnosiła ręce i prosiła o spokój.

– Czego oni chcą? – spytałem.

– Tego, co zawsze – odparł z uśmiechem. – Żebyśmy się stąd wynieśli. Dobrze się czujesz?

– Tak, dzięki – potwierdziłem. Potem pokręciłem głową. – Powinieneś był ze mną porozmawiać, Rocky. Powinieneś był mi powiedzieć, że pracowałeś w Ogrodzie. Powinieneś powiedzieć mi wszystko. Widziałeś kiedyś Nilsa Gatlinga w towarzystwie Seana Nawkinsa?

Wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. Nawet teraz nie chciał mi zdradzić tego, co wiedział.

– Naprawdę powinieneś był mi to powiedzieć – powtórzyłem. – Wszystko, co wiedziałeś o ojcu Echo.

– Nic nie wiem o jej starym – parsknął. – Oprócz tego, że jest pierdolonym psycholem.

– Jest kimś więcej – stwierdziłem. – Sean Nawkins jest mordercą. A teraz pójdzie siedzieć.

Rocky skinął głową i próbował się uśmiechnąć, wypadło to jednak dość żałośnie. Miałem nadzieję, że to jego dziecko nosi Echo. Nagle zapadło między nami niezręczne milczenie. On czuł, że nie może spytać, kto mnie pobił, ja nie mogłem z nim rozmawiać o dziecku Echo.

– Nie mogę uwierzyć, że oboje ciągle tu jesteście – powiedziałem w końcu. – Tak blisko twojego ojca – dodałem, spoglądając znacząco na jej podbite oko.

– To już koniec – odparł Rocky. – W piątek mam pierwszą zawodową walkę. W York Hall. Sześć rund z Serbem, który ma sześć wygranych walk i żadnej przegranej.

Rocky miał w sobie ukrytą siłę. Ducha walki, jak to nazywają. Byłem pewien, że rzeczywiście jest już gotowy rozpocząć karierę.

– Powodzenia – rzekłem, po czym wskazałem na nich oboje. – Powodzenia we wszystkim.

Chłopak spojrzał z dumą na Echo.

– Zaliczę parę wygranych i wyprowadzamy się stąd – oznajmił. – To nie jest życie dla boksera. Nigdy nie wiesz, kiedy będziesz się musiał wyprowadzić. A ja potrzebuję stabilizacji. Spokoju. Małego mieszkania w Billericay. Miejsca z odrobiną zieleni dla dzieciaka i z dobrym dojazdem do Londynu.

Skinąłem głową. Wyglądało to na całkiem rozsądny plan.

W końcu wstałem i poruszyłem na próbę ramionami. Nie miałem poważnych obrażeń, które mogłyby mi przeszkodzić w zrobieniu tego, co powinienem. Lepiej przejść od razu do rzeczy, pomyślałem.

– Chciałbym, żebyś zrobił dla mnie jeszcze jedną rzecz – zwróciłem się do Rocky'ego. – Dam ci bezpośredni numer do komisarz Patricii Whitestone z komisariatu głównego na West Endzie. Chcę, żebyś zaraz do niej zadzwonił i powiedział, że aresztowałem Seana Nawkinsa za zabójstwo Mary Wood, Brada Wooda, Marlona Wooda i Piper Wood. Zapamiętasz?

Milczeli.

Rocky spojrzał na Echo.

– Ja zapamiętam – powiedziała.

Dałem jej numer.

Potem skinąłem na nich głową i wyszedłem przed przyczepę. Wciąż miałem na sobie bluzę z kapturem, w którą ubrał mnie Rocky. Z przodu widniał napis: KRONK GYM – DETROIT. Zasunąłem ją po samą szyję.

Byłem blisko bramy frontowej Oak Hill Farm, gdzie stały mniejsze przyczepy. Wydawało się, że tłum za ogrodzeniem gęstniał z minuty na minutę. Wypatrywałem przez chwilę znajomych niebieskich mundurów, dojrzałem jednak tylko młodą kobietę, którą widziałem już wcześniej, i jej kolegę, młodego mężczyznę, który stał przy bramie i rozmawiał przez radiotelefon. Wyglądał na wystraszonego.

Zaparkowali radiowóz za bramą, na terenie obozowiska. To był błąd. Należało zostawić auto przed bramą, wyznaczając w ten sposób granicę, jakiej tłum nie może przekroczyć. Parkowanie na farmie było kiepskim rozwiązaniem.

W pobliżu rozległ się brzęk rozbijanego szkła, a potem szyderczy wrzask tłuszczy.

Przyspieszyłem kroku. Chciałem to mieć za sobą.

Nim jeszcze doszedłem do domu Nawkinsa, zobaczyłem dym. Gęste czarne kłęby wydobywały się z kontenera za jego bungalowem.

Krzyki. Odwróciłem się i spojrzałem za ogrodzenie. Młody policjant stał pośrodku tłumu. Teraz to kobieta rozmawiała przez radio, wzywając posiłki. Nasłuchiwałem przez moment głosu syren. Nic. Raz jeszcze spojrzałem na parę policjantów, wiedząc, że potrzebują mojej pomocy.

Szedłem jednak dalej.

Znów brzęk tłuczonego szkła. I znacznie głośniejsze okrzyki radości, gdy na niewielkim skrawku trawnika, na którym widziałem niedawno pasące się konie, wystrzeliła w górę fontanna ognia. Przystanąłem ponownie, by zobaczyć, czy na obozowisko polecą następne koktajle Mołotowa. Ale kiedy o dach sąsiedniej przyczepy uderzyły tylko dwie butelki po piwie, ruszyłem dalej.

Drzwi domu Nawkinsa były otwarte. Poszedłem za budynek, do płonącego kontenera na gruz. Nawkins polewał benzyną z plastikowego kanistra kilkanaście czarnych worków na śmieci, które wrzucił przed chwilą do pojemnika. Zastanawiałem się, co jest w tych workach oprócz ubrań, które miał na sobie poprzedniego wieczoru.

Zastanawiałem się, czy jest w nich Zina.

– Aresztuję cię pod zarzutem morderstwa – powiedziałem.

Podniósł wzrok i otworzył szeroko oczy, jakby zobaczył ducha. Potem cofnął się o krok. Był przerażony.

– Nie. – Pokręcił głową, zaprzeczając raczej temu, co widział, a nie mojemu oskarżeniu. – Nie ty.

– Nie musisz nic mówić – zacząłem wygłaszać ustaloną formułkę, ruszając w jego stronę. W tym samym momencie jedna butelka rozbiła się o ścianę kontenera, a druga odbiła się od dachu domu i poleciała dalej.

Przycisnął mocno do piersi kanister z benzyną, jakby bronił się w ten sposób przed upiorem. Nagle płonąca butelka uderzyła go w ramię, rozległ się cichy trzask i Sean Nawkins zapłonął jak żywa pochodnia.

Zrobił krok w moją stronę. Jego głowę otaczała kula ognia, ciało topiło się jak wosk, płonęły włosy, brwi i rzęsy, z ust wydobywał się przeraźliwy krzyk. Uchwycił się jedną ręką kontenera, zgiął się wpół, trawiony straszliwym bólem, a jego twarz zamieniała się powoli w czarną, pozbawioną rysów maskę.

Potem i ja musiałem zostać trafiony butelką, bo na moment straciłem orientację, zrobiło mi się słabo, poczułem dojmujący ból z tyłu głowy, a na dresowej bluzie Rocky'ego zalśniły drobiny szkła.

Sean Nawkins padł do moich stóp.

Leżał nieruchomo na ziemi w dogasających płomieniach. Spod spalonego ubrania wyzierały fragmenty ciała mające kolor, fakturę i zapach przypalonego mięsa.

Cofnąłem się odruchowo, jedną ręką trzymając się za obolałą głowę, a drugą zatykając usta. Gdy przeszedłem w ten sposób przed dom Nawkinsa i odwróciłem się w końcu, ujrzałem mrożący krew w żyłach widok.

Miejscowi weszli do obozowiska.

Mieszkańcy Oak Hill Farm wysypywali się ze swoich przyczep i domów. Mężczyźni nieśli metalowe rurki, a kobiety kije bejsbolowe, dokoła słychać było szczekanie psów i płacz dzieci. Tuż przed bramą

obie strony starły się niczym średniowieczne armie przy akompaniamencie głuchych uderzeń, brzęku tłuczonego szkła i wściekłych wrzasków.

Nie widziałem nigdzie dwojga umundurowanych policjantów, jednak szybko zrozumiałem, że radiowóz został przejęty przez miejscowych. Dwaj potężni mężczyźni w koszulkach polo, niemłodzi już, chorobliwie otyli i upstrzeni kiepskimi tatuażami, wrzeszczeli jak opętani przez okna samochodu, rozjeżdżali trawniki i niszczyli zadbane, kolorowe rabatki.

Zobaczyłem Rocky'ego i Echo w drzwiach ich przyczepy. Dziewczyna wołała rozpaczliwie:

– Smoky! Smoky! Smoky!

Jej pies.

Dostrzegłem akitę. Oszalały ze strachu stał na trawniku obok dziecięcej huśtawki i ujadał rozpaczliwie. Rocky popędził do niego co sił w nogach. Dostrzegli go również mężczyźni w samochodzie, którzy ruszyli w jego stronę.

Rocky dopadł psa pierwszy. Klaskał w dłonie i wykrzykiwał polecenia. Przez moment wielki pies nie reagował, ale w końcu wyrwał się z odrętwienia i pobiegł za Rockym. Radiowóz z dwójką wrzeszczących mężczyzn był coraz bliżej.

Pędził prosto na nich jak wielki kierowany termolokacją pocisk.

Echo stała w drzwiach.

Pies był znacznie szybszy od Rocky'ego, wyprzedził go i wpadł do wnętrza przyczepy, machając radośnie ogonem. Rocky był już prawie u celu, gdy potknął się nagle i runął z rozłożonymi szeroko rękami na skrawek trawnika.

Radiowóz przejechał mu po rękach, tuż nad łokciami.

Widziałem, jak twarz chłopaka wykrzywia grymas bólu, a z jego ust wyrywa się przeraźliwy krzyk.

Samochód zakręcił i odjechał, uwożąc rechoczących mężczyzn.

Wtedy usłyszałem syreny, odwróciłem się do bramy Oak Hill Farm i pobiegłem w kierunku, z którego dobiegał dźwięk.

35

Włączyłem migoczące niebieskie światła i ruszyłem na zachód w gęstniejącym mroku. Samochody na zatłoczonej autostradzie do Heathrow rozstępowały się przed nami, zjeżdżały na pobocze przed policyjnym bmw X5.

– Mary walczyła – powiedziała komisarz Whitestone, która siedziała obok mnie. Przeglądała cienki zielony plik dokumentów, który wyglądał tak, jakby co najmniej od dwudziestu lat nikt do niego nie zaglądał. – Kiedy miała szesnaście lat, poszła do miejscowego komisariatu i złożyła oficjalne zeznanie, oskarżając brata o napaść seksualną. – Zamknęła folder. – Nikt jej nie uwierzył. Nikt jej nie słuchał.

– Tym razem by jej uwierzyli – odparłem. – Świat się zmienił.

– Nawet nie chciało im się zniszczyć tych dokumentów – zauważyła Wren. – Czy ojciec wywierał wtedy jakieś naciski na policję?

– Smutne jest to, że prawdopodobnie nawet nie musiał. – Whitestone westchnęła. – Wystarczyło jego nazwisko.

– Ale po co zabijać całą rodzinę? – zastanawiała się Wren. – Nils Gatling chciał uciszyć siostrę. Dlaczego kazał zabić jej męża i dzieci? Dlaczego porwał chłopca?

– To była część planu, zmyłki, która miała nas przekonać, że morderstwo jest dziełem szaleńca – tłumaczyłem. – Temu samemu służył wybór narzędzia zbrodni. Jaki wariat zabija pistoletem do uboju bydła? Ktoś, kto robił to już wcześniej. Zabijasz tym, co już znasz. To była dobra zmyłka, Rzeźnik idealnie nadawał się na ofiarę,

szczególnie po tym, jak Mary Wood poczęstowała go lemoniadą i uśmiechem, a on zaczął kolekcjonować jej zdjęcia.

– Więc Nils Gatling i Sean Nawkins znali się od lat? – spytała Whitestone.

Skinąłem głową.

– Gatling ma nieruchomości w całym Londynie, a Nawkins miał nieograniczony dostęp do taniej siły roboczej. Gdy Nils zrozumiał, że Mary postanowiła powiedzieć policji o pewnych rzeczach, było już właściwie po niej. Potrzebował tylko kogoś, kto odwali za niego brudną robotę. A Sean Nawkins miał swoje powody, żeby wrobić własnego brata, Rzeźnika.

– Ale dlaczego Mary postanowiła mówić właśnie teraz? – zastanawiała się Wren. – Po tylu latach? Bo chciała sprawiedliwości? Bo chciała ratować małżeństwo? Pozostać przy zdrowych zmysłach? Bo uznała, że takie rzeczy nikomu nie powinny ujść na sucho?

– Myślę, że ze wszystkich tych powodów po trosze – odrzekłem.

Pomyślałem o Charlotte. Przypomniałem sobie jej twarz, gdy mówiła, żebym nie dał się ponieść emocjom. „To dla mnie trudne”, powiedziała, a ja wiedziałem już, że właśnie dlatego Mary zdecydowała się pójść na policję. Bo jej życie nigdy nie mogło być takie, jakie być powinno, dopóki okrutna przeszłość ciągnęła ją w dół, więziła jej serce i nie pozwalała kochać, obdarzać zaufaniem i cenić kogoś tak, jak należy. „To dla mnie trudne”, powiedziała Charlotte, a ja wiedziałem już, że mówiła o straszliwym brzemieniu ofiar. Właśnie z tego powodu Mary pragnęła wyjawić światu, co zrobił jej brat.

– Nils Gatling chciał uciszyć siostrę, a Sean Nawkins chciał ukarać brata – odezwała się ponownie Whitestone. – Ale czy możemy być pewni, że Peter Nawkins rzeczywiście miał romans z żoną i córką Seana?

Wzruszyłem ramionami.

– Wiem, że Echo spędziła sylwestra z wujem i że jej matka przez lata odwiedzała go w więzieniu Belmarsh. To wszystko. Nie mam pojęcia, co jedna i druga rzeczywiście z nim robiły. Spędzali razem namiętne noce? Pili herbatę i rozmawiali? Naprawdę nie wiem. Bez wątpienia Peter Nawkins był człowiekiem bardzo gwałtownym. Kiedy Burns i jego synowie próbowali go wykastrować, wrócił do ich domu i zabił wszystkich czterech. Jednak dopóki świat nie narzucał się Peterowi Nawkinsowi, on nie narzucał się światu. Nie zastrzelił sierżanta Sallisa, kiedy miał ku temu okazję. Przypuszczam, że jeśli ktoś trafił na lepszy dzień Petera Nawkinsa albo traktował go jak człowieka, Peter umiał być miły i łagodny. Natomiast Sean Nawkins był psychopatą.

– Żona i córka Seana nie mogły go znieść – zauważyła Whitestone. – Był brutalnym gnojem, który bił kobiety. W takiej sytuacji szuka się drogi ucieczki, to naturalne.

– I czasami nie trzeba szukać daleko – dodała Wren. – W tym wypadku była to sąsiednia przyczepa.

Spojrzałem w lusterko wsteczne. Na samochody, które zjechały na pobocze, czekając, by przepuścić resztę naszego konwoju. Jechały za nami dwa wozy brygady antyterrorystycznej, radiowozy i kilka motocykli. Gdzieś między nimi krył się również samochód jednostki śledczej do spraw wykorzystywania seksualnego dzieci.

– Musimy zgubić całą tę karawanę, zanim tam wejdziemy – powiedziałem. – Niech czekają na nasze wezwanie. Nie chcę przestraszyć dzieciaka.

Wyczułem raczej, niż zobaczyłem, jak Whitestone i Wren wymieniają spojrzenia, nie odezwały się jednak ani słowem. Po chwili gęsta zabudowa miasta ustąpiła miejsca zielonym wzgórzom i domom z jasnożółtego kamienia.

Jechałem prosto do Lower Slaughter.

. . .

W otoczonym murem ogrodzie wiejskiej rezydencji bawił się samotny mały chłopiec.

Bradley Wood wydawał się starszy i poważniejszy niż na fotografiach, ale tak zwykle bywa w przypadku zaginionych dzieci. Przy ogrodowym stoliku drzemała filipińska gosposia, która wsparła głowę na rękach. Obok, na blacie stołu, leżał iPad. Nie przeszkadzaliśmy kobiecie.

– Bradley? – powiedziałem, przykucając, by nasze oczy znalazły się na tym samym poziomie. – Zdaje się, że to należy do ciebie.

Podałem mu dwudziestocentymetrową figurkę kosmicznego kowboja.

– Han Solo. – Pokiwał głową, biorąc ode mnie zabawkę. – Szukałem go.

Spojrzał za mnie, na Wren i Whitestone, jakby spodziewał się zobaczyć tam mamę. Ogarnął mnie głęboki smutek i bezsilna złość. Czego to nie zrobią mężczyźni dla tych kilku spazmów rozkoszy, pomyślałem. I czego to nie zrobią, by ukryć prawdę przed światem.

– Bradley?

– Tak?

– Czy ktoś cię skrzywdził, synku?

Zastanawiał się przez moment. Potem pokręcił głową.

– Powiedziałbyś mi, gdyby ktoś ci zrobił krzywdę?

Szybkie skinienie.

Wierzyłem mu.

– Mogę teraz wrócić do domu? – spytał chłopiec. – Wujek Nils ciągle tylko mówi „niedługo, niedługo”.

– Tak, możesz już wrócić do domu – odparłem. – I nie musisz się nawet żegnać, wiesz? Pojedziesz z tymi paniami. Zaparkowały przed

bramą Sokołem Millennium.

Uśmiechnął się lekko, nieśmiało, a w jego twarzy dostrzegłem rysy jego matki, brata, siostry, całej rodziny.

Ale przede wszystkim widziałem jego ciotkę.

Wren wyciągnęła rękę do chłopca.

– Jestem Edie – powiedziała. – I zawsze jest ze mną moc Policji Metropolitalnej.

Bradley roześmiał się niepewnie, ale wziął ją za rękę.

Spojrzałem na dom. W drzwiach stał mężczyzna z ogoloną głową. Miał potężne bicepsy, budowane przez lata w siłowni, które rozsadzały rękawy białej koszuli, oraz potężny brzuch, budowany przez lata na piwie, który zwisał nad paskiem czarnych spodni. Typ ochroniarza charakterystyczny dla większości lokali w Londynie. Najwyraźniej nie brakowało takich i na wsi. Sięgnął po telefon i zniknął we wnętrzu budynku.

Przez chwilę patrzyliśmy z Whitestone na Wren, która odprowadziła chłopca za dom.

– Max?

– Tak?

– Muszę cię zapytać: Czy Charlotte Gatling wiedziała, że chłopiec był tutaj?

– Nie – odparłem z przekonaniem. – Nigdy tutaj nie przyjeżdżała. To miejsce nie kojarzyło jej się z domem, tylko z salą tortur. I była zrozpaczona, że Bradley przepadł bez wieści.

– Wiesz, że będą go musieli przekazać opiece społecznej?

– To niemożliwe. Nie możemy mu tego zrobić. Czy nie dość już wycierpiał?

– Max, nie oddadzą go nikomu z tej popieprzonej rodziny.

– Więc zawieźcie go do niej, do Londynu – powiedziałem. – Ty i Edie. Oddajcie dzieciaka komuś, kto go kocha. Resztą zajmie się

Charlotte. Jest bystra. Jest bogata. Chce go. A on jej potrzebuje. Potrzebują się nawzajem. Może zatrudnić najlepszych prawników w Londynie. Proszę. Bradley nie może trafić do domu dziecka.

Whitestone zastanawiała się nad tym. Ale niezbyt długo.

– Jaki to adres?

Podałem jej adres rezydencji przy Fitzroy Square.

A potem weszliśmy do domu.

. . .

Z pierwszego piętra dochodziły krzyki.

– Co ci mówiłam?! – wrzeszczała kobieta z akcentem z West Country. – Co ci mówiłam o załatwianiu się w łóżku?!

Krzyki. Odgłosy uderzeń. Płacz.

Weszliśmy do ogromnego pokoju.

Na łóżku z baldachimem leżał starszy mężczyzna.

Nie miał na sobie nic oprócz ogromnej pieluchy.

To był Victor Gatling.

I to właśnie on płakał.

Szlochał cicho i rozpaczliwie. Spojrzał mi w oczy. Choć nie znam się na tym, oceniałem, że cierpi na demencję co najmniej od dziesięciu lat. Na jego policzku widniał czerwony ślad po uderzeniu.

Po obu stronach łóżka stali mężczyzna i kobieta. Oboje byli groteskowo grubi, a tatuaże pokrywające ich tłuste ramiona zupełnie nie pasowały do bogatego wystroju tego miejsca.

Gruby mężczyzna podniósł rękę, by ponownie uderzyć Victora Gatlinga, powstrzymał się jednak, zobaczywszy, jak zaciskam gniewnie usta. Kobieta była mniej ostrożna. Złapała Gatlinga za siwe włosy i potrząsnęła nim mocno.

Potem spojrzała wyzywająco na Whitestone.

– Na co się, kurwa, gapisz, suko?

Whitestone sięgnęła po radio i poleciła, by do domu wszedł natychmiast ktoś z opieki społecznej i kilku umundurowanych policjantów. Potem ruszyła w stronę łóżka i zwróciła się do grubej kobiety:

– Dla ciebie komisarz Suka, moja droga.

. . .

W domu znajdowało się mnóstwo łazienek.

Znalazłem Nilsa Gatlinga w łazience przy głównej sypialni, na najwyższym piętrze. Był ubrany w kaszmirowy sweter i bokserki, z których wystawały cienkie, owłosione nogi. Wyglądał w tym stroju absurdalnie i przerażająco zarazem. Miałem nadzieję, że umrze ze strachu na widok upiora, który podniósł się z grobu na cmentarzu Highgate, lecz on obdarzył mnie jedynie dobrze mi już znanym, pełnym pogardy spojrzeniem.

– Cofnij się, psie – powiedział. Między kciukiem i palcem wskazującym prawej dłoni trzymał staromodną brzytwę. Przyciskał jej ostrze do nadgarstka, ale nawet nie przeciął skóry.

Parsknąłem śmiechem.

– Śmiało. – Skinąłem głową. – Nie przeszkadzaj sobie.

Zerknął za mnie. Nikt inny nie nadchodził. Wszyscy chętnie zostawili go mnie.

– Ale podcinanie żył to bolesna i powolna śmierć. – Wskazałem głową na wannę. – Musisz przyspieszyć przepływ krwi, bo inaczej nie wytrzymasz tego bólu, stary. Wierz mi. Najlepsza jest gorąca woda. Wanna pełna gorącej wody. Musisz jednak przeciąć coś ważnego, tętnicę albo żyłę, więc naciskaj mocno, dobrze? I nie tnij w poprzek nadgarstka, tak robi się tylko na filmach, w rzeczywistości to błąd.

Musisz ciąć od góry do dołu, w stronę nadgarstka, najlepiej zacząć w dwóch trzecich długości przedramienia. Inaczej przetniesz sobie ścięgna i nie będziesz mógł ruszać ręką. Byłoby też dobrze, gdybyś się porządnie nawodnił… trzeba pić jak najwięcej wody, żeby rozszerzyć żyły i przyspieszyć przepływ w krwi. Wlej w siebie parę litrów wody. Gazowanej albo niegazowanej, to nie ma znaczenia. Co wolisz. Ale pamiętaj, żeby nacięcie było naprawdę długie. Czy ta brzytwa jest ostra? Bo nie wygląda mi na ostrą. Powinieneś używać nowego ostrza. Aha, i jeszcze jedna ważna rzecz, więc skup się: musisz zrobić to szybko albo zemdlejesz. I najlepiej, jakbyś załatwił oba nadgarstki. Przeciął jeden, a potem szybko przełożył brzytwę i przeciął drugi. Zacznij od słabszej strony. Jesteś praworęczny? Zatem przetnij lewy nadgarstek prawą ręką, a potem zmień strony. Jest tylko jeden problem…

Gatling oblizał nerwowo usta.

– Nigdy jeszcze nie spotkałem sukinsyna twojego pokroju, który nie byłby tchórzem – powiedziałem, po czym spokojnie przeszedłem przez łazienkę, odwróciłem go do siebie plecami i założyłem mu kajdanki. Lekkie, stalowe kajdanki ASP, które pozwoliły mi przyjrzeć się uważnie jego gładkim, różowym nadgarstkom.

Nie dostrzegłem na nich najmniejszej nawet blizny czy śladu zranienia.

– Jednego nie rozumiem – przemówiłem ponownie. – Darowałeś chłopcu życie. Pozwoliłeś Seanowi Nawkinsowi zabić twoją siostrę, jej męża i dwoje nastoletnich dzieci. Natomiast Bradley został oszczędzony i trafił tutaj. Dlaczego nie kazałeś swojemu człowiekowi zabić całej rodziny?

Czułem, jak trzęsie się ze złości.

– Za kogo ty mnie uważasz? – warknął. – Nie jestem zwierzęciem. Nigdy nie skrzywdziłbym tego dziecka. Myślisz, że…

Chciał jeszcze coś dodać, ale ja nie miałem ochoty słuchać go dłużej. Każdy, najgorszy nawet łajdak na tym świecie potrafi znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla swojego okrucieństwa. Na szczęście nie muszę tego słuchać.

Zatrzasnąłem kajdanki i szarpnąłem je mocno, przyciągając go do siebie. Moje usta znalazły się tuż przy jego uchu. Zwiesił głowę i oddychał ciężko, rozczulając się nad własną niedolą.

– Skończyłeś? – spytałem. – Bo mnie się wydaje, że to już koniec.

. . .

Odzyskał odwagę, gdy wyjechaliśmy na autostradę.

Siedział na fotelu pasażera, pochylony do przodu, z rękami skutymi z tyłu pleców. Z głośników wydobywał się piskliwy sygnał ostrzegawczy, bo Gatling nie miał zapiętego pasa bezpieczeństwa, ale nie zamierzałem zdejmować mu kajdanek. Dostrzegłem bezczelny, cwany uśmiech na jego twarzy i czekałem. Zerknąłem w lusterko wsteczne. Nie widziałem reszty naszego konwoju. Musiałem zgubić ich po drodze.

Nils Gatling zachichotał pod nosem.

Było ciemno, na drodze panował niewielki ruch. Patrzyłem na wychylającą się coraz bardziej strzałkę prędkościomierza bez większego zainteresowania, jakby nie miało to ze mną nic wspólnego. Zobaczyłem znak LONDYN i zatęskniłem nagle za domem.

Nils Gatling poprawił się na fotelu. Wydawał się ogromnie rozbawiony i tylko odrobinę zirytowany.

– Chyba nie myślisz poważnie, że moja siostra mogła się zainteresować mężczyzną takim jak ty? – spytał.

Milczałem.

– Widzisz, kiedy zaczynają tak młodo, jak Mary i Charlotte, potem już nigdy nie są takie same – mówił dalej. – Niszczysz w nich coś, czego nie można już naprawić. Więc ja mam nad tobą tę przewagę. I zawsze będę ją miał. Za każdym razem, gdy ją całujesz, możesz poczuć moje…

Na drodze pojawiła się gołoledź.

Można ją zobaczyć, obszary pokryte lśniącą, przezroczystą taflą lodu, od której odbija się światło. Nie rzuca się w oczy, ale można ją dostrzec, jeśli ma się odpowiednie doświadczenie.

Widziałem ją. Miałem doświadczenie.

Wiedziałem, że jeśli bmw X5 wjedzie na lód, straci przyczepność i wpadnie w poślizg, a ja nie zdołam z niego wyjść, Nils Gatling wyleci przez przednią szybę i przetoczy się jakieś sto metrów po asfalcie, łamiąc kark, podczas gdy ja będę opierał twarz o poduszkę powietrzną.

Zamknę mu gębę na zawsze.

Celowo wjechałem na lód, bmw wpadło w poślizg, tył wielkiego samochodu obrócił się gwałtownie.

Przez moment mogłem to zrobić, mogłem wyrzucić gnoja przez przednią szybę. Ale odpuściłem.

I rozpocząłem procedurę ratunkową, poddając się niemal wyłącznie pamięci mięśniowej.

Nie panikuj.

Nie hamuj.

Żadnych gwałtownych ruchów.

Łagodnie wyprowadź auto.

Odzyskałem panowanie nad X5, lód został za nami, znów jechaliśmy prosto po gładkiej tafli asfaltu, ku światłom Londynu.

Czułem się silny, spokojny i rześki.

Nils Gatling dyszał z przerażenia, wciąż zastanawiając się zapewne, co się przed momentem wydarzyło. Nie otworzył ust do końca podróży.

Przekazałem aresztanta sierżantowi w głównym na West Endzie, a ten zaprowadził go do celi. Wtedy zrobiłem coś, czego gołoledź na autostradzie omal mnie nie pozbawiła.

Pojechałem do domu, do Scout.

. . .

Kiedy robiłem śniadanie, zadzwoniła Edie Wren. Znaleźli Nilsa Gatlinga o świcie. W ciągu nocy podarł swój kaszmirowy sweter na kawałki, przywiązał je do kraty w oknie celi i powiesił się.

Chyba oczekiwałem tej wiadomości.

Bo czasami tchórzliwe gnojki nie mają odwagi, żeby się zabić, a czasami brakuje im odwagi, by pozostać przy życiu.

36

Z dnia na dzień robiło się coraz cieplej.

W ostatnią niedzielę miesiąca stałem przy oknie naszego loftu, spoglądałem na pustą tego dnia halę i obserwowałem, jak pory roku zmieniają się przed moimi oczami.

Gwałtowny wiatr przeganiał chmury nad kopułą katedry Świętego Pawła, wydawało się, że przesuwa całe niebo. Dni były jednak jaśniejsze, a zima chyba w końcu odeszła. Coś zimnego i mrocznego opuściło nasze miasto, które nagle znów stało się piękne.

Gdy rozbrzmiały dzwony katedry wzywające wiernych na poranną modlitwę, położyłem się na podłodze, by zrobić swoje sto pompek. Stan podniósł łeb z koszyka i spojrzał na mnie z lekkim zdziwieniem, kiedy po pięćdziesięciu przerwałem na moment, chcąc wypić potrójne espresso.

Miał rację. Gdzieś między długimi posiedzeniami w pracy i raną brzucha zaniedbałem formę fizyczną.

Opuściłem zbyt wiele regularnych treningów u Freda. Ale wiedziałem, że wszystko zawsze będzie tam na mnie czekać. Ciężki worek, gruszka, tarcze i sparingi. Strumienie potu, a czasami także krople krwi, wyczerpujące ćwiczenia przy akompaniamencie muzyki The Jam, The Clash i Jamesa Browna. Nie mogłem się już doczekać, kiedy tam wrócę.

Niedawno Fred zadzwonił do mnie ze złymi wieściami. Obrażenia, jakie Rocky odniósł podczas zamieszek w Oak Hill Farm, definitywnie zakończyły jego karierę zawodową, nim ta jeszcze się zaczęła. Fred

wiedział tylko tyle, że Rocky i Echo wyprowadzili się do Essex, podobnie jak kolejne pokolenia londyńczyków, którzy szukają skrawka własnej ziemi.

Było mi przykro, że Rocky zakończył treningi. Ale miał kobietę, którą kochał. Spodziewali się dziecka. Mieli nowy dom. Jego życie wcale się nie skończyło. Właściwie dopiero się zaczynało.

Rocky być może pożegnał się z treningami, ale dla zwykłego faceta, takiego jak ja, treningi nigdy się nie kończyły. Mój worek z rzeczami do ćwiczeń był już spakowany, bo Fred nauczył mnie, że pierwsze, co robisz po przyjściu z klubu, to spakowanie rzeczy na następną wizytę.

Wciąż czułem się obolały i zmęczony, dochodziłem do siebie po trudnych doświadczeniach ostatnich tygodni. Chociaż praktycznie nie miałem żadnych poważnych powodów, by zrezygnować z ćwiczeń. Miałem tylko wymówki.

Z gorzkim smakiem espresso w ustach zrobiłem pozostałe pięćdziesiąt pompek. Chcąc nie chcąc, zwróciłem uwagę na szybki wzrost stężenia kwasu mlekowego w mięśniach, na wytężoną pracę serca i płuc. Wiedziałem, że kilka ostatnich pompek – tych, na które nie masz już ochoty, z których mógłbyś łatwo zrezygnować, bo przecież i tak zrobiłeś wystarczająco dużo – w największym stopniu kształtuje siłę i wytrzymałość.

Musiałem być silny. Musiałem być sprawny. Musiałem być zdrowy. Moje serce, mięśnie i płuca nie mogły mnie nigdy zawieść.

Bo Scout potrzebowała mnie jeszcze przez wiele lat, które pozostały jej do osiągnięcia dorosłości.

A ja zamierzałem jej towarzyszyć na każdym kroku tego procesu.

. . .

Było późne popołudnie, dni stawały się coraz dłuższe, jaśniejsze i łagodniejsze, nastała prawdziwa wiosna. Wybraliśmy się ze Stanem na spacer po West Smithfield, gdzie mój czworonożny przyjaciel obwąchiwał wszystkie kosze, a potem zostawiał na nich wiadomość o stałej treści: Ja, Stan, przechodziłem obok tego miejsca. W tym czasie ja czytałem cytat z *Olivera Twista* wyryty na kamiennych krzesłach, hymn Charlesa Dickensa na cześć duchów mięsnego targowiska.

„Wieśniacy, rzeźnicy, parobkowie, owczarze, złodzieje, próżniacy, żebracy tworzyli jedną zbitą gromadę. Słychać było gwizdanie parobków, szczekanie psów, ryk bydła, beczenie owiec, kwiczenie świń i wieprzów, wrzask rzeźników. Zewsząd dochodziły kłótnie i przekleństwa, w gospodach wrzało”[2].

Lecz teraz Smithfield było puste i ciche.

Tragarze odpoczywali w swoich domach na przedmieściach. Bywalcy klubów spali w swoich łóżkach. A turyści zbierali się wokół katedry Świętego Pawła.

To był miły, spokojny czas. Włóczyliśmy się ze Stanem po okolicy, aż łagodne wiosenne światło zaczęło przygasać i musieliśmy iść po Scout, która bawiła tego wieczoru na urodzinach najlepszej przyjaciółki.

Smithfield dzieli od domu Mii w Pimlico ponad pięć kilometrów, ale trasa prowadzi przez kilka z moich ulubionych części miasta, postanowiliśmy więc ze Stanem pójść tam na piechotę.

To był naprawdę piękny dzień. Zeszliśmy nad rzekę, dotarliśmy wzdłuż Embankment do Big Bena, okrążyliśmy Parliament Square, skręciliśmy w prawo, w Birdcage Walk, po czym zdecydowaliśmy się na dłuższą i ciekawszą trasę wiodącą przez St. James’s Park.

Właśnie tam ją zobaczyłem.

Po drugiej stronie jeziora.

Charlotte i Bradley wyglądali jak matka i syn, oboje zanosili się śmiechem, bezskutecznie próbując uruchomić zdalnie sterowaną łódkę na gładkiej jak stół tafli jeziora.

Jasnowłosa kobieta w czerwonym płaszczu, ubrana zbyt ciepło jak na tę porę roku, i mały chłopiec, który był dla niej całym światem.

Podniosła wzrok i zobaczyła mnie.

Wypowiedziałem cicho jej imię, a potem ruszyłem w jej stronę.

Powstrzymał mnie kobiecy głos, który rozległ się nagle za moimi plecami.

– Przepraszam? Halo!

Był to głos wytworny i egzaltowany, który można by uznać za wzór arystokratycznej wyniosłości. Należał do jednej z tych wdów z Chelsea, które przed laty kupiły tu dom i nie zamierzały go opuszczać, choć wszędzie dokoła wprowadzali się cudzoziemcy z Rosji, Chin i strefy euro, a wszyscy ludzie latający pierwszą klasą zostali wykupieni przez ludzi latających prywatnymi samolotami.

Wdowa z Chelsea, która zbliżała się zapewne do osiemdziesiątki, nosiła jedwabną chustę Hermèsa i kalosze Huntera, a w dłoni trzymała smycz w kształcie kości, w której kryły się foliowe torebki na psie kupy. Spojrzała na mnie z wystudiowanym gniewem, co wzbudziło we mnie falę prawdziwej czułości. Prawdopodobnie przeżyła bombardowania stolicy podczas drugiej wojny światowej, znała wszystkich kelnerów w Wilton's i była w takim samym stopniu częścią mojego ukochanego starego Londynu jak tragarze ze Smithfield.

– Czy pan jest właścicielem spaniela cavaliera?

– Owszem, proszę pani – przyznałem. – Wabi się Stan.

– Widział pan, co pański pies robi mojej Lulu?

– Lulu?

– Mojej suczce labradoodle!

Rzeczywiście, Stan próbował dobrać się do zirytowanej suki, choć wydawało się, że robi to wbrew sobie, niemal z obrzydzeniem. Nie mógł się powstrzymać, a ja przypomniałem sobie coś, co pewien mądry człowiek mówił o męskim pożądaniu, które przypomina szaleńca wodzącego za nos rozumną ludzką istotę.

– Przepraszam – powiedziałem. – Po prostu się cieszy. I chce się bawić.

– Bawić się? Pan to nazywa zabawą? Jeśli nie potrafi pan kontrolować swojego psa, nie powinien pan spuszczać go ze smyczy.

Miała rację. Wziąłem Stana na smycz. Gdy odwróciłem się ponownie do jeziora, nie było tam już kobiety w czerwonym płaszczu i chłopca ze zdalnie sterowaną łódką.

Zatęskniłem za nią.

Ponownie ruszyliśmy ze Stanem w drogę. Spojrzałem na brytyjską flagę powiewającą nad Buckingham Palace, widoczną nad wierzchołkami dębów, platanów i morw, które budziły się do życia. Wiedziałem, że oznacza to dwie rzeczy.

Królowa była u siebie.

A Charlotte Gatling nauczyła mnie rozpoznawać drzewa.

. . .

Kiedy dotarliśmy na miejsce, gospodarze rozdawali torebki z ciastkami.

Pokój pełen był małych dziewczynek przebranych za księżniczki, Małe Syrenki, Śnieżki, Belle i kilka innych, których nie rozpoznawałem, a większość z nich próbowała rozładować nadmiar wypełniającej je energii. Było też kilku chłopców przebranych za piratów, kowbojów i wikingów.

– Scout jest troszkę zdenerwowana – poinformowała mnie mama Mii.

Znalazłem ją zapłakaną i roztrzęsioną w rogu pokoju. Na jej złotej sukni widniała plama po torcie urodzinowym.

Wziąłem ją w ramiona. Była nienaturalnie ciepła, może zgrzała się w swoim wymyślnym, obfitym przebraniu. Mia stała u jej boku i rozglądała się groźnie dokoła, opierając ręce na biodrach.

– Mówiłam Hectorowi – oznajmiła. – Mówiłam mu, żeby nie dokuczał więcej Scout.

Rozejrzałem się po pokoju. Siedmioletni pirat uśmiechał się od ucha do ucha, atakując plastikowym kordem wystraszoną sześcioletnią Pocahontas.

Domyśliłem się, że to właśnie Hector.

Rodzina Mii zgromadziła się wokół Scout, próbowała ją pocieszyć. Byli mili i mieli dobre zamiary, ale my chcieliśmy tylko wrócić do domu.

Wskoczyliśmy do taksówki i piętnaście minut później byliśmy już w Smithfield.

Obserwowałem ją przez całą drogę. Scout powzdychała trochę, otarła oczy i uspokoiła się. Kiedy wróciliśmy do domu, przebrała się w dżinsy i koszulkę, oddając mi złotą suknię. Nie wiedziałem, co właściwie mam z tym zrobić. Dopiero znacznie później, gdy kładłem Scout do łóżka, nie mogłem się dłużej powstrzymać i zadałem jej pytanie, które dręczyło mnie, odkąd zabrałem ją z przyjęcia.

– Co powiedział ci ten Hector, córeczko?

– Nic.

– W porządku, aniołku. Śpij dobrze.

Odwróciłem się, by zgasić światło, ale jej głos zatrzymał mnie w pół kroku.

– Nieudolne małżeństwo – powiedziała.

– Słucham?

– Hector powiedział, że moja mama i mój tata mieli nieudolne małżeństwo i że dlatego tylko ja jedna w grupie nie mam mamy.

Podszedłem do niej i usiadłem na łóżku.

– On nie wie, co mówi – stwierdziłem. – Powtarza coś, co usłyszał od swoich głupich rodziców. Jest małym głupim chłopcem z plastikowym kordem. Widziałaś jego kord?

– Tak.

– Jaki pirat nosi plastikową broń? Wyjątkowo kiepski. Nie przejmuj się nim, Scout. Ludzie na tym świecie zawsze będą próbowali cię zranić. Nie pozwól im na to. Nigdy nie pozwól im cię ranić.

Uściskałem ją mocno i powiedziałem, że ją kocham. Potem zgasiłem światło i wyszedłem z pokoju. W hali po drugiej stronie ulicy zaczynał się już ruch. Na końcu nocy czekał poniedziałkowy ranek. Przez chwilę patrzyłem za okno, a potem wróciłem do pokoju córki. Nie zapalałem światła.

– Scout? Śpisz już?

– Nie.

– On nie powiedział nieudolne małżeństwo. Ten mały głupi dzieciak. Powiedział nieudane małżeństwo.

– Rozumiem.

– Powiedział tak, bo twoi rodzice się rozwiedli. Ludzie nazywają to nieudanym małżeństwem. Tak właśnie o tym mówią.

– W porządku.

Jej głos brzmiał bardzo cicho w ciemnym, rozległym wnętrzu.

– Mogę ci coś powiedzieć, Scout?

– Jasne.

– To nie było nieudane małżeństwo. Twoi rodzice się rozeszli, ale ich małżeństwo nie było nieudane.

Oddychałem powoli, świadomie. Chciałem dobrze to rozegrać. To było dla mnie bardzo ważne.

I zrozumiałem, że w gruncie rzeczy także bardzo proste.

– Skończyło się, ale nie zmarnowało. To ogromna różnica. Dzięki tobie. To nie było nieudane małżeństwo, bo ty się pojawiłaś. Ty się urodziłaś. Jesteś tym, co we mnie najlepsze. Jesteś jedyną prawdziwie dobrą rzeczą w moim życiu. Ty sprawiasz, że ta planeta jest lepszym miejscem, a żadne małżeństwo, które daje światu dziewczynkę taką jak ty, nie jest nieudane. Nie poszło po naszej myśli. Skończyło się. I to jest bardzo smutne. Ale się nie zmarnowało. Właśnie dzięki tobie – mówiłem, głaszcząc ją po głowie. – Dzięki tobie, Scout.

Ale moja córka już oczywiście spała.

OD AUTORA

Kiedy byłem jeszcze chłopakiem i o każdej porze roku nosiłem skórzaną kurtkę, codziennie rano, w drodze do pracy, mijałem jednego z uczestników „napadu stulecia”.

Ronald Christopher „Buster” Edwards należał do gangu, który rankiem ósmego sierpnia 1963 roku ukradł pieniądze z wagonu pocztowego pociągu relacji Glasgow–Londyn. Pod koniec lat siedemdziesiątych, gdy mijałem go w drodze do redakcji „NME” na Stamford Street, Buster sprzedawał kwiaty na Waterloo Station.

Jednak dla biednego dzieciaka w taniej skórzanej kurtce Buster Edwards zawsze był sławnym gangsterem.

Po napadzie podobno zatrzymał dla siebie sto pięćdziesiąt tysięcy funtów, a gdy skończyły mu się pieniądze i wrócił do Anglii z Meksyku, skazano go na piętnaście lat więzienia. Odsiedział dziewięć, a potem prowadził stragan z kwiatami przed Waterloo.

Często myślałem o Busterze, gdy pisałem historię Petera Nawkinsa, Rzeźnika, bo życie i śmierć Bustera – podobnie jak fikcyjny Rzeźnik, Buster sam odebrał sobie życie – dowodzą, że nawet zbrodnie, których sprawcy ponieśli sprawiedliwą karę, nigdy nie odchodzą w zapomnienie, szczególnie jeśli były to zbrodnie spektakularne i sławne. Właśnie tego nauczyłem się od Bustera Edwardsa, gangstera i kwiaciarza.

Jak powiedział do Echo Nawkins detektyw Max Wolfe: „Sława przychodzi i odchodzi. Niesława pozostaje na zawsze”.

Tony Parsons
Londyn, październik 2014

[1] Charles Dickens, *Oliver Twist*, przeł. B. Mirowska, Warszawa 2005, s. 204.
[2] Charles Dickens, *Oliver Twist*, przeł. B. Mirowska, Warszawa 2005, s. 204.